

Almanac 2010

Snerg

Według lotra



ADAM WIŚNIEWSKI-SNERG

WEDŁUG ŁOTRA

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)
[9](#)
[10](#)
[11](#)
[12](#)
[13](#)
[14](#)
[15](#)
[16](#)
[17](#)
[18](#)

Od świtu tego dnia miałem wrażenie, że w moim otoczeniu zaszły nocą jakieś nieuchwytnie zmiany. Kilka razy budziłem się i zasypiałem ponownie. Chwilami słoneczny promień rozpraszał półmrok pokoju, padając na podłogę spoza gęstej zasłony. Wprawdzie meble zajmowały swe zwyczajne miejsca, lecz już wtedy, gdy po raz pierwszy otworzyłem oczy, wahając się jeszcze na krawędzi snu i jawy, obce barwy i kształty w zarysach znajomych rzeczy zaniepokoiły mnie mglistymi skojarzeniami.

Rano nigdy nie podnosiłem okiennej żaluzji. Dopiero w łazience zapaliłem światło i zatrzymałem się bezradnie nad półką z toaletowymi przyborami. Grubą tubę pasty do zębów wypełniało sprężone powietrze. Kostka różowego mydła wypadła mi z ręki na dno wanny i rozbiła się na kilka kawałków białego gipsu. W zwykłym miejscu ręcznika wisiał tej samej wielkości arkusz błękitnego papieru. Tylko brak wody w kranie łatwo mogłem wytłumaczyć porannym wzrostem jej zużycia.

Ubrałem się szybko i wszedłem do kuchni, gdzie odkryłem kolejne atrapy. Winogrona były sztuczne. Zamiast jajek wbiłem do patelni dwie gipsowe kule, zaś sporej wielkości bochenek chleba pod naciskiem noża skurczył się z podejrzanym sykiem do rozmiarów małej bułki. Mleko imitowała biała farba powlekająca wnętrze butelki. Pod opakowaniem kostki masła znalazłem drewniany klocek. Żółtego sera nawet nie dotknąłem nożem, gdyż był odlany z jakiegoś twardego tworzywa. Jedyne szynkę mógłbym pokroić na plasterki, kiedy przekonałem się, że jest zrobiona z różowej gumy, ale nie miałem czasu na zabawę.

Wnętrze lodówki wypełniały Atrapy produktów żywnościowych, jakie czasami widuje się na wystawach spożywczych sklepów. Wśród nich na jednej z półek leżała twarda bryła masy plastycznej, której fabryczna forma nadała kształt oskubanej gęsi.

Po zabawie w centrum Kroywenu trwającej do czwartej rano i po krótkim śnie wpatrywałem się w to wszystko nieprzytomnym wzrokiem, aż przyszło mi do głowy, że pewnie wczoraj wieczorem lub nocą w czasie mojej nieobecności ktoś ze znajomych zamienił mi przybory toaletowe i przechowywane w lodówce zapasy na ich mniej lub bardziej udane imitacje. Lecz jakoś nie kojarzyłem nikogo z przyjaciół z tym pocziwym figlem. Może Lindzie – pomyślałem – kiedy jej wszystko opowiem, łatwiej będzie wskazać autora dowcipu.

W kabinie windy sięgnąłem do kieszeni po papierosy i zaraz rozpoznałem w nich kolejny podstęp: były zrobione z pustych kartonowych rurek. Na parterze spojrzałem niespokojnie na zegarek. Ponieważ do siódmej brakowało tylko dwudziestu minut, całą drogę z domu do przystanku metra przebyłem biegiem i wskoczyłem na peron w momencie, gdy pociąg wjeżdżał już na stację. Zdążyłem jeszcze rzucić monetę do okienka kiosku i chwycić ze stosu egzemplarz porannej gazety.

Drzwi wagonu zasunęły się poza mną, pociąg ruszył, wszedłem do przedziału z nosem utkwionym w artykule wstępnym i zająłem najbliższe miejsce siedzące. Nie odrywałem wzroku od gazety. Ten jej egzemplarz, który kupiłem w kiosku, w miejscach zwyczajnych kolumn pokrywały różnej wielkości prostokąty wypełnione jednolicie szarą farbą drukarską. Tu i ówdzie ponad tymi niby – szpaltami przebiegały czarne krechy imitujące tłustą czcionkę, nagłówki zaś tworzyły szeregi dużych liter ustawionych w przypadkowej kolejności. Tak to wyglądało, że całość mogłaby zrobić wrażenie rzeczywistej gazety, ale tylko na kimś, kto spojrzałby na nią ze znacznej odległości.

Pochłonięty oglądaniem gazetowej namiastki nie od razu zwróciłem uwagę na swoje otoczenie. Kiedy wreszcie uniosłem głowę i rozejrzałem się wokoło, mogłem w pierwszej chwili sądzić, że przeżywam jakieś halucynacje.

Cały wagon wypełniały manekiny. Jedne siedziały, inne stały, te i tamte poruszały się niekiedy, czasem rozmawiały – wszystkie zajmowały zwykłe miejsca pasażerów metra, imitując ludzi jadących do pracy. Były wykonane z plastyku i gumy o barwie zbliżonej do koloru prawdziwej skóry. Patrzyły szklanymi oczami. Twarze ich miały uproszczone rysy, często w nosach brakowało dziurek, a w ustach – przerwy między wargami, te zaś wargi, które rozchyłał uśmiech lub wypowiedziane słowo, zamiast szeregu zębów odsłaniały poziome paski wycięte z białego tworzywa. Skutki oszczędności zauważyłem też w strojach swoich sąsiadów. Manekiny zgromadzone w wagonie nie nosiły garderoby nowej – to znaczy prosto spod igły i żelazka, jak modele ustawione na wystawach odzieżowych domów towarowych: prawie wszystkie miały na sobie ubrania używane, w różnym stopniu zniszczone, czasem wygniecione, ze śladami plam i innych defektów.

Atrapy imitowały właściwych pasażerów z różną dokładnością. Jedne (przynajmniej swym zewnętrznym wyglądem i zachowaniem) dość wiernie naśladowały żywych ludzi – i te w przejściach lub na ławkach poruszały się całkiem swobodnie. Inne – o powierzchowności uproszczonej w stopniu niekiedy żalonym – zainstalowane były tutaj na stałe. Manekiny przymocowane do ławek lub do poręczy miały na sobie papierowe ubrania. W kilku skrajnych przypadkach redukcja kształtów nadawała pasażerom wygląd niezdarnie ulepionych figur woskowych lub zmierzała do zachowania tylko samego zarysu ciała.

Drogę z Tawedy do Piał Edin pociąg przebywa w cztery minuty. W tak krótkim czasie ledwie zdążyłem ogarnąć wzrokiem wnętrze jednego wagonu, a już dojeżdżaliśmy do następnej stacji. Z pomostu poprzez szereg otwartych drzwi widziałem w głębi kolejnych wagonów inne przedziały ciasno wypełnione atrapami mężczyzn i kobiet.

Wysiadając w Piał Edin, gdzie znajdowała się moja fabryka, czułem jeszcze zapach sztucznego tworzywa, który unosił się w pociągu. Zaintrygowany niezwykłym widowiskiem poszedłem peronem w stronę tunelu zatłoczonego mieszkańcami kilku osiedli podmiejskich kierującymi się do pracy w pobliskich zakładach. Nikt tu na nikogo nie zwracał szczególnej uwagi. Ruch przebiegał według ustalonego porannego porządku. Mogłem zostać w wagonie i pojechać dalej, chociażby do Dziesiątej

Ulicy, aby zobaczyć, co tam będzie się działo. Stałem już jednak na peronie, kiedy pociąg – widmo ruszył w kierunku centrum Kroywenu. W oknach oddalających się z rosnącą prędkością migwały sylwetki sztucznych pasażerów, których – ze znacznej odległości – trudno było odróżnić od normalnych ludzi.

Przy końcu peronu minąłem budkę telefoniczną. Widok jej nasunął mi myśl, że mógłbym niezwłocznie zadzwonić do Lindy, aby przynajmniej w kilku słowach opisać jej skutki cudu, który przemienił cały pociąg w jego ruchomą makietę. Linda rozpoczynała pracę o dwadzieścia minut wcześniej, więc w tym czasie powinna była już siedzieć przy swym biurku. Niestety, wewnątrz budki zajmowała jakaś dziewczyna; tuż obok spacerowała druga, czekając w kolejce do telefonu. Zatrzymałem się przy nich.

Po kilku minutach zniecierpliwiony brakiem zmiany w początkowej sytuacji, zastukałem w szybę. Nie dało to żadnego efektu. Numer wykręcany przez pannę przy automacie miał pewnie kilkadziesiąt cyfr, gdyż po kolejnej minucie dziewczyna nie wybrała go jeszcze do samego końca. Obszedłem budkę z drugiej strony i popatrzyłem na nią uważnie. Wskazujący palec stałej telefonistki tkwił sztywno wtopiony w otworze "ósemki" na tarczy gipsowego aparatu, którą kauczukowa ręka obracała rytmicznie w obie strony. Druga dłoń atrapy stanowiła nierozłączną część słuchawki, ta zaś – masą o barwie ludzkiego ciała – zespolona była trwale z jej lewym uchem. Przy tym wszystkim oczy dziewczyny wpatrywały się przytomnie w tarczę aparatu, a jej żywa twarz to wyrażała skupienie, to znów niecierpliwłość, co dawało upiorny efekt.

Odchodząc w stronę swojej fabryki, rzuciłem jeszcze okiem na postać drugiej plastikowej dziewczyny, której buty wygniotły w rozgrzanym asfalcie peronu lekki ślad o kształcie dużej podkowy, znacząc drogę jej wielogodzinnego spaceru i oczekiwania na możliwość przeprowadzenia rozmowy telefonicznej.

W połowie drogi do zakładu spotkałem Ryana Elsantosa, swojego znajomego z pracy.

– Carlos, jesteście spóźnieni – powiedział naturalnym głosem, podając mi na powitanie sztuczną dłoń.

Pochyliłem głowę nad zegarkiem. Nie dlatego jednak przez kilkanaście sekund wpatrywałem się we wskazówki, abym chciał poznać dokładny czas, gdyż praca była ostatnią sprawą, o jakiej w tej chwili mogłem trzeźwo myśleć: chciałem tylko ukryć zażenowanie graniczące z przerażeniem, które musiało odmalować się na mojej twarzy, kiedy go zobaczyłem. Ryan bowiem – podobnie jak wszyscy przechodnie poruszający się po obu stronach ulicy – zbudowany był z gumy i masy plastycznej. Nawet znacznie gorzej wyglądał od innych. Dojeżdżał ze stacji Kroywen – Central. Musiał wiele po drodze widzieć.

– Wszystko w porządku? – spytałem niewinnym tonem.

– Ujdzie.

– W Śródmieściu też nic ciekawego się nie dzieje?

– Leci – mruknął sennie. Raptem ziewnął tak potężnie, że przez chwilę mogłem się obawiać, czy zdoła doprowadzić szczęki protezy do początkowej pozycji. – A co u ciebie słyhać?

– Nie pytam o to, jak ci się w ogóle wiedzie.

– Więc o co pytasz?

– Co widziałeś jadąc tutaj?

– A co takiego mógłbym widzieć? – Miał minę trwale ukształtowaną w formie prasy tłoczącej. – Czy stało się coś?

Milczałem. W miarę jak oddalaliśmy się od toru kolejowego, okolica przybierała coraz bardziej nienaturalny wygląd. Prawdziwe palmy i pinie ustępowały miejsca lichym imitacjom wykonanym ze sztucznego tworzywa. Tanie artykuły zastępcze pojawiły się również we wszystkich konstrukcjach wzniesionych po obu stronach ulicy, wypierając z nich solidne materiały. Przechodziliśmy właśnie obok tekturowego warsztatu naprawy samochodów. Zgromadzone na placu karoserie rozbitych wraków zrobione były z papieru nasyconego woskiem. W wyglądzie budynków, które stały w podejrzenie kolorowych ogrodach, też odkrywałem stopniowo coraz większe, wprowadzone nocą zmiany. Pierwsze domy miały zwyczajne murowane ściany, następne sklecone były prowizorycznie z dykty, wreszcie ostatnie nie posiadały nawet okien ani drzwi – tylko ich kontury namalowane farbą na arkuszach dykty. Mijając te domy, obejrzałem się poza siebie i zamarłem w bezruchu.

Zobaczyłem drugą stronę, podszewkę tego wszystkiego, na co dotąd patrzyłem od strony kolejowego toru. W każdym bardziej odległym od stacji budynku brakowało tylnej ściany. Luki te (niewidoczne dla kogoś patrzącego w kierunku wschodnim, gdzie znajdowało się jezioro) odsłaniały całe wnętrza domów wypełnione przeważnie konstrukcjami wspierającymi fałszywe mury. Podpory utrzymywały w pozycji pionowej sztuczne fasady domów, zbudowane efektownie i drobiazgowo wykończone, chyba tylko w tym celu, aby obserwator wyglądający z okna pociągu nie zdołał ich odróżnić od prawdziwych.

Odniosłem wrażenie, że wszystko, co poza sobą ukrywały te pozorne mury, nie miało już większego znaczenia. Rusztowania i pomosty wewnętrzne przybierały niekiedy kształty kolejnych pięter, korytarzy oraz mieszkań, tandetnie zagospodarowanych, w których tu i ówdzie – między zarysami mebli – spoczywały kukły ludzi. Począwszy od połowy odległości między torem a biegnącą

równoległe do niego linią brzegową jeziora wszystkie zabudowania imitowane były naturalnej wielkości makietami ustawionymi frontem do toru.

Stałem kilka minut w miejscu obok zmontowanego z puszek palmowego pnia, pod papierowymi liśćmi cytryny, na której plastikowych gałęziach wisiały puste żółte bańki. Kiedy spojrzałem w dal na pomarańczowe drzewa, nie miałem już pewności, czy stoją one tam rzeczywiście, czy są jedynie barwnym obrazem namalowanym na tarczy o konturach podmiejskiej willi.

Przez cały ten czas Ryan bacznie mi się przypatrywał.

– Co ci jest? – zapytał wreszcie. – Chory jesteś?

– Właśnie zastanawiam się nad tym.

– Pięknie! A wiesz, która jest godzina?

– Zostaw mnie w spokoju.

Przełożył teczkę z lewej protezy do prawej i zbliżył swoją maskę do mojej twarzy.

– Chyba jednak coś ci dolega, bo minę masz upiorną.

– A ty... gdybyś siebie zobaczył!

– Pomazałem się czymś?

Wyciągnął z kieszeni prostokątny kartonik i zajrzał do niego szklanymi oczami. Kiedy gładził włosy kawałkiem poliniowanej blaszki, peruka zsunęła mu się na maskę twarzy. Zaraz ją poprawił. Najbardziej zdumiewał mnie fakt, że mówił normalnym ludzkim głosem:

– Wcale się dzisiaj nie cesałem.

– A rozejrzałeś się przynajmniej raz w pociągu albo na ulicy?

– Powiedz w końcu, o co ci właściwie chodzi.

– To ty wyduś wreszcie – podniosłem głos – czy też je wszędzie dookoła siebie widzisz.

Przestraszył się.

– Co?

– Te cholerne dekoracje! Patrzył w ziemię.

– Widzę – potwierdził po chwili namysłu. Miał na sobie koszulę bez jednego guzika, na stałe przylepioną do sztucznego ciała. – Tak, słowo honoru, Carlos, ja je też dostrzegam. Paskudne są, no nie? I całymi dniami prześladują człowieka.

– Nie całymi dniami, tylko dzisiaj od samego rana.

Nawet nie poruszył głową. Usiadł pod tekturowym parkanem na ziemi posypanej zielonym proszkiem, co z dala wyglądało pewnie tak, jakby siadł na ostrzyżonym trawniku. Coś mu się nagle przypomniało. Pogrzebał w teczce i podał mi pustą butelkę po koniaku. Nie zrozumiałem go; w zamyśleniu upuściłem butelkę pod nogi.

Pociąg zadudnił na dalekim torze. Gdy znów spojrzałem na Ryana, trzymał szyjkę butelki przy swych gumowych wargach i poruszał grdyką.

– Niezły – mlasnął. Otarł usta wierzchem dłoni. – Pociągnij sobie jeszcze raz. To cię postawi na nogi.

To mnie ostatecznie dobiło.

– Czy nie widzisz, baranie, że butelka jest pusta?

Skierował szklane oczy na betonowy słupek, pozorowany kartonowym prostopadłościanem, na którym stał przedmiot naszego sporu. Gdyby nie miał wciąż tej samej nieruchomej twarzy, powiedziałbym, że uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Przecież ledwie ją napoczęliśmy.

– Była i jest pusta – oświadczyłem z naciskiem.

– Takiej bańki nie opróżniłbyś dwoma łykami. Carlos, głupi kołku, załałeś się już.

- Więc powiem ci wszystko. Nie ma innej rady.
- Ciekaw jestem, co lepszego jeszcze wymyślisz.
- Wprawdzie swojej plastikowej gęby nie mogłeś zobaczyć w kartce papieru, którą przezornie pomyliłeś z lusterkiem, ale ja ją bardzo dobrze widzę. Jesteś sztuczny!
- Uważasz, że moje zachowanie nie jest naturalne?
- Gorzej!
- Czy fałszywie tłumaczę sobie twoją mglistą przenośnię na temat koniaku?
- To drobiazg na tle innej strasznej prawdy. Czy sam tego nie widzisz ani nie czujesz, że całe ciało masz zbudowane ze sztucznego tworzywa?
- Jestem pajacem? To chciałeś powiedzieć!
- Nie miałem zamiaru ciebie urazić.
- Jasne. Tylko nazwałeś mnie kukłą!
- Inni ludzie, których spotkałem dzisiaj po drodze z domu do pracy, też byli manekinami.
- Już się domyślam, że w swej pięknej wizji ty jeden pozostałeś żywy i autentyczny. Kiedy mi plotłeś o dekoracjach, miało to jeszcze cechy niebanalnej obsesji. Teraz, gdy już zdradziłeś, do czego zmierza twoje urojenie, nie mam zamiaru dłużej słuchać tych egocentrycznych bredni. Poszukaj sobie innego słuchacza. A jeśli będziesz mi się dalej narzucał, to ci rozwalę tę zarozumiałą gębę.

Wstał, pociągnął łyk powietrza z butelki, zakorkował ją starannie i wsunął do teczki! Odchodząc rzucił mi w milczeniu długie martwe spojrzenie. Mimo wszystko miał w sobie coś naturalnego, co mi kazało sądzić, że pod grubą sztuczną powłoką myśli nadal i czuje normalnie.

Doszedł do skrzyżowania ulic. Ale na rogu nie skręcił w pierwszą ulicę na lewo, gdzie znajdował się nasz zakład. Szedł dalej prosto w kierunku jeziora. Pewnie pod wpływem pięknej pogody lub może pod działaniem wyobrazonego alkoholu postanowił w tym dniu trochę poleniuchować. Mnie również perspektywa kolejnego wstrząsu na stanowisku pracy otoczonym dekoracjami nie zachęcała do poznania nowej szaty zakładu. Ruszyłem powoli za Ryanem.

Od linii metra jezioro dzieliła odległość około dwóch kilometrów. Po przejściu wąskiego pasa lasu utworzonego ze sztucznych palm dotarłem do piaszczystej plaży. Ryan siedział pod palmą. Przechylał nad ustami swoją butelkę. Wodę jeziora pozorowała wielka szklana płyta o barwie nieba. Postawiłem na niej nogę. Powierzchnia szkła była twarda i lekko pomarszczona. Poszedłem po niej w kierunku przeciwnego brzegu.

W tym miejscu jezioro miało szerokość sześciu kilometrów. Daleko z lewej strony, na dużej wyspie położonej pomiędzy Tawedą a Lesaiolą, zielenił się gęsty palmowy las. Słońce wznosiło się coraz wyżej na bezchmurnym niebie. Kiedy oddaliłem się na odległość jednego kilometra od brzegu w Piał Edin, dotarłem do krawędzi szkła. Począwszy od tego miejsca aż do brzegu pod Lesaiolą woda była prawdziwa.

Powróciłem do Ryana.

– Poczęstuj mnie swoim koniakiem, głupi kołku, jeśli sam go jeszcze do końca nie wytrąbiłeś – powiedziałem pojednawczo.

Leżał na wznak. Poderwał się z ziemi i zamachał rękoma. Odzyskał równowagę, kładąc swe sztuczne dłonie na kołnierzyku mojej koszuli.

– Ty wiesz, co ja przed chwilą widziałem? – zapiszczał.

– Pewnie coś bardzo ciekawego, bo inaczej ze wzruszenia nie próbowałbyś mnie zaraz udusić.

– Chodziłeś po powierzchni wody!

– Zalewasz.

– Widziałem ciebie na środku jeziora, powtarzam.

- Pływałem tam w ubraniu?
- Nie. Szedłeś po powierzchni wody.
- Mógłbyś mi takich kawałków nie opowiadać.
- Przysięgam!
- Wariata ze mnie chcesz zrobić?
- Widziałem to na własne oczy.

Trąciłem nogą butelkę i wskazałem ją ruchem głowy.

– Wszystko się zgadza – podsumowałem znaczącym tonem. – Najpierw ja po wczorajszym piću wyglądałem się przed tobą, a teraz...

– Urznąłem się jak ostatnia świnia! – wykrzyknął radośnie. –

Ale numer – dodał ciszej i odetchnął z ulgą.

Wcale nie miałem ochoty na żarty. Jednak aby mu zrobić przyjemność, podniosłem butelkę do ust i wypompowałem z niej dwa łyki powietrza.

Zrozumiałem w tej chwili przynajmniej jedno: że gdybym chciał pozostać w zgodzie z przemienionym światem, musiałbym dla siebie zatrzymać wszystko, czego się o nim dowiedziałem.

Linda pracowała w biurze centrali handlowej o nazwie Temal. Gmach centrali stał przy Dwudziestej Dziewiątej Ulicy. Po przeżyciach tego przedpołudnia, które nadwerężyły mój układ nerwowy, nie potrafiłem już sobie wyobrazić aktualnego wyglądu Lindy. Bałem się tylko coraz bardziej i w miarę jak zapoznawałem się ze zmianami w obrazie okolic miasta oraz w wyglądzie jego mieszkańców, dojrzewała we mnie pewność, że te przerażające zmiany obejmować mogą również moich najbliższych.

Pod wpływem najgorszych przeczuć zostawiłem w spokoju Ryana, który z uporem godnym lepszej sprawy wytrwale markował na plaży postać nieprzytomnego pijaka, i poszedłem na stację w Piał Edin, gdzie – jak rano – te same dwie sztuczne dziewczyny blokowały dalej makietę budki telefonicznej. Zrezygnowałem z poszukiwania prawdziwego aparatu, ponieważ zależało mi przede wszystkim na bezpośrednim spotkaniu z Lindą. Wsiadłem do pociągu metra odjeżdżającego w kierunku centrum Kroywenu.

Zanim dojechałem do przystanku przy Dziesiątej Ulicy, gdzie rozpoczynała się zwarta wielkomiejska zabudowa, miałem czas przyjrzeć się dokładnie najbliższym pasażerom. W wagonach nie było już takiego tłoku jak rano, kiedy pociąg przepełniały manekiny jadące do pracy, jednak pewna liczba atrap nadal nie zajmowała wielu wolnych miejsc siedzących. Zrozumiałem wkrótce, dlaczego tak się dzieje. Prawie wszyscy podróżni, którzy stali w przejściach pomiędzy pustymi ławkami – trzymając dłonie na poziomych i pionowych rurkach przeznaczonych do utrzymywania równowagi – mieli ręce na stałe przymocowane do tych poręczy. Twarze uwięzionych wyglądały prawie naturalnie. Zachowywali oni ograniczoną swobodę ruchów, niektórzy wymieniali między sobą jakieś niby – zdania utworzone ze słów przypadkowo zestawionych albo wpatrywali się w gazety pokryte szarymi prostokątami.

Jedna z kobiet stała sztywno pod ścianą przytwierdzona do niej łopatkami. Wolnymi rękoma przerzucała kartki kolorowego czasopisma, w którym prostokąty wypełnione szarą farbą udawały kolumny druku, inne – przypominały barwne zdjęcia. W najbliższym rogu, zawieszony oburącz na uchwycie luźno zwisającym z poręczy, kołysał się miarowo mały plastikowy dziadek w okularach wszczepionych bezpośrednio do pustych oczodołów. Tuż obok niego wspierali się o siebie dwaj mężczyźni zrosnięci razem plecami. Tworzyli nierozłączną całość, lecz przy tym wcale nie mieli wyglądu martwych kukieł. Jeden z nich w równych odstępach czasu ponawiał próby zawarcia znajomości z moją sąsiadką na ławce. Zwracał się do niej z zapytaniem, czy wysiada na następnym przystanku, bo chętnie odprowadziłby ją do domu. Kiedy kobieta podnosiła na niego szklane oczy i kręciła przecząco głową, namawiał ją do spędzenia wspólnego wieczoru w teatrze. Kobieta ta nie mogłaby jednak skorzystać z zaproszenia, gdyby nawet kto inny proponował jej swoje towarzystwo. Odlew jej ciała był wykonany z miękkiej masy plastycznej zespolonej trwale z siedzeniem i oparciem ławki. Naprzeciwko mnie siedziała matka z dzieckiem na ręku. Kołysała dziecko i wierciła się na ławce swobodnie, za to nogi miała połączone ze sobą materiałem imitującym ciało ludzkie, zaś stopy – aż po kostki zatopione w podłodze.

Poza kilkoma wyjątkami wszystkie te pozorujące ludzi twory zmontowane były w wagonie na stałe, jako składowe części jego wyposażenia, co każdemu, kto znalazłby się na moim miejscu w roli przytomnego i nie wtajemniczonego widza, wydawać się musiało w najwyższym stopniu zastanawiające. Tym bardziej więc zdumiałem się na widok prawdziwej kobiety, która nagle przeszła przez cały wagon pod rękę z plastikowym manekinem i wyszła na peron, nie zwracając najmniejszej uwagi na nasze dziwaczne otoczenie.

Para ta opuściła pociąg na przystanku przy Dwudziestej Ulicy. Powodowany tym samym uczuciem radosnego zaskoczenia, jakie pewnie kieruje człowiekiem na bezludnej wyspie, gdy po dłuższym okresie samotności zobaczy nagle drugiego towarzysza niedoli, natychmiast poderwałem się z miejsca i wybiegłem za nią.

Manekin ciągnął kobietę za rękę. Dogoniłem ich na schodach prowadzących do wyjścia na ulicę.

– A już myślałem, że w całym mieście nie znajdę nikogo prawdziwego – zwróciłem się do kobiety.

– Słucham?

– Wyszedłem za wami z metra.

– Za nami?

Uniosła brwi i spojrzała na swego sztucznego partnera.

– No, jeśli mam być szczery... – zaciąłem się. – Zresztą sama pani wie, co mam na myśli w tych okolicznościach. Od rana nie widziałem jeszcze ludzkiej twarzy. Wyobrażam też sobie, jak panią zaskoczyło to nasze niespodziewane spotkanie.

– Zaraz... – przerwała. – Nie bardzo rozumiem...

– O to właśnie chodzi! – podchwyciłem z entuzjazmem. – Ja również niczego nie pojmuję. Tutaj, w śródmieściu, chyba nie ma większych zmian. Wyglądałem przez okno, zanim wjechaliśmy do tunelu, i poza imitacjami ludzi na ulicach niczego osobliwego nie zauważyłem.

Zatrzymała się.

– Czy wy się znacie? – spytał manekin.

– Nie – odpowiedziała.

– Przepraszam pana uprzejmie – ukloniłem się przed nieznanym. – Mówimy tu o sprawach zupełnie dla pana niezrozumiałych.

– Ale macie ze sobą coś wspólnego.

– W pewnym sensie – potwierdziłem z mniejszą już pewnością siebie, bo rozmowa zmierzała w nieprzewidzianym kierunku.

– A można wiedzieć, co was łączy? – nalegał dalej.

– Jak by to panu delikatnie wytłumaczyć... – Dopiero w tej chwili pomyślałem o Rynie i o niemożności porozumienia z nim. – Czy dzisiaj ani razu nie rozmawialiście ze sobą...

– Więc jednak znasz tego człowieka! – przerwał mi, zwracając się do kobiety.

– Nie znam go!

– Twierdzisz to kategorycznie, a on utrzymuje, że macie ze sobą coś wspólnego.

– Dlaczego oszukuje pan mojego męża?

Miała nieprzyjazną minę, lecz w końcu musiałem zapytać wprost:

– Czyż nie łączy nas fakt, że pani jest prawdziwą kobietą, co stwarza możliwość porozumienia między nami i wymiany wiadomości na temat...

– Tak bezczelnego podrywacza w życiu jeszcze nie spotkałem! – syknął manekin lodowatym tonem, zanim zdążyłem dokończyć, o jaki temat mi idzie.

– Przecież nie miałem zamiaru...

– To czego pan od nas właściwie chce? – ucięła sucho.

Po szybkiej wymianie zdań zapadła denerwująca cisza. Kiedy wybiegłem za kobietą z metra, wyobrażałem sobie naiwnie, że to, czego od niej chcę, wypisane jest na mojej twarzy i nie wymaga dodatkowego wyjaśnienia. Teraz – zaskoczony jej chłodnym przyjęciem – przewidywałem tylko, czym może skończyć się ta głupia rozmowa, jeżeli natychmiast nie odejdę. Musiałem pogodzić się z

kolejnym niepowodzeniem. Nie potrafiłem porozumieć się ani z przemienionym w imitację człowieka Ryanem, chociaż był on moim kolegą i mogłem mu wszystko powiedzieć, ani z obcą kobietą, która była autentyczna i z całą pewnością widziała dookoła siebie dokładnie to samo co ja.

Tam – naturalne reakcje człowieka obudzonego na scenie pośród dekoracji i przestraszonego nimi nazwane zostały przejawami prymitywnej zarozumiałości, tutaj – bezczelnymi zalotami chama, który podchodzi na ulicy do kobiety prowadzonej przez jej męża i prawi jej tanie komplementy w rodzaju: "Nareszcie spotkałem prawdziwą kobietę!"

Dalsze próby rozbudowywania tej beznadziejnej sceny tak czy inaczej zmierzały do awantury.

– Przepraszam za ten przykry incydent – powiedziałem po przerwie. – Teraz widzę, że pomyliłem panią ze swoją znajomą.

– Jestem o tym przekonana.

– A mnie się wydaje, że pan szuka guza – burknął manekin zaczepnie.

W końcu miał prawo do takiego komentarza. Odwróciłem się i zszedłem schodami na dół, do tunelu wypełnionego łoskotem pociągu. Przedtem usłyszałem jeszcze ostatnie zdania, jakie na mój temat wymienili między sobą wytrąceni z równowagi małżonkowie:

– Martin, uspokój się. To jakiś wariat! Czy nie słyszałeś, co on opowiadał?

– Ale rozmawialiście jak para dobrych znajomych. Już dawno podejrzewałem, że coś przede mną ukrywasz.

Wsiadłem jeszcze raz do metra, aby pojechać do następnej stacji, gdyż do Temalu, gdzie pracowała Linda, najbliższej było z przystanku przy Trzydziestej Ulicy. Oglądając namiastki pasażerów tu i ówdzie rozlokowane również w tym pociągu, tak się jednak zagapiłem, że minąłem właściwą stację i dojechałem do Kroywen – Centralu. Dość już miałem jazdy mrocznym tunelem, z którego nie było widać, co się dzieje na ulicach miasta. Postanowiłem wyjść na świeże powietrze i wrócić do Lindy pieszo.

Sam gmach dworca razem z jego podziemnymi halami wzniesiony był solidnie z autentycznych materiałów budowlanych i niczym chyba nie różnił się od tego dworca, jaki dobrze znałem. Tylko w jego wnętrzu, zamiast prawdziwych ludzi, kręciła się duża liczba manekinów.

Przy zbiegu Szóstej Alei z Czterdziestą Pierwszą Ulicą wkrótce po wyjściu z dworca zobaczyłem trzech prawdziwych mężczyzn. Szli obok siebie środkiem chodnika i minęli mnie z całkowitą obojętnością. Zachowałem już pewną ostrożność, pamiętając, czym skończyła się poprzednia próba spontanicznego zawarcia znajomości. Przystanąłem jednak, gotów przyłączyć się do nich, gdyby tylko zaprosili mnie do swego towarzystwa. Żaden nie obejrzał się ani razu. Śledziłem ich długo, aż znikli w perspektywie ulicy. Dzięki nim dowiedziałem się przynajmniej, że nie jestem tutaj wyjątkową postacią, ponieważ w mieście pozostali żywi jeszcze inni jego mieszkańcy.

Czwartego prawdziwego przechodnia spotkałem sto metrów dalej. Już zdecydowany zatrzymać go, przeszedłem na drugą Stronę chodnika, gdy niespodziewanie on sam pierwszy zapytał:

– Która jest godzina?

Spojrzałem na zegarek.

– Osiem po jedenastej – odpowiedziałem zaskoczony banalnością jego pytania.

– Dziękuję.

Poszedł dalej.

– A niech to wszystko... – chciałem zakląć, lecz zaraz poprawiłem się. – Zwariować można.

Obejrzał się.

– Cholera mnie już bierze – wyznałem. – Czy nie ma pan przypadkiem prawdziwego papierosa?

– Służę uprzejmie.

Grzebał przez chwilę w kieszeni, aż znalazł rozpieczętowaną paczkę. Podsunął mi ją. Włożyłem papierosa do ust. Był prawdziwy.

– Nie paliłem od samego rana... – zacząłem spokojnym tonem i przerwałem, kiedy nieznajomy oddalił się pośpiesznie. Jedną chwilę! – zawołałem za nim.

Zwolnił niechętnie.

– Słucham.

– Zapalek też nie mam.

Zapalił mi papierosa swoimi zapalkami.

– Co pan właściwie myśli o tych wszystkich manekinach? – pokazałem ręką dookoła siebie.

Zamiast rozejrzeć się po ulicy, gdzie w atmosferze przesyconej zapachem gumy i plastyku roił się wkoło nas gęsty tłum postaci odlanych z masy o barwie ludzkiego ciała, spojrział przenikliwie na mnie.

– Czyżbym powiedział coś zabawnego? – spytałem podejrzliwie.

– Mam pociąg za cztery minuty – odparł wymijająco.

– Ale co pan o nich sądzi? – zniecierpliwiłem się. – Pytam, ponieważ z obojętności innych ludzi wynika, że nie ma tu wcale żadnego problemu.

– Bo nie ma go rzeczywiście.

– Lecz czy te kukły nie zasługują na jedno słowo komentarza?

– Widzę – przystanął – że szuka pan tutaj kogoś, kto do ulicznego tłumu odnosiłby się z właściwą panu pogardą.

– Ależ tu nie o to chodzi! – zawołałem rozpaczliwie.

Uśmiechnął się i ruszył szybko w kierunku dworca.

– Przepraszam! – rzucił poza siebie w biegu.

Odprowadziłem go wzrokiem do ruchomych schodów. Pogarda! – co on chciał przez to powiedzieć? Czy był równie ślepy jak Ryan, jak te wszystkie manekiny, które pojawiły się ubiegłej nocy w całym mieście na tle tu i ówdzie rozstawionych dekoracji, zajmując miejsca prawdziwych ludzi? Cokolwiek miał na myśli – zmiażdżył mnie tym jednym słowem. Pod jego wpływem przestałem wierzyć w możliwość porozumienia między ludźmi podobnie jak ja osamotnionymi w sztucznym tłumie.

Na odcinku pomiędzy dworcem Kroywen – Central i Trzydziestą Ulicą Szósta Aleja nie nosiła śladu żadnych zmian. Dekoracje, ukryte przed wzrokiem nieuważnego przechodnia, stały tylko we wnętrzach sklepów, kawiarni, restauracji i kin. Po obu stronach jezdni rosły w dwóch rzędach prawdziwe palmy. Domy też – przynajmniej swym zewnętrznym wyglądem – nie różniły się niczym od tych dobrze mi znanych białych, czarnych i kolorowych wieżowców, jakie wznosiły się tu jeszcze poprzedniego wieczora.

Szedłem w ostrym słońcu, które jedynie w godzinach południowych zaglądało na dno alei, o innych porach dnia zanurzonej w głębokim cieniu, bo zabudowanej z dwu stron wielopiętrowymi drapaczami chmur. Ludzie mieli plastikowe, nieruchome twarze. Do południa spotkałem po drodze kilkunastu prawdziwych przechodniów, między innymi kilkoro dzieci. Prawie wszystkie samochody zaparkowane przy krawężnikach jezdni lub poruszające się na niej miały byle jakie, tekturowe karoserie. Za kierownicami siedziały sztywne kukły. Z daleka nie poznałbym jednak, że zadaniem jadących wozów jest markowanie ulicznego ruchu.

W sklepach wypełnionych imitacjami właściwych wyrobów sztuczni klienci, płacąc zielonymi papierkami i plastikowymi krążkami, które udawały banknoty i bilon, kupowali surogaty i atrapy towarów. W spożywczych działach samoobsługowych przedmiotami zakupów były najczęściej same opakowania. Manekiny ładowały do koszyków kolorowe, lecz puste pudełka, puszki, torebki, słoiki i butelki.

Zaciekawiony wyglądem falsyfikatów zgromadzonych w witrynie sklepu jubilera wstąpiłem tam na chwilę. W środku zastałem właściciela podejrzanych kosztowności i jednego, zdecydowanego już klienta. Jubiler pozdrowił mnie grzecznie i przeprosił za małą minutę zwłoki niezbędną do sfinalizowania – jak się wyraził – poważniejszej transakcji. Miał uszczęśliwioną minę. Zdejmował i zakładał na mały palec u ręki brązową szyjkę odpiłowaną od butelki po szampanie. Nabywca tej osobliwej obrączki odliczał w tym czasie pieniądze z grubego pliku brudnych kartek pozorujących banknoty.

Czy oni siebie wzajemnie nabierali? Klient przeliczył kartki raz i drugi. Powtórzył tę czynność wielokrotnie. Lecz chyba nadal bał się dołożyć do interesu przez jakiś głupi błąd rachunkowy, bo ze skupieniem rozpoczął kolejne odliczanie. Miał taki wyraz twarzy, jakby za każdym razem wierzył, że liczy te papierki po raz pierwszy. Obaj przymocowani byli do kontuaru po obu jego stronach.

Może komuś żywemu – przyszło mi do głowy – kto przechodząc ulicą spojrzełby w okno jubilera, scena ta wydałaby się prawdziwa. Pod wpływem tej myśli minąłem kilka wystaw przeładowanych tanimi atrapami i zajrzałem przez szybę do zakładu fryzjerskiego. Ale i tu nie dałem się oszukać ani fachową postawą rzekomego mistrza brzytwy patykiem golącego pianę z brody gipsowej figury, ani zręcznymi skłonami drugiego fryzjera, który kartonowymi nożyczkami strzygł powietrze wokół peruki innego nadmuchanego modelu. Więc chyba ktoś prawdziwy – spróbowałem skorygować poprzednie domysły – kto miałby odnieść właściwe złudzenie, że porusza się w autentycznym mieście, musiałyby jechać tędy samochodem i patrzeć na wszystko przelotnie.

Symulowanie działalności handlowej i usługowej odbywało się wszędzie, gdziekolwiek wszedłem. Na tym tle dość zagadkowa wydała mi się rola pewnej prawdziwej sprzedawczyni, zresztą kobiety otyłej i wcale niepięknej, lecz żywej, na którą natknąłem się w jakimś niepozornym hallu. Miała ona w swym kiosku autentyczne czasopisma, papierosy i zapalki. We własnej portmonetce obok rzeczywistego bilonu znalazłem też kilka fałszywych monet. Na próbę, prosząc o papierosy, podałem kobiecie plastikowy krążek. Bez słowa zwróciła mi go. Tak, jak często postępuje się z obcokrajowcami lub z dziećmi, wyjęła mi z ręki portmonetkę, wygrzebała z niej prawdziwą monetę i podała mi papierosy razem z resztą odliczoną nieoszukiwanym bilonem.

Swym wyglądem nie wywołałem u sprzedawczyni żadnego zainteresowania. Przedtem czytała gazetę. Inkasując pieniądze miała obojętną minę: zrobiła, co do niej należało, i wróciła do przerwanej lektury.

– Dlaczego nie przyjmuje pani tych żetonów? – zapytałem grzecznym tonem, aby wciągnąć ją do rozmowy.

Przybrała taki wyraz twarzy, jakbym zwrócił się do niej z naganą.

– Pan przyjmowałby je?

– Jeżeli można za nie wszystko kupić...

– Tutaj nie można.

– Jednak w innych sklepach widziałem ludzi... którzy płacili takimi krążkami.

– Wiec trzeba tam iść. Czy ja pana zmuszam do robienia zakupów w moim kiosku?

Po tej odpowiedzi straciłem nadzieję, że ona mi coś wytłumaczy.

Gmach Temalu, podobnie jak większość mijanych po drodze domów, swym zewnętrznym wyglądem nie wywoływał podejrzania o mistyfikację. Również zajmowana przez centralę handlową wysokościowa część budynku na przechodniu patrzącym z dołu robiła wrażenie konstrukcji wzniesionej z prawdziwego szkła, betonu i aluminium.

Wjechałem windą niemal na sam szczyt wieżowca – na sześćdziesiąte drugie piętro, gdzie znajdowała się sekcja Lindy. Nie zastałem jej tam. Powiedziano mi, że pani Tinazana została wezwana przez kierownika działu i przebywa w jego gabinecie. Informacji tej udzieliła mi koleżanka Lindy, zapewniając jednocześnie, że moja dziewczyna zaraz wróci. Biuro to odwiedziłem już kilka razy, toteż znałem z widzenia cztery osoby pracujące tutaj. Usiadłem na wskazanym krześle i przez kilka minut udawałem kamienny spokój.

Miałem powody do zdenerwowania, ponieważ wszyscy współpracownicy Lindy w jej pozorowanym biurze byli sztuczni. Na tej podstawie mogłem się obawiać, że zaraz zobaczę plastikową Linde. Czekałem na nią pod papierową ścianą, pomiędzy dwoma tekturowymi pudłami, które imitowały biurka. Przy pudle z prawej strony zainstalowany był manekin ładnej dziewczyny. Jej biurko zajmowała prawdziwa maszyna do pisania. Kukła stukiała w klawisze wszystkimi palcami z prędkością karabinu maszynowego. Zajrzałem jej przez ramię. Na papierze nie znalazłem ani jednego sensownego słowa: były tam tylko szeregi liter zestawionych przypadkowo. W poszczególnych wierszach częste przerwy grupowały litery w jakieś niby – wyrazy, dzięki czemu ktoś żywy, kto by tu na chwilę zajrzał, mógłby ten rekwizyt pomylić z prawdziwym dokumentem. Sztuczna urzędniczka tłuła w klawisze na chybił trafił, byleby robić wrażenie biegłej maszynistki.

Również dwie pozostałe referentki tego działu, w którym Linda zajmowała kierownicze stanowisko, imitowane były przez manekiny zrobione z gumy i plastyku. Wyglądały jak dwie bliźniacze siostry. Dekorator umocował je przy biurkach w jednakowych pozach: obydwie podpierały brody lewymi rękoma pozbawionymi palców. Poruszać mogły tylko prawymi dłońmi. Jedna brała ze stosu różowe kartoniki i kreśliła na nich długopisem zgrabne spirale. Druga rozmieszczała te fiszki w przegródkach obszernego segregatora.

O buchalterze, jedynym mężczyźnie pracującym tu między sympatycznymi kobietami, Linda wspominała niechętnie: starzec miał opinię roztargnionego mruka, wiecznie poszukującego w papierach jakiejś zaginionej asygnaty. Teraz kopia jego stała pod regalem w pozie wyrażającej dalszy ciąg tych anegdotycznych poszukiwań. Nie miał na sobie nawet prawdziwego ubrania. Papierowa koszula i spodnie oblekały jego sztywne ciało. Poruszał tylko szyją i gumowymi palcami. Próbował wyciągnąć z szafy jakiś rejestr. Obecność dokumentów pozorowały same grzbiety teczek, które dekorator nakleił rzędami na ramach imitujących półki. Po kilkunastu minutach księgowy mógł zdenerwować każdego: miał pewnie jakiś mechanizm zegarowy w swym pustym korpusie, bo w równych odstępach czasu powtarzał w kółko jedno zdanie: "Słodka moja, gdzieś ty się podziała?"

Na makietach biurka stały odlane z gipsu aparaty telefoniczne. Wszystkie przybory biurowe były porozstawiane przed manekinami w pedantycznym porządku. Miały one uproszczone kształty dzieciennych zabawek i zostały przytwierdzone do desek zardzewiałym drutem. Pudło imitujące stanowisko pracy Lindy wyglądało nieco lepiej od innych. Stał na nim prawdziwy telefon. Uniosłem się ze swego krzesła (jedynego solidnego mebla w tym pokoju), aby zobaczyć z bliska, czym zajmowała się Linda dzisiaj do południa, zanim wezwano ją do kierownika.

Biurko mojej dziewczyny zaścielały różnego rodzaju kolorowe teczki i luźne papiery pokryte jej normalnym pismem.

– Czy gabinet kierownika znajduje się na tym piętrze? – zapytał maszynistkę, kiedy na chwilę przestała terkotać.

– Ostatni pokój na lewo – odpowiedziała normalnym głosem. – Ale nie radzę tam wchodzić. Pewnych spraw lepiej nie dostrzegać.

Ostrzeżenie to zawierało jakąś podejrzaną zachętę. Po drugim kwadransie oczekiwania wyraziłem zwątpienie, czy Linda tu wróci przed końcem pracy. Nikt minie nie odpowiedział. Referentki chichotały głosami nakręcanych lalek. Maszynistka szlifowała sobie paznokcie. Kiedy księgowy po kolejnej minucie milczenia znowu puścił płytę ze słowami: “Słodka moja, gdzieś ty się podziała?”, opuściłem pokój. Poszedłem na koniec korytarza pod drzwi opatrzone napisem, w którym tylko słowo “kierownik” było zrozumiałe.

W pierwszym pokoju zastałem mechaniczną sekretarkę kierownika.

– Czym mogę panu służyć? – zapytała głosem zegarynki.

Siedziała na obrotowym stołku obok wystruganej z arkusza dykty pionowej tarczy o barwie i konturach eleganckiego biurka. Miała na sobie papierową spódniczkę mini i perukę ufarbowaną na fioletowa. Trzepotała zlepionymi czarnym tuszem długimi rzęsami, ukazując na przemian to perłowe powieki, to wielkie szklane oczy. Nogi miała wytłoczone zgrabnie z masy plastycznej i ułożone trwale w pozycji jedna na drugiej. Mogła jednak poruszać rękami.

– Nie mam pewności, czy trafiłem do właściwego pokoju. Czy tu – wskazałem na drzwi obite grubą warstwą dźwiękochłonnej tkaniny – znajduje się gabinet kierownika działu, w którym pracuje Linda Tinazana?

– Tak.

– Mogłaby pani poprosić ją na chwilę?

– Tinazany nie ma tutaj.

– Powiedziano mi, że jest teraz u waszego kierownika.

– Szef dziś nie przyjmuje.

– Ale jest u siebie?

Odpowiedziała po kilku sekundach:

– Wyszedł przed godziną.

– Nie wierzę. Można tam wejść?

– Nie można!

– Pani coś ukrywa!

– Nie wejdzie pan do gabinetu po prostu dlatego, że szef zaniknął drzwi na klucz i zabrał go ze sobą.

Pochyliła się nad krawędzią makiety biurka, na której sterczały barwne rysunki szklanki napełnionej herbatą i wazonu z kwiatami. Obrazki te wycięto z brystolu. Razem z innymi dekoracjami rozstawionymi w lokalach centrali handlowej mogłyby one wprowadzić w błąd jedynie widza patrzącego na nie z okna sąsiedniego wieżowca. Sztuczna sekretarka przesunęła gumowy palec po brzegu tarczy i położyła go na guziku sygnalizacyjnym.

Skoczyłem ku drzwiom gabinetu. Lalka miała dobry refleks: ze swego obrotowego łożyska mogła sięgnąć do klamki i chwyciła za nią sekundę wcześniej. Nacisnąłem na drzwi ciężarem całego ciała.

– Kierownik zabronił! – wrzasnęła nieludzkim głosem.

Jej krzyk zlał się w jedno z chrzęstem rozdzieranego plastyku. Przez szparę utworzoną przy futrynie zobaczyłem spódnicę Lindy porzuconą na oparciu krzesła. Coś jeszcze blokowało drzwi: zanim ostatecznie ustąpiły, usłyszałem ostry zgrzyt, który dobiegł z miejsca zajmowanego przez

sekretarkę. Po chwili drzwi trzasnęły o ścianę gabinetu i wpadłem do środka.

Linda była prawdziwa. Miała na sobie tylko bluzkę i pończochy. Siedziała przy wykrojonej z dykty sylwetce biurka na kolanach plastikowego mężczyzny. Patrzyła z przerażeniem to na mnie, to na coś obok, co jeszcze bardziej przyciągało jej uwagę i paraliżowało ją do tego stopnia, że nie uświadamiała sobie wcale, w jakiej ją widzę sytuacji. Manekin również tam patrzył. Odwróciłem się za siebie.

Przy drzwiach wisiała proteza całej ręki. Była wyrwana ze sztucznego stawu razem z kauczukową łopatką i dyndała na klamce, trzymając się jej kurczowo gumowymi palcami.

Sekretarka zwróciła się do nas na obrotowym stołku. Była do niego przymocowana tak silnie, że nie spadła na podłogę w momencie wstrząsu. Prawy jej bok otwierała niekształtna jama. Zamiast żywej twarzy miała nadal tę samą nieruchomą maskę woskowej figury o rysach zakrzepłych w półuśmiechu.

– A mówiłeś, że tylko mnie kochasz – powiedziała zgaszonym głosem. – Miałeś jej to dzisiaj wreszcie oświadczyć. Czy nie obiecałeś? Przecież właśnie dlatego przywołałeś ją do siebie i kazałeś mi pilnować, aby nikt ci nie przeszkodził.

Poprawiła sobie perukę ocalałą ręką. Palce jej zdobiły druciane obrączki z kolorowymi szkiełkami. Naraz oderwała tę dłoń od peruki i przeniosła ją do prawego boku. Zamarła w bezruchu. Najbardziej nieznośne było zestawienie uśmiechu raz na zawsze utrwalonego na masce jej twarzy z niekłamanym zdumieniem, które zabrzmiało w okrzyku, jaki z siebie wydała po odkryciu sztucznej rany.

– Gdzie ja to mam?

Nie zapytała o rękę, jak gdyby możliwość jej utraty nie wchodziła tu w ogóle w rachubę.

Słońce świeciło mi w oczy przez wysokie okno. Podłogę przy progu zalewała czerwona farba. Unosił się z niej intensywny zapach rozpuszczalnika nitro. Sekretarka szukała czegoś wzrokiem dookoła stołka. By przysłonić jej sobą makabryczny obraz przy drzwiach, wstąpiłem w kałużę farby. W zamęcie dziwnych zdarzeń nie wyobrażałem sobie reakcji uszkodzonej kukły na widok jej własnej ręki urwanej i zawieszanej na klamce. Linda ubierała się w kącie pokoju.

Myśl o perwersyjnej zdradzie z manekinem, jakiej dopuściła się moja dziewczyna w okolicznościach przepełniających mnie trwogą, pomieszana z równoczesnym uczuciem winy i nieokreślonego zagrożenia ze strony okaleczonej lalki, obezwładniła mnie do tego stopnia, że nie byłem zdolny do podjęcia jakiejkolwiek decyzji. Temu stanowi ducha towarzyszyła wcześniej już ustalona niemożność przeprowadzenia granicy między autentyzmem i programową symulacją w postawach sztucznych ludzi.

Czułem na plecach spojrzenie szklanych oczu. Pod jego wpływem wyobraziłem sobie, że muszę natychmiast ukryć gdzieś tę urwaną protezę lub przymocować ją do boku mechanicznej sekretarki. Próbowałem rozgiąć gumowe palce. Nie mogłem ich jednak oderwać od klamki. W trakcie tych szalonych zmagania poczułem nagle na swej szyi inne lodowate palce, które zacisnęły się na niej z taką samą mocą, jak tamte na klamce. Już traciłem oddech, gdy manekin atakujący z tyłu poślizgnął się w kałużę farby i rozluźnił nieco swój chwyt. Miał gorszy refleks. Odepchnąłem go od siebie na odległość ciosu i trzasnąłem z całej siły pięścią w środek jego plastikowej maski. Zachwiał się na nogach. Nim runął na podłogę, w ciszy gabinetu rozległ się donośny krzyk Lindy. Nie wyrażał on żadnej treści poza panicznym strachem. Ponieważ wyglądało to na atak hysterii, podbiegłem do niej i zatkałem jej usta ręką. Obawiałem się zbiegowiska.

– Jak mogłaś! – syknąłem przez zaciśnięte zęby.

– To ty? Carlos! Czy to ty jesteś? – mamrotała niewyraźnie.

– Jak mogłaś tak postąpić akurat dzisiaj? – zaakcentowałem ostatnie słowo.

– Dzisiaj?

Szeroko rozwartymi oczami patrzyła przed siebie ponad moim ramieniem. Usłyszałem łoskot wywracanego krzesła. Plastikowy kierownik leżał na wznak z twarzą wgniecioną do środka pustej czaszki. Jego sztuczne ciało prężyło się konwulsyjnie, naśladując agonalne drgawki. Zakrzywionymi palcami darł na strzępy makietę biurka. Raz jeszcze kopnął krzesło bosymi stopami o wyglądzie drewnianych prawideł do prostowania butów i znieruchomiał ostatecznie.

Linda pochyliła się nad manekinem.

– On nie żyje – szepnęła.

– Co ty pleciesz, głupia!

– Ona nie jest taka głupia – powiedziała sekretarka. – To jest doświadczona kurwa.

Miałem jeszcze w oczach obraz nieprzyzwoitej pozy, w jakiej zobaczyłem Linde po otwarciu drzwi gabinetu. Teraz położyła dłoń na zdeformowanej masce. Poruszyła głową sztucznego kierownika. Byłem zdenerwowany do granic wytrzymałości, ale nie myślałem o niej w kategoriach zwykłej zdrady. Odezwała się w momencie, gdy jakiś manekin stanął w drzwiach sekretariatu:

– Zabiłeś go!

– Zwariowałaś czy żartujesz sobie ze mnie?

– Ledwie cię poznałam, Carlos. Co się z tobą stało?

Odciągnąłem ją za pasek od makiety trupa.

– Linda, błagam, przestań się wygłupiać. Przecież to jest plastikowa kukła!

– Puść ją! – ryknął groźnie sztuczny typ za moimi plecami. Linda ominęła go w drzwiach i wybiegła na korytarz.

– Poczekaj! – zawołałem. – Tak nie możemy się rozstać.

Zniknęła na klatce schodowej. Pognałbym za nią na górę, lecz przywołany hałasami świadek awantury zdecydowanie zagroził mi drogę.

– Nie ruszaj się z miejsca! – warknął ostrzegawczo. Trzymał w ręku nóż z długim ostrzem przygotowany do ciosu. – Już więcej nikogo nie zamordujesz.

Ubrany był w papierową koszulę i spodnie o tak idealnych kantach, jak gdyby nigdy w nich jeszcze nie usiadł. Może przeznaczono go do odegrania tylko jednego epizodu. Swym ciałem uformowanym byle jak ze sztucznego tworzywa kopiował nieprzeciętnego grubasa. Gumowym brzuchem zatarasował wyjście na korytarz.

Jego wzorową postawę spontanicznego obrońcy pracowników biura zlekceważyłem całkowitym milczeniem: nie miałem czasu ani ochoty tłumaczyć, jak doszło do pozorowanej śmierci ich przełożonego. Zależało mi wyłącznie na porozumieniu z Linda. Lecz kiedy bezceremonialnie wypychałem go z przejścia, cofnął się nagle w głąb korytarza i z niespodziewaną zręcznością zadał mi silny cios nożem w okolicę serca.

Długi stalowy nóż zanurzył się w moim ciele po samą rękojeść. Po chwili szarpnięty tą samą plastikową dłonią, która go wbiła w moją pierś, wyleciał z rany i zadzwonił na marmurowej posadzce. Przez sekundę jak cała wieczność długą trwaliśmy w śmiertelnym uścisku. Wpatrzony w jego tłustą twarz wytłoczoną z masy, na której gruba warstwa błyszczącego lakieru naśladowała perlisty pot, poczułem na piersi zimny strumień krwi. Zalewała koszulę. Rozdarłem ją i podniosłem do oczu ręce: były lepkie, czerwone, straszne.

Wtedy dopiero nogi ugięły się pode mną. Zadrzałem ze strachu, ale nie na widok krwi, która zapachniała rozpuszczalnikiem nitro: przeraziła mnie myśl, że jestem jednym z nich – plastikowym manekinem. Nie czułem najłżejszego bólu.

Sztuczny napastnik, pewny swej przewagi, podtrzymał mnie za ramiona, jak przeciwnika niezdolnego do walki, bo już konającego. Dostrzegłem przy jego bucie zakrwawiony nóż. Sięgnąłem po tę dziwną broń jedynie w tym celu, aby zobaczyć z bliska, na czym polega jej tajemnica, gdyż na piersiach umazanych czerwoną farbą nie znalazłem śladu najmniejszej rany.

Nie planowałem żadnego chwytu samoobronnego. Jednak schylając się po nóż przysiadłem tak gwałtownie, że manekin pozbawiony podpory zwałił się na moje plecy, a kiedy – po ułamku sekundy, już z nożem w garści – wyprostowałem się równie nagle i z podejrzaną łatwością, grubas wywinął kozła w powietrzu i runął na poręcz schodów.

Był bardziej lekki, niżby to wynikało z rozmiarów jego tuszy. I dlatego tylko przypadkiem podrzuciłem go na taką wysokość. Spadając na kruchą makietę poręczy, roztrzaskał ją na drobne kawałki. Jedna z listewek przeszła mu na wylot brzuch nadmuchany powietrzem i pękła; zawisł na drugiej, rozłupanej na dwie ostre drzazgi, które utkwily w jego gumowym gardle. Wnętrzem klatki schodowej powróciło echo łoskotu. Towarzyszył mu syk uchodzącego powietrza. Manekin kurczył się. Wkrótce atrapa grubasa przybrała wygląd chorobliwie szczupłego mężczyzny.

Słyszałem za sobą jakieś głosy. Spoza uchylonych drzwi wyglądały nieśmiało głowy sztucznych urzędników. Śledzili mnie. Obserwowali przebieg walki, więc spodziewałem się, że w razie potrzeby mogliby złożyć zeznania na moją korzyść. Może wśród nich był ktoś prawdziwy, przed kim należało się usprawiedliwić.

– Widzieliście, kto pierwszy uderzył! – zawołałem w głąb korytarza, za głośno, jakbym wzywał na świadka cały gmach.

Wskazałem nożem na swoją czerwoną pierś. Wszystkie drzwi zatrzasnęły się, gdy podszedłem kilka kroków. Na widok zakrwawionej postaci z bronią w ręku manekiny odegrały scenę strachu.

Obejrzałem nóż. Pod naciskiem palca, którym pokonałem opór słabej sprężyny, cały brzeszczot wsunął się gładko do rękojeści. Z czubka, tępego i zakończonego okrągłym otworem – jak z lekarskiej strzykawki – trysnęła reszta czerwonej farby. Brzeszczot wyskoczył z ukrycia po zwolnieniu nacisku. Z daleka wyglądał groźnie. Tłoczek schowany w rękojeści napełnionej farbą wypchnął ją przez rurkę na zewnątrz w chwili uderzenia nożem.

Pobiegłem po schodach za Lindą, aby pokazać jej ten teatralny rekwizyt. Ostatnie odkrycie rzucało nowe światło na wydarzenia całego dnia. Mogłem sobie teraz wiele wyobrazić, ale w dalszym ciągu nie rozumiałem zachowania Lindy, która zdradzając mnie z kopią swego kierownika, o co ja na nią powinienem się obrazić, sugerowała mi stanowczo, że zabiłem człowieka.

Na sześćdziesiątym trzecim piętrze nie znalazłem nikogo żywego: ani Lindy, ani nawet żadnej ruchomej i gadającej atrapy. W zaśmieconych ruderach, których nie otynkowane, betonowe sufity i tekturowe ściany działowe żłobiły głębokie bruzdy wieloletnich zacieków (było to ostatnie piętro wieżowca), między prowizorycznymi makietami biurowych mebli siedziały lub stały szare ze starości gipsowe odlewy postaci mężczyzn i kobiet. Odlewom tym nadano wygląd ludzi pogrążonych w pracy. Potrąciłem niechcący jeden z nich. Upadł i rozbił się na twardej posadzce.

Linda mogła wejść jeszcze wyżej. Po metalowej drabince wspiałem się na otoczony balustradą płaski dach Temalu. Pod gołym niebem usłyszałem ryk syreny alarmowej. Przechyliłem się nad balustradą i wyrząłem. Daleko w dole, pod wejściem do centrali handlowej, zatrzymały się z piskiem hamulców dwa samochody: biały i czarny. Syrena umilkła. Alarmowe sygnały świetlne na dachach samochodów mrugały nadal. Z obu wozów wyskoczyły na chodnik małe, poruszające się szybko postacie. Trudno je było rozpoznać ze znacznej odległości. Nosiły białe i czarne ubrania.

Lecz o karetce pogotowia ratunkowego i wozie karabinierów pomyślałem dokładnie w tej samej chwili, w której ujrząłem panoramę całego miasta. A wtedy zapomniałem o tym, co się działo pod

wejściem do biurowca.

Z dachu Temalu zobaczyłem cały Kroywen. W jasnym słońcu pogodnego dnia i w powietrzu czystym aż do horyzontu ujrzałem pełną panoramę miasta zbudowanego prawie z samych dekoracji i położonego po obu stronach jeziora Vota Nufo, którego wodę w większej części imitowało szkło. Chociaż od rana miałem wiele czasu, by się przygotować do każdego wstrząsu, obraz ten zaskoczył mnie.

Prawie wszystko dookoła, od Aiwa Paz rozciągniętego malowniczo za rzędem palm na wschodnim brzegu Vota Nufo, przez makiety trzech mostów zawieszonych nisko nad szklanym jeziorem, do zachodniej granicy miasta opasanego z tej strony kopiami wieżowców Uggioforte, wzniesionymi na górze, i w drugim kierunku: od Riwazolu na południu, zamieszkanego głównie przez kolorowych, wzdłuż linii metra (łączącej tę dzielnicę z Quenos) na odcinku do Pięćdziesiątej Ulicy i od Tawedy, w której stał mój dom, do pomocnego krańca miasta, aż po sam Quenos, więc wszystko (z wyjątkiem autentycznego fragmentu Śródmieścia wokół Temalu, części Piał Edin, gdzie pracowałem, oraz Lesaioli – małego osiedla, które zajmowało dolinę na wschodnim brzegu jeziora) – wszystko w całym Kroywenie było fałszywe.

Patrzyłem w kierunku południowo – wschodnim na drugi brzeg jeziora, gdzie pod prawdziwym błękitem nieba leżało sztuczne Aiwa Paz. Rozległą dzielnicę wypełniały makiety domów (skopiowanych bardzo wiernie) ustawione frontem do centrum Kroywenu. Poza nimi w dali, aż do horyzontu, zielenił się gęsty palmowy las. Czy był prawdziwy? Znaczna odległość nie pozwalała rozstrzygnąć tej wątpliwości. Jedyne zabudowania i różne konstrukcje, jak mosty, obiekty fabryczne, słupy i dźwigi – demaskowały łatwo swoje sztuczne pochodzenie.

Przeszedłem w drugi koniec tarasu i spojrzałem w stronę północno – wschodnią. Szklane lustro wody Vota Nufo – oglądane z wysokości dachu Temalu – miało kształt sylwetki olbrzymiego wieloryba z ogonem przy Riwazolu i z głową pomiędzy Tawedą a Lesaiolą. Ta ostatnia, peryferyjna i niepozorna miejscowość, zwracała teraz na siebie uwagę faktem, że była prawdziwa: przetrwała noc w nie zmienionej postaci obok wielkiego miasta, całkowicie nieomal przeobrażonego. Jej obecny wygląd nasuwał kolejne pytania, Lesaiolę bowiem odwiedziłem tylko raz i nie zauważyłem tam wtedy nic szczególnego. Zagadka Lesaioli, która ocalała na skraju wielkiej rekwizytorni, zastanawiała tym bardziej, że również woda jeziora pozostała prawdziwa prawie wyłącznie w dość rozległym rejonie obok tego małego osiedla. Drugi (znacznie mniejszy) obszar prawdziwej wody rozciągał się między mostami przy wylotach Dwudziestej i Trzydziestej Ulicy, więc już w samym śródmieściu Kroywenu. Można to było ustalić na podstawie różnicy w zabarwieniu powierzchni jeziora.

Raz jeszcze ogarnąłem wzrokiem panoramę całego miasta, a potem przyjrzałem się uważnie tej jego części, która pozostała prawdziwa. Łącznie zajmowała ona obszar około jednej piątej części całej powierzchni: mogłem ją wyodrębnić z całości dzięki nieco odmiennym odcieniom w barwach autentycznych zabudowań. Również żywa roślinność odcinała się od martwej trochę inną gradacją zieleni.

Granica między terenem pokrytym dekoracjami a ocalałym fragmentem miasta przebiegała w nim zawiłą linią: wycinała ona na planie Kroywenu jakąś pokracczną figurę o konturach zbliżonych do sylwetki ośmiornicy z głową utkwioną w centrum i mackami przerzuconymi przez jezioro w kierunku Lesaioli. Temal stał w miejscu zwężenia przy głowie tej ośmiornicy; jedno jej ramię pasem kilometrowej szerokości biegło na północ przez Piał Edin wzdłuż toru kolejowego aż do Tawedy, przy której skręcało pod prostym kątem na wschód, tam zaś rozszerzało się raptownie do potowy

szerokości wyspy, tworząc wielką zatokę przy południowym jej brzegu, drugie – bardziej poskręcaną wstęgą – rozdzielało dwa sąsiednie mosty i wiodło ze Śródmieścia na przeciwległy brzeg jeziora, gdzie obejmowało wschodnią jego stronę na zalesionym odcinku między Aiwa Paz a Lesaiolą, przy której łączyło się z pierwszym ramieniem. Oba te ramiona spotykały się ze sobą w okolicy nie zamieszkaney i tam były najszersze, zaś linia graniczna zawiłej figury, w której obrębie zawierały się wszystkie prawdziwe domy i drzewa oraz rzeczywista woda, zataczała też szeroki łuk wokół Lesaioli.

Bez żadnego związku z tym, co widziałem w dole, przypomniałem sobie naraz słowa Lindy: "Carlos, ledwie cię poznałam". Zanim rozstrzygnąłem, co z tych słów wynika: czy Linda miała na myśli mój wygląd, czy raczej moje zachowanie, zobaczyłem na tarasie trzech karabinierów. Jeden był Murzynem i ten tylko był prawdziwy. Stał pod wyjściem na drabinę z rewolwerem gotowym do strzału. Pozostali dwaj byli manekinami ubranymi w mundury karabinierów. Spoza ich pleców wychylała się nieśmiało maska jakiejś plastikowej kobiety.

– To on! – wskazała na mnie.

– Załóżcie mu kajdanki – rozkazał Murzyn.

Nie zamierzałem uciekać ani walczyć z nimi, więc to, co się stało w czasie następnych kilkunastu sekund, granczyło już z absurdem. Sztuczni przedstawiciele prawa chwycili mnie energicznie za ręce w tych miejscach, gdzie zakłada się kajdanki. Lecz zamiast spiąć mi nimi ręce, każdy z nich – po kilku gwałtownych ruchach, które pozorowały walkę – przyłożył sobie do gardła jedną swoją dłoń. Cofali się w kierunku najbliższej krawędzi tarasu. Trzymając silnie moje dłonie przy klapach swych mundurów, aby stworzyć złudzenie, że to ja ich duszę i pcham, podczas gdy oni wykonują tylko bezradne gesty samoobronne, wpadli plecami na balustradę i złamali ją. Wtedy dopiero puścili moje ręce, lecz znów w taki sposób, aby wyglądało, że ja ich strącam w przepaść.

Kiedy obaj runęli w dół, usłyszałem huk rewolwerowego strzału. Po chwili Murzyn wypalił do mnie z autentycznej broni jeszcze raz i powtórnie chybił. Po trzecim niecelnym strzale, przerażony możliwością utraty życia w tej nonsensownej zabawie, skoczyłem ku niemu i wykręciłem mu rewolwer z ręki. Zdołałem to zrobić bez większego trudu, powiedziałbym nawet, że z podejrzaną łatwością. Jednak w ostatnim momencie naszych krótkotrwałych zmagania prawdziwy karabinier ponownie nacisnął spust. Kolejny huk targnął powietrzem wokół Temalu. Kula ugodziła plastikową kobietę, która przyprowadziła tu karabinierów i znalazła się przed wylotem lufy w chwili przypadkowego strzału.

Rozbrojony Murzyn zeskoczył z drabiny i uciekł do windy. Kukła kobiety zwała się na betonową posadzkę tarasu. Pochyliłem się nad nią, by sprawdzić, czy rzeczywiście została trafiona, ponieważ po tamtej kanonadzie przestałem wierzyć, że magazynek broni naładowany jest ostrymi nabojami. Na sztucznym ciele kobiety nie znalazłem żadnej rany. Dopiero gdy odwróciłem ją na bok, z ust kukły wyciekła struga krwi. Rozchyliłem jej gumowe wargi. Zobaczyłem poza nimi szczątki napełnionego czerwoną farbą gumowego pęcherza podobnego do tych, jakie aktorzy rozgryzają czasem w ustach zębami, aby symulować na filmach śmiertelne wylewy wewnętrzne.

Przez kilka minut klęczałem nad atrapą kobiety badając jej plastikowe ciało. Nie znalazłem odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób manekiny poruszały się i mówiły. Miałem jednak całkowitą pewność, że od chwili wejścia do Temalu wszyscy sztuczni i żywi ludzie zmuszali mnie do udziału w rozgrywanej tu mistyfikacji.

Pod gmach zajechały dwa inne czarne wozy oraz druga karetka pogotowia ratunkowego. Do wieżowca wbiegło osiem czarnych postaci. Cztery uzbrojone były w pistolety maszynowe. Kierowcy wozów – rycząc klaksonami – dalej manewrowali w tłumie. Zbiegowisko utworzyło się na jezdni,

gdzie leżały szczątki karabinierów, którzy zeskokczyli z dachu. Liczni świadkowie wypadku zwracali twarze do góry i wskazywali mnie rękami.

Teraz możliwość ucieczki z gmachu otoczonego podnieconym tłumem wydała mi się już wykluczona. Po okresie wypełnionym biernymi reakcjami na ataki manekinów, kiedy minio woli odegrałem już tę ponurą rolę, jaką one mi wyznaczyły bez żadnego porozumienia ani pytania o zgodę, stanąłem w końcu przed alternatywą: zabijać dalej, począwszy od tej chwili już świadomie i aktywnie (co z całą pewnością bardzo spodobałoby się realizatorom tajemniczego programu), albo licząc na zrozumienie kogoś prawdziwego, kto rozpatrzyłby moje argumenty i uznałby ich oczywistość, oddać się bez walki w ręce sztucznej sprawiedliwości.

Poddając się, położyłbym kres krwawej zabawie, ryzykowałem jednak, że sztuczna sprawiedliwość wymierzy mi karę proporcjonalną do wielkości mojej zbrodni i wcale nie urojona. Brzmiały mi jeszcze w uszach nedorzeczne słowa Lindy wypowiedziane nad trupem plastikowego kierownika. Pamiętałem też nonsensowną odpowiedź prawdziwego przechodnia, którego zapytałem o zdanie na temat manekinów i który w mym pytaniu (zamiast chęci potwierdzenia faktycznego obrazu rzeczywistości) odkrył tylko manifestację pogardy dla wszystkich ludzi.

Czy po takich doświadczeniach mogłem ludzić się nadzieją, że na drodze z dachu Temalu pod nóż gilotyny, więc w czasie fikcyjnego śledztwa i pozorowanego przewodu sądowego, znajdzie się choć jeden prawdziwy i nieślepy człowiek, który by chciał i potrafił rozproszyć przede mną widmo rzeczywistej egzekucji? Już sobie tę gilotynę dobrze wyobrażałem – nie widziałem jednak samego jej ostrza: czy będzie gumowe, czy z hartowanej stali, a to tylko manekinom było obojętne.

Bez żadnej decyzji zszedłem wolno na sześćdziesiąte drugie piętro. W pustym korytarzu stała kukła chłopca. W szybie windy przez oszklone drzwi dostrzegłem ruch lin i usłyszałem szmer wznoszącej się kabiny. Z pewnością wypełniały ją gotowe do ostrej interwencji umundurowane manekiny.

Począwszy od tej chwili zdarzenia następnych kilkunastu sekund potoczyły się w tempie równie zawrotnym, jak wszystkie towarzyszące im moje myśli. Wypadki te miały przebieg bardziej dramatyczny niż poprzednie i doprowadziły do tragicznego zaostrzenia się konfliktu.

Nadal nic miałem pewności, czy w razie realnego ataku dysponuję użyteczną bronią. Aby to szybko sprawdzić, wypaliłem z rewolweru w najbliższą ścianę. Brak czasu na przegląd nabojów pozostałych w magazynku zmuszał do oddania próbnego strzału, zaś jego rezultat – co uświadomiłem sobie nagle – decydował o dalszym mym losie: odpowiadał nawet na istotne pytanie, z jakiego materiału wykonane jest ostrze miejscowej gilotyny egzekucyjnej, bowiem gdyby Murzyn (karabinier prawdziwy) strzelał ostrymi kulami, znaczyłoby to jednocześnie, że ludzie żywi traktują całą tę maskaradę serio i – co za tym idzie – że zabijają mnie wkrótce tak czy inaczej, skoro jeden z nich wcześniej próbował to zrobić.

Ściana, na którą zwróciłem broń, celując z odległości ledwie dwudziestu centymetrów przed oddaniem fatalnego strzału, miała wygląd nie otynkowanej betonowej płyty i nosiła na sobie brudne ślady różnorodnych zacieków i plam. "Mur jest gładki i stary" – to był lakoniczny opis krótkotrwałego obrazu ściany, jaki pojawił się w mej świadomości w postaci szybko po sobie następujących trzech informacji. Po informacji „mur” pojawiła się pewność bezpieczeństwa osób przebywających prawdopodobnie z drugiej jego strony, po informacji „gładki” natychmiast wyobraziłem sobie mały krater i zamknąłem oczy, spodziewałem się bowiem gradu betonowych odłamków i ciosu odbitej kuli w przypadku, gdyby tkwiła ona w komorze nabojowej.

Bywa czasem, że w przedmiocie wielokrotnie badanym dostrzegamy tylko najbardziej jaskrawe

jego strony i trzeba przypadku, skojarzeniowego bodźca, by dotąd ukryta, jakaś niezmiernie ważna cecha wcześniej i gdzie indziej oglądanej rzeczy – w myśli szybkiej i jasnej jak błyskawica – niespodziewanie ujawniła się nam.

Tego rodzaju olśnienia doznałem w najmniej odpowiednim momencie: bezpośrednio przed uruchomieniem spustu. Kiedy zamknąłem oczy, skryzalizowała się w mym umyśle kolejna informacja. Przynosiła bląhą wiadomość, że mur jest "stary". Dotarła jako ostatnia i spowodowała zatrzymanie ruchu palca, bowiem w tym właśnie ułamku sekundy zamiast rewolweru wypaliła w mej świadomości lekceważona dotąd myśl, że wszystkie dekoracje Kroywenu są równie stare, jak ten prawdziwy mur.

W czasie wielogodzinnej wędrówki po mieście, przytłoczony liczbą fałszywych budowli oraz faktem, że ich tu wczoraj nie było, przegapiałem systematycznie wcale nieobojętną możliwość oceny ich wieku, gdyż zdominowały ją tamte, bardziej krzykliwe fakty. I nie dostrzegałem patyny lat: spłowiałych na słońcu kolorów, rdzy, pajęczyn rozwieszonych w zakamarkach, grubej warstwy kurzu na powierzchniach osłoniętych przed wiatrem, oszlifowanych butami lub dotykami setek rąk krawędzi, próchna, wypaczeń wywołanych rzadkimi ulewami i całodzienną operacją słońca oraz wszechobecnego brudu – słowem widząc same dekoracje, nie dostrzegałem, że noszą one na sobie ślady wieloletniego istnienia w Kroywenu, gdzie upływało całe moje życie.

Dopiero po tej piorunującej myśli, która ujawniała obiektywny fakt stałej obecności dekoracji w mieście i wywracała do góry nogami sens porannego odkrycia, wskazując równocześnie na niepojętą ślepotę mego dotychczasowego życia, z opóźnieniem (czterosekundowym chyba) nacisnąłem spust i usłyszałem huk wystrzału.

Otwierając oczy, zwróciłem je bezpośrednio na drzwi zatrzymanej windy. Stali już przed nimi sztuczni karabinierzy. Było ich dwóch, bo w krótkim czasie, kiedy strzelałem z niepewnej broni i myślałem o wieku dekoracji, czterej inni nie zdążyli jeszcze opuścić kabiny. Ci dwaj, którzy wyskoczyli już z windy, skamienieli pośrodku korytarza, wpatrując się we mnie wytrzeszczonymi szklanymi oczami. W porównaniu z innymi sztucznymi ludźmi robili takie wrażenie, jak sztywne figury woskowe lub pozbawione możliwości ruchu manekiny ustawione na wystawie sklepu z mundurami wojskowymi. Zrozumiałem po chwili, że pozorowanym uczuciem, które ich zahamowało w biegu, chcieli wyrazić swe osłupienie spowodowane ohydą dostrzeżonego bestialstwa. A pojąłem to dopiero wtedy, gdy zwróciłem oczy na ścianę, by ocenić wynik strzelniczego eksperymentu.

Pod ścianą naprzeciwko wylotu lufy tkwiła przeszyta na wylot rewolwerowym pociskiem głowa plastikowego chłopca.

Na ten widok nogi ugięły się pode mną. Straciłem poczucie upływającego czasu. Stopy wrosły mi w podłogę, zaś bolesny kurcz mięśnia prawej ręki, utrzymującej wciąż na wysokości czoła imitowanej ofiary narzędzie symulowanego okolicznościami mordu, uniemożliwiał mi zmianę strasznej, ostatecznie już beznadziejnej pozycji. Jedyłą przytomną myślą, jaka torując sobie drogę wśród niedorzecznych majaczeń przedarła się w mym umyśle przez nagłą eksplozję trwogi, była lodowata konstatacja: wszystkie manekiny działają zgodnie z narzuconym przez kogoś programem, który zmusza mnie do odgrywania roli zwyrodniałego bandyty. Był to bowiem fakt nader oczywisty, że pozbawiony instynktu samozachowawczego, kierowany wcześniej ustalonym programem sztuczny szczeniak w czasie mej krótkotrwałej nieuwagi – sprytnie ją wykorzystując – podbiegł szybko do miejsca przewidywanego strzału w tym wyłącznie podłym celu, aby wypełnić swoją pustą głową niewielką odległość między ścianą a wylotem lufy.

Gdy zastrzelona kukła malca zwała się na podłogę, karabinierzy zdjęli z ramion imitacje swych pistoletów. Potrącając ich w biegu, kilkunastoma szybkimi skokami pomknąłem na drugi

koniec korytarza. Tam przycisnęła mnie do drzwi długa seria drewnianych pocisków z pistoletu maszynowego. Zamroczony lawiną nieprzewidywalnych zdarzeń nie działałem w myśl jakiegoś sensownego planu postępowania: ratowałem się tylko ucieczką przed natychmiastowym wykonaniem wyroku, już bez troski o przyszłość, jak dzikie, osaczone zwierzę.

Głęboko osadzone w ścianie drzwi, na które naciskałem coraz mocniej, kryjąc się za rogiem muru przed ciosem prawdziwej kuli, otworzyły się niespodziewanie. Przypadek sprawił, że wpadłem tyłem do sekretariatu kierownika Lindy. Jego kukła powalona uderzeniem pięści leżała jeszcze w gabinecie. Znalazłem się więc z powrotem w tym samym miejscu, skąd wyszła moja usiana sztucznymi trupami droga.

W środku zastałem trzy ubrane na biało postacie. Wchodziły one w skład ekipy ratunkowej pierwszej karetki pogotowia. Dwaj sztuczni sanitariusze układali na noszach kukłę kierownika. Manekin lekarza, pochylając się nad fałszywą sekretarką, zbliżał rękę uzbrojoną w prawdziwy skalpel do rozerwanego boku rannej. Komuś, kto patrzyłby z daleka na tę scenę, wydawałoby się pewnie, że obserwuje operację chirurgiczną. Sekretarka miała zamknięte oczy; była niema i sztywna.

Scenę tę ogarnąłem jednym, szybszym od myśli spojrzeniem. Miała ona charakter niezwykle statyczny: wszystkie postacie biorące w niej udział pozowały tylko, jak gdyby stały przed aparatem fotograficznym. Dopiero ogłuszający terkot pistoletu maszynowego, który wstrząsnął ścianami piętra, momentalnie uruchomił wszystkie sprężyny ospale toczącej się akcji.

W postaci mężczyzny ściganego gradem kul i cofającego się z rewolwerem w rękę fałszywy lekarz dostrzegł natychmiast swego potencjalnego wroga. Z wprawą cyrkowego miotacza cisnął we mnie skalpelem. W sekundę po jego niecelnym rzucie pociągnąłem za cyngiel. Ten nerwowy odruch został wywołany świstem ostrza śmigającego przy moim uchu. Chociaż tym razem już świadomie mierzyłem w pierś napastnika, zdenerwowany gwałtownością starcia – spudłowałem. Kula rozdarła torbę sanitariusza, ukazując jej zawartość: zwój grubej liny. Lecz choć pocisk z całą pewnością nie ugodził lekarza, ten z głuchym jękiem rozpostarł ręce i wyprężył się jak człowiek śmiertelnie trafiony. Na jego białym płaszczu wykwitła czerwona plama. Gdy runął na wznak, zwróciłem się do drzwi, skąd również dobiegł łoskot upadającego ciała. Za progiem leżał karabinier. W jego gardle tkwił wyrzucony przez lekarza skalpel.

Miałem tego wszystkiego dość. Już poczerwieniało mi w oczach od tej nieustannej jatki. Zatrzasnąłem drzwi i zamknąłem je na klucz tkwiący w zamku. Klucz schowałem do kieszeni.

Przyjrzałem się trupowi. Zaintrygowany rodzajem podstępu, jaki pozorował śmierć mej ostatniej rzekomej ofiary, rozpiąłem zalany czerwoną farbą płaszcz i usunąłem resztki koszuli z piersi plastikowego lekarza. Miał dziurę w klatce piersiowej po eksplozji małego ładunku wybuchowego. Plastry utrzymywały na wysokości serca rozerwany pakiecik trotylu, zaś cienki drut – poprzez miniaturowy detonator – przebiegał rękawem do lewej dłoni.

– W imieniu prawa, otwieraj! – zabrzmiał ostro jakiś głos poza drzwiami.

Krzykowi towarzyszył łomot pięści.

– Cicha tam! – zawołałem jeszcze groźniej.

– A co? – głos przycichł, nieco speszony moim zuchwalstwem, lecz zaraz podsunął z podejrzaną domyślnością: – Zastrzelisz zakładników, jeżeli wyważymy drzwi?

– On to uczyni, jak mamę kocham, panie kapralu! – zawył jeden z sanitariuszy.

– Jasne! – potwierdziłem twardo. – Sami widzieliście, do czego jestem zdolny.

Zakładnicy – powtórzyłem w myśli. Skąd ja to znałem? Gdzie już widziałem te wszystkie ograne kawałki?

Usiadłem pod ścianą z rewolwerem w rękę. Wiedziałem, że pod groźbą tej prawdziwej broni

mógłbym stawiać karabinierom terrorystyczne warunki. Wolność – w zamian za życie sanitariuszy.

– Nie zrobię im krzywdy – powiedziałem w przestrzeń – jeśli pozwolicie mi stąd wyjść i odjechać podarowanym samochodem.

– Zgoda – odparł głos na korytarzu.

– Ale poprowadzę zakładników do wozu pod lufą i zastrzelę ich w przypadku, gdybym zobaczył gdzieś po drodze kogoś uzbrojonego.

– Przyjmujemy ten warunek. Otwieraj!

Zgoda wyrażona tak szybko i skwapliwie musiała obudzić podejrzenie, toteż kapral, spostrzegłszy głupstwo w rozkazie: "Otwieraj!", poprawił się po chwili głębszego namysłu:

– Sytuacja jest zbyt skomplikowana. Sam nie mogę podjąć tak ważnej decyzji. Dam odpowiedź po porozumieniu z naszymi zwierzchnikami. Zaraz idę do telefonu.

Wyobrażałem sobie, do jakiego telefonu idzie. Odchodząc zostawił w korytarzu czterech wartowników. Nie wierzyłem w pertraktacje. Niezależnie od treści uzgodnionej decyzji zatłukliby mnie gdzieś z ukrycia, zanim doszedłbym do podstawionego wozu – uzmysłowiłem sobie z całą wyrazistością. Również sztuczne prawo nie musiało się liczyć ze słowami rzuconymi zbrodniarzowi.

Czekałem na głos spoza ściany wiedząc, że nie przyniesie mi on przyrzeczonej wolności.

Mijały godziny. Od czasu do czasu kręciłem się między nieruchomymi manekinami. Wszystkie te atrapy odegrały już swe epizody w marginesowej części tajemniczego scenariusza Kroywenu, jaki bezwiednie i mimo woli realizowałem od rana. Nie musiały dalej kreować swych peryferyjnych ról.

Nie miałem żadnej koncepcji rozumnego postępowania. Gorzej: w ogóle nie wyobrażałem sobie teraz życia na zawsze przekreślonego widmem dokonanych zbrodni, jeżeli miało ono trwać wśród dekoracji, nawet wówczas, gdybym zdołał stąd wyjść. Czy to była tragedia, czy farsa? – nikt mi nie wskazywał odpowiedzi właściwej i dlatego w myślach wpadałem z jednej skrajności w drugą: to drżałem ze strachu przed karą za śmiertelne ciosy, to bawiłem się, widząc w nich kpiny i żart.

Do wieczora czekałem biernie na dalszy rozwój wypadków. Ale nic nie nastąpiło. Wreszcie zapadła noc. Zamknąłem sanitariuszy w gabinecie, a sam wyciągnąłem się na podłodze sekretariatu, którą pokrywał barwny rysunek okazałego dywanu. W całej tej makabrycznej zabawie realny był tylko skręt moich kiszek wywołany trzydziestogodzinnym postem. Żołądek – widać – nie umiał symulować uczucia sytości.

Lecz jak to się działo, że żyjąc wśród dekoracji, które otaczały mnie przez lata całe, nie dostrzegałem ich? Zasnąłem z tą myślą.

Tak upłynął poniedziałek.

Świtało, kiedy otworzyłem oczy. W gmachu i poza oknem panowała cisza. Usłyszałem tylko jakiś metaliczny szcęk. Dobiegł z zamka drzwi, które oddzielały gabinet od sekretariatu. Ten szcęk właśnie postawił mnie na nogi.

– Panie kapralu! – Wołanie sanitariusza tłumiała do cichego szeptu gruba warstwa tkaniny dźwiękochłonnej pokrywająca drzwi gabinetu. – Rozwalcie natychmiast tamte drzwi! My siedzimy w drugim pokoju i jesteśmy tu bezpieczni!

– Jak to, jesteście tam bezpieczni? – szepnąłem do siebie z niedowierzaniem. – A mój rewolwer, to co?

Sięgnąłem do kieszeni po odpowiedni klucz. Kiedy po kilku nieudanych próbach ułożenia go w zamku pochyliłem się nad nim, zrozumiałem, co sanitariusze mieli na myśli: ze swej strony wepchnęli do zamka jakieś śmieci, uniemożliwiając mi otwarcie drzwi, poza którymi uwięziłem ich na noc.

A to dranie! – pomyślałem z nagłym rozczuleniem. – Sprytnie to sobie ułożyli. Szczęście dla mnie, że z tego wołania nie dotarło ani jedno słowo na korytarz. W przeciwnym wypadku musiałbym dalej zabijać i sam bym zginął. Nieudany chwyt sztucznych zakładników świadczył jednak o ich gotowości do podstępnego działania, gdyby wyłoniła się okazja, toteż na dotrzymanie słowa karabinierów również nie mogłem liczyć.

Lecz wiadomość o swej korzystnej sytuacji sanitariusze mogliby napisać na kartce papieru i rzucić ją przez okno. Musiałem więc jakoś zabezpieczyć się przed skutkami takiego manewru. Raz już mocowałem się z tymi drzwiami i pamiętałem, że tylko ich rama była twarda, zaś cały środek wypełniała ta właśnie gruba poduszka izolacyjna, która stłumiła alarm. Kierownik dobrze był odgradzony od podsłuchującej sekretarki.

W podręcznej walizce doktora, wśród imitacji różnych przyborów lekarskich i narzędzi chirurgicznych, znalazłem drugi stalowy skalpel. Wyciąłem nim duży otwór w drzwiach gabinetu, usuwając z nich miękką poduszkę. Po tej operacji kazałem zakładnikom przejść do sekretariatu. Mieliby oni teraz zawiedzione miny, gdyby mogli – na swych sztywnych maskach – rozluźnić nieco grymasy szczęścia odlanego z masy plastycznej. Przez następną godzinę z korytarza dochodziło monotonne głędzenie wartowników. Zdecydowani na długotrwałe obłężenie statystowali w ospałej akcji, czytając wojskowy regulamin.

Patrzyłem bezmyślnie na torbę sanitariusza, z której – przez długą dziurę po rewolwerowej kuli – już wczoraj (co wtedy zauważyłem) wysunął się zwój jakiejś linki.

Na co im ten powróż? – zadałem sobie wreszcie proste pytanie. I odgadłem:

– Siadajcie plecami do siebie – rozkazałem. Ociągali się, udając nie wtajemniczonych. Popchnąłem ich łagodnie na podłogę. Potulnie wsparli się o siebie plecami. Odciąłem skalpelem kawałek linki ze zwoju i związałem ich razem. Gumowe usta – aby nie mogli porozumieć się z wartownikami – zakleiłem im szczelnie dużymi plastrami opatrunkowymi, które wydobyłem z torby. Skalpel ukryłem w kieszeni po zabezpieczeniu ostrza trzecim plasterem. Przymocowałem początek linki do rury pod oknem sekretariatu i wyrzuciłem za okno jej koniec.

Zwoje rozwinęły się gładko: linka sięgnęła do pięćdziesiątej ósmej kondygnacji, czyli do okna znajdującego się o cztery piętra niżej. O tak wczesnej porze na ulicy pod Temalem nie było jeszcze żadnego ruchu. Wśród samochodów parkujących pod ścianą gmachu dostrzegłem jednak dwa nowe radiowozy i dużą ciężarówkę wojskową, która wieczorem przywiozła tu większą liczbę karabinierów.

Wolałem nie patrzeć już dłużej w tę dwustumetrową przepaść. Rewolwer wsunąłem za pasek spodni, chwyciłem za linę i powoli zjechałem w dół.

Przekonanie o powodzeniu tej efektownej akrobacji dawała mi zagadkowa obecność liny w torbie sanitariusza – liny podsunętej mi wyraźnie przez manekiny, jak na scenę dostarcza się rekwizyt teatralny przewidziany tekstem gotowego scenariusza, jakby wszystkim zależało wyłącznie na samej śmiałości mej gry. Zaledwie jednak opuściłem się kilka metrów poniżej krawędzi okna, gdy poczułem silny cios w głowę. Kątem oka ujrzałem nad sobą jakieś ramię. Zamarłem ze strachu przy litej ścianie pomiędzy dwiema kondygnacjami. Lecz lodowaty dreszcz przerażenia wywołany zawieszeniem nad otchłanią był drgnieniem słodkiej rozkoszy w porównaniu ze zgrozą tego dławiącego uczucia, jakie o mało co straciłoby mnie w przepaść, kiedy dostrzegłem, że ta ręka, która szponami palców trzymała moje włosy, wyrasta bezpośrednio z gładkiego muru, i kiedy rozpoznałem w niej rękę sekretarki.

Przytwierdzona do stołka biedna duża lalka cały czas udawała zmarłą, toteż w rozgrywkach z manekinami wcale nie brałem jej pod uwagę. Teraz okaleczona sekretarka makabrycznym gestem oddawała mnie w ręce karabinierów. Ona to bowiem z obrotowego łożyska – po upiornym okrzyku: „Zapomniałeś o trofeum, roztargniony rogaczu, który uciekłeś przez okno i wisisz na linie!”, nawiązującym do perwersyjnego romansu Lindy z plastikowym kierownikiem – wyrzuciła mi na głowę przez okno swoją urwaną protezę.

Widocznie w czasie pozorowanej operacji dopóty męczyła lekarza pytaniem: „Gdzie ja to mam?“, aż zniecierpliwiony manekin zdjął protezę z klamki i ukrył ją za imitacją biurka w zasięgu ocalałej ręki nieszczęśliwej kochanki sztucznego kierownika.

Słyszając jej demaskatorski okrzyk, wartownicy (wcześniej zapewne przygotowanymi narzędziami) błyskawicznie włamali się do pokoju. Po chwili zobaczyłem ich głowy nad sobą. Niepomyślny przypadek sprawił, że trzy kolejne okna pod sekretariatem były zakratowane. Może poza tymi oknami znajdowały się kasy centrali handlowej i dlatego – w obawie przed złodziejami, taką samą jak ja metodą chodzącymi po ścianach – solidnie je zabezpieczono.

Musiałem dotrzeć do samego końca liny – do czwartego, nie okratowanego już okna. Kiedy wreszcie opuściłem się do jego poziomu i kopnięciem buta rozbiłem szybę, zobaczyłem w głębi pokoju drugą zmobilizowaną do akcji grupę karabinierów. Ścigający porozumiewali się między sobą przy pomocy prawdziwych krótkofalówek i dlatego łatwo zlokalizowali miejsce mojego zawieszenia na ścianie.

Stałem na parapecie okna, trzymając koniec linki w lewej, zaś gotowy do strzału rewolwer w prawej dłoni. Wahałem się między dwoma rodzajami śmierci: pomiędzy przepaścią z jednej – a lufami pistoletów maszynowych z drugiej strony. Ostatecznej decyzji manekiny nie przyśpieszały żadnym ruchem ani słowem. W napiętej ciszy oczekiwania na nią odezwały się kroki prawdziwego karabiniera. Był to ten sam Murzyn, któremu odebrałem broń na dachu Temalu.

Podszedł swobodnie i podniósł do okna rękę niczym nie uzbrojoną.

– Ta pukawka jest moja – rzekł lekko, jakby prosił o zwrot zgubionej papierośnicy.

Miał rację i był prawdziwy. Ani się spostrzegłem, gdy rewolwer leżał już ha jego wyciągniętej i rozwartej dłoni. Oczekiwałem, że Murzyn do swej rzeczowej uwagi dorzuci jeszcze przynajmniej jedno zdanie: „Panowie, dotarliśmy szczęśliwie do końca tej trudnej sekwencji, więc rozpuszczam ekipę, rozejdźcie się do domów”.

Lecz prawdziwy karabinier zachował się dziwnie: wsunął broń do kabury i z obojętną miną ulotnił się z wypchanego manekinami pokoju.

– Proszę pana! – jęknąłem, zanim trzasnął drzwiami.

O coś jeszcze chciałem go zapytać, co – w gonitwie myśli – mgliście kojarzyło mi się z introligatornią. Raptem jednak to “coś” całkiem wyleciało z mojej skołowanej głowy. Dostałem bowiem po niej pałką najbliższego karabiniera. Po ciosie spadłem z parapetu na właściwą stronę okna. Leżąc na podłodze odniosłem wrażenie, że słucham występu sekcji rytmicznej jakiegoś zespołu jazzowego. Tubalnym odgłosom ciosów wielu pałek (zrobionych z pustych w środku tekturowych rurek) akompaniowały ryki torturowanego zwierza. Osobliwość tej spontanicznej kaźni polegała na tym między innymi, że słyszalne w całej okolicy rozdzierające jęki wydawali z siebie ci sztuczni oprawcy, którzy aktualnie wymierzali mi bezlitosne razy.

Wkrótce manekiny nasyciły się zemstą za dwóch straconych z dachu kolegów. Powstając odkryłem na przegubach swych rąk kauczukowe kajdanki. Fałszywi sadyści podsunęli mi pod nos prawdziwe lusterko. Wyglądałem strasznie: starą czerwień krwawej plamy szeroko rozlaną na koszuli (to była farba z rękojęści noża) uzupełniły ciemnosine pręgi odbite na twarzy pałkami świeżo pomalowanymi na fioletowo.

Tak zmaltretowany ruszyłem ku windzie i zjechałem nią na parter w asyście ośmiu charakteryzatorów.

Na dole wszyscy byli już poinformowani o rezultacie całonocnego obleżenia. Zatrzymaliśmy się w westybulu, gdzie sztuczny oficer przejrzał niedbale moje dokumenty. Nie musiał ich dokładnie studiować, ponieważ po przesłuchaniu współpracowników Lindy wiedział już poprzedniego dnia na mój temat wszystko, co wiedzieć chciał.

– Pan się nazywa Carlos Ontena – rzekł oznajmującym tonem.

Skinąłem głową.

– I mieszka pan w Tawedzie?

Potwierdziłem.

– A ta kobieta kim jest?

Wskazywał palcem na fotografię formatu pocztówkowego, która od kilku dni tkwiła w moim portfelu wśród innych papierów i zdjęć. Pochyliłem się nad nią, aby zobaczyć, o kogo pyta. Odpowiedź zamarała mi w krtani. Nie mogłem z siebie wydobyć głosu, chociaż wiedziałem dobrze, kim ta kobieta jest.

To była Linda – na fotografii była prawdziwa i wyglądała na niej dokładnie tak samo, jak dziś. Lecz do tego zdjęcia pozowaliśmy razem: patrząc teraz na nie zrozumiałem, dlaczego otoczony dekoracjami i fałszywymi ludźmi przez całe życie aż do poniedziałkowego świtu – wcale nie dostrzegałem ich. W obrazie plastikowego manekina sfotografowanego obok prawdziwej Lindy rozpoznałem wizerunek mej własnej dotychczasowej postaci.

Oficer dotarł do końca serii znormalizowanych pytań. Opuściliśmy hali. Pod gmachem centrali handlowej przeszliśmy pomiędzy dwoma szpalerami karabinierów. Wschodzące słońce wisiało nisko nad Aiwa Paz. Z tej samej strony, sponad prawdziwej zatoki Vota Nufo wiał chłodny, orzeźwiający wiatr. Kiedy zwróciłem twarz ku górze, by po raz ostatni spojrzeć na różowy, zanurzony w błękitnej toni nieba szczyt Temalu, powstrzymywany kordonami tłumek porannych statystów powitał mnie okrzykami nienawiści.

Oto jak – z szeregowego manekina Tawedy, który przez całe lata pocziwie pozorował pracę robotnika w zakładach Piał Edin, a ostatnio symulował też miłość do prawdziwej referentki z Temalu, po nocnej sublimacji – w czasie niespełna jednej doby stałem się pogromcą karabinierów, postrachem kobiet i dzieci, zwyrodniałym bandytą – wampirem Kroywenu.

Pojechaliśmy patrolowym wozem. Najpierw Szóstą Aleją pod estakadami Centrum – w kierunku Riwazolu, a potem na prawo Czterdziątą Ulicą przez cały autentyczny fragment

Sródmieścia – do wschodniej granicy Uggioforte.

Oficer, który legitymował mnie w westybulu, usiadł przy kierowcy zainstalowanym w aucie na stałe, ja – pośrodku tylnego fotela, pomiędzy kapralem z lewej a sierżantem z prawej strony – zwyczajnie, jak transportowany do tymczasowego aresztu złoczyńca. Moi sąsiedzi rozmawiali przez kilka minut ł umilkli. Nie miałem pojęcia, do jakiej doszli konkluzji; odniosłem tylko wrażenie, że w celu wywołania fonicznego efektu mowy ludzkiej odczytywali na przemian hasła mijanych reklam. Szofer w ogóle nie dysponował głosem, gdyż od gadania byli inni; siedzenie miał zrośnięte z fotelem, zaś ręce – z kierownicą. Oficer po zaspokojeniu swej płytkiej ciekawości markował na przednim fotelu poranną drzemkę.

Kim oni właściwie byli i kim ja sam byłem do wczorajszej nocy, zanim wskazana tajemniczym Palcem ruchoma i gadająca porcja sztucznego tworzywa, w postaci której trwałem przez całe pozorne życie, uległa przemianie w ludzkie ciało? Zatem kim oni byli – a raczej należałoby zapytać: czym? Czy byli automatami? – myślałem. – Nie! Byli manekinami. Jedne od drugich odróżniają te same – cechy, jakie pozwalają rozpoznawać narzędzia wśród dekoracji. Automat jest maszyną, której wygląd zewnętrzny wyznaczają potrzeby określonego działania. Swym kształtem nie musi naśladować błędów konstrukcyjnych w budowie ludzkiej postaci; dlatego nie kopiuje jej. Manekin zaś jest dekoracją stworzoną wyłącznie dla swego zewnętrznego wyglądu.

Więc byli ruchomymi i gadającymi dekoracjami. Zastępowali prawdziwych ludzi wszędzie tam, gdzie obecność autentycznych postaci – ostrością ról kreowanych w nieodpowiednich miejscach sceny – rozpraszałaby uwagę Widza, odrywając ją od właściwych aktorów i kierując na mało istotne tło.

Ale jak byli zbudowani wewnętrznie i czy odczuwali ból? Skalpelem ukrytym w kieszeni – po zerwaniu żeń plastra – naciąłem kapralowi udo. Sierżantowi (ośmielony obojętnością tamtego) podważyłem ostrzem jabłko w kolanie i obejrzałem je ze wszystkich stron. Było odlane z twardej różowej masy plastycznej. Obydwaj nie mrugnęli nawet, kiedy ich kaleczyłem: siedzieli sztywno jak mumie, ze szklanymi oczami utkwionymi w perspektywie pogrążonej w półmroku ulicy, którą zamykały w dali zalane słońcem tarcze drapaczy chmur.

Oni nie czuli bólu, a ja czułem realny niesmak po tej drastycznej, choć pozorowanej operacji. Dawał mi on pewność, że w nowej swej postaci nie jestem sadystą. I nie byłem również jednym z tych pospolitych wandalów, którzy znajdują swe liche orgazmy w niszczycielskich aktach przemocy i siły rozładowywanej skrycie nad martwymi przedmiotami, bo tak żałosna działalność, jak demolowanie pustych opakowań, nie przynosiła mi – co wiedziałem już wcześniej – nawet namiastki tej intymnej rozkoszy, jaką tamci, prując nożami oparcia foteli w wagonach metra lub urywając słuchawki przy telefonach ulicznych, otrzymują za darmo.

U celu tej ponurej jazdy stała maskowana fasadą jednej przyzwoitej ściany prymitywna kopia posterunku karabinierów. Stała gdzieś pośrodku Uggioforte, w dzielnicy nieomal całkowicie imitowanej ogromnymi makietami domów.

Zatrzymaliśmy się tam. Dwa pozostałe radiowozy kolumny, która asekurowała pierwszy samochód, parkowały pod posterunkiem do czasu, aż znalazłem się za grubymi kratami. Przedtem kapral zajął miejsce przy prawdziwej maszynie do pisania i pod dyktando sierżanta sporządził protokół mojego wstępnego zeznania. Po przesłuchaniu gotowy protokół powędrował na stół sierżanta, który dopisał na nim odręczną adnotację, zostawiając niżej miejsce na mój autograf. Cały papier pokrywały rzędy liter chaotycznie wystukanych na maszynie. Cztery linijki regularnej spirali nakreślone długopisem przez sierżanta tuż pod maszynowym tekstem jego kolegi uzupełniały trafnie głęboką myśl celnie sformułowaną przez kaprala. Podpisałem ten rekwizyt czytelnie: pełnym

imieniem i nazwiskiem – co na obecnych nie wywarło żadnego wrażenia.

Zamknęli mnie w oddzielnej celi. Obok, w głębokiej wnęce – poza wykoślawioną przez upał i czas plastikową kratą tymczasowego aresztu – tkwiły trzy woskowe figury. Przedstawiały stałych bywalców komisariatu: szpetną i ponurą prostytutkę, z wyglądu starą awanturnicę uliczną, opoją nurzającego się w namiastce własnych brudów oraz całkiem sympatyczną babcię, cierpiącą na zanik pamięci, która wyszła z domu i dotychczas jeszcze nie powróciła. Obecność tak dobranego towarzystwa prowadziła mnie do wniosku, że posterunek ten posiada wyposażenie typowe – może znormalizowane dla większości tego typu komisariatów.

W południe poinformowałem kaprała o swym pragnieniu i głodzie. Kiedy dostałem pusty kubek i drewniany klocek w kształcie kromki razowego chleba, zdenerwowałem się ostatecznie: wykorzystując nieuwagę strażników, rozkroiłem skalpelem tekturową ścianę wnęki i przez powstałą w niej nieestetyczną dziurę swobodnie – choć z pewnym zdziwieniem – po prostu wyszedłem na ulicę.

Pod gołym niebem słońce prażyło niemiłosiernie. Miałem też wrażenie, że zwracam uwagę fałszywych przechodniów swym niedbałym wyglądem. Ale byłem wolny!

W tej części Uggioforte bywałem dość często, czasami dwa lub nawet trzy razy na tydzień. Przyjeżdżałem tu do Dolly i Toma Yorenów, których poznałem przez Płowego Jacka. Z Yorenami łączyło mnie wspólne zainteresowanie podróżami zagranicznymi. Mieliśmy sobie wiele do powiedzenia na temat egzotycznych krajów i przez całe lata planowaliśmy nasz pierwszy wyjazd. Odwiedzałem ich chętnie i zawsze zastawałem swych przyjaciół w domu, w czym nie doszukiwałem się niczego osobliwego, ponieważ – przy okazywanej w marzeniach wielkiej ciekawości świata – w rzeczywistości stanowili parę zagorzałych domatorów.

Spędzałem tam długie, ciekawe wieczory; bywało, że zagadaliśmy się nad slajdami, które Płowy Jack przynosił w swej połatanej torbie, Tom zaś wyświetlał je na ścianie dla mnie i dla Dolly (najbardziej przejętej barwną wizją czekających na nas wzruszeń) i snuliśmy projekty dalekich wypraw. Przegapiałem wówczas z reguły ostatni pociąg do Tawedy i pozostawałem w Uggioforte na noc, by o świcie jechać prosto do monotonnej szarzyzny zakładu w Piał Edin.

Kilka razy przyszedłem do Toma i Dolly z Lindą, lecz ona – i to nas dzieliło – nudziła się tam najwyraźniej, choć robiła wszystko, aby tego nie okazywać. Może z tych samych powodów, których wtedy jeszcze nie znałem, Płowy Jack również w Uggioforte długo nie przesiadywał. Zostawiał slajdy i wracał do swoich włóczęgów wałęsających się na wschodnim brzegu Vota Nufo.

Yorenowie mieszkali na skrzyżowaniu Szesnastej Alei z Czterdziestą Drugą Ulicą, więc nie opodal posterunku karabinie – rów, z którego uciekłem przez rozkrojoną skalpelem tekturową ścianę. Przechodząc tamtędy pomyślałem, że w mojej sytuacji nie byłoby może właściwe odwiedzić ich teraz, kiedy ciążyły na mnie tak liczne i groźne oskarżenia. Wiadomość o wczorajszych wydarzeniach w Temalu zamieściła już na pewno poranna prasa, a resztę miały przynieść popołudniówki. Czy Toma i Dolly zdołałbym przekonać o swojej niewinności? Przez powoływanie się na starą przyjaźń z nimi, w zamian za wymuszoną pomoc naraziłbym ich może na sądowe represje. Czytałem nieraz o karach za ukrywanie przestępców poszukiwanych listami gończymi.

Z drugiej znów strony potrzebowałem teraz takiej pomocy: ścigany nieufnymi spojrzeniami fałszywych przechodniów, nie zdołałbym dotrzeć bezpiecznie do domu, gdzie i tak nie mógłbym się ukryć, gdyż czekali tam na mnie karabinierzy z Tawedy, z pewnością zaalarmowani już telefonicznie. Musiałem natychmiast zmienić czerwoną koszulę, zmyć z twarzy pręgi po sinych pałkach i zjeść coś wreszcie. Wody nigdzie w pobliżu nie było widać, a najbardziej dokuczało mi nieznośne pragnienie. Pod jego wpływem zdecydowałem się w końcu złożyć Yorenom tę przykrą wizytę.

Imitację ich domu poznałem po oryginalnej fasadzie. Wspiąłem się ostrożnie po twardszym fragmencie schodów na piętro podzielone przegrodami z dykty i z bijącym sercem zapukałem do znajomych drzwi. Były tekturowe. Odpowiedziała mi Dolly:

– Prosimy!

Głos jej był donośny i dobiegł z odległego wnętrza. Tak to właśnie było zawsze: nie wychodzili do przedpokoju na powitanie gości. Przeszedłem długim korytarzem. W miejscu drzwi do pokoju wisiał arkusz brudnego kartonu rozpięty pinezkami na drewnianej ramie. Obróciłem tę ramę i wszedłem do środka tekturowego pudła.

Już byłem przygotowany na najgorsze, więc to, co zobaczyłem poza fałszywymi drzwiami, przeraziło mnie w mniejszym stopniu.

– Halo, Carlos! – wykrzyknęła Dolly.

Powiedziałem coś.

Ale nie usłyszałem własnego głosu. Jakaś listwa wystawała ze stołu, przy którym siedział Tom.

Podając Dolly rękę na powitanie, miałem wrażenie, że źle oceniłem dzielącą nas odległość i że zamiast jej dłoni uściśnąłem tę żerdź.

– Miło nam, że wpadłeś – rzekł flegmatycznie Tom.

– Strasznie się cieszymy! – dorzuciła Dolly.

Znowu coś powiedziałem.

Ręka Toma była twarda i kiedy uniósł ją nad stołem, zaskrzypiała w stawach.

– Odwiedzam was zawsze z wielką przyjemnością – wymamrotałem.

Miałem ochotę uciec, gdy Dolly ze swego stałego miejsca na skrzyni, która z trudem kopiowała tapczan, wskazała mi wolny taboret.

– Więc czemu tak długo nie pokazywałeś się, podmiejski pustelniku? Siadaj! A jeśli masz chęć napić się kawy, co już odgaduję z twojej głupiej miny, to tym razem sam sobie ją weź. Strasznie się dzisiaj zmordowałam porządkowaniem tego nieustannego bałaganu i ani myślę usługiwać takiemu próżniakowi.

– Nie rób sobie ze mną kłopotu, Dolly. Wstąpiłem do was tylko na chwilę, aby...

– To zaparz tę kawę sam albo zaraz siadaj.

– Już idę.

Nie usiadłem jednak ani nie poszedłem do kuchni, gdzie stała na półce moja filiżanka, którą przynosiłem zawsze do pokoju i odnosiłem wieczorem na jej stałe miejsce. Stojąc dalej pośrodku tekturowego pudła porównywałem zachowany w mglistej pamięci pozorny obraz Yorenów z brutalną wersją rzeczywistości.

– Leniuchu – szepnęła Dolly.

– Słucham.

– Czy mam wstać?

Drgnąłem jak obudzony ze snu.

– Pójdiesz w końcu po tę kawę – fuknęła – czy sama będę musiała ci ją podać?

– Ależ nie! – zaprotestowałem gwałtownie.

Dolly zmontowana była na cienkiej pokrywie skrzyni w pozycji ni to siedzącej, ni leżącej. W każdym razie wstając ze swego wiecznego legowiska, rozwaliłaby nie tylko ten wąty postument, ale też rozerwałaby przyklejoną do niego część własnego ciała. I tego się przeląkałem.

Wybiegłem za kartonowe drzwi i z zaśmieczonej wiórami pustej klitki przyniosłem do pudła pokoju jedną filiżankę. Dwie inne stały zawsze przed Yorenami na wspartym trzema kołkami arkusza dykty. Filiżankę niosłem ostrożnie, aby nie rozlać domyslniej kawy. Przeszedłem pod ścianą ozdobioną grzbietami książek, naklejonymi wprost na niej w długich rzędach, i usiadłem na stołku. Był wycieńczony wieloletnią służbą.

– Matko moja! – zawołała Dolly. – Jak on wygląda!

– Biłeś się z kimś? – spytał Tom. Wreszcie to zauważyli – pomyślałem.

Taboret podtrzymujący figurę Toma zapiszczał żałośnie. Przez chwilę, patrząc na piękną twarz Dolly, słyszałem tylko chrzęst plastikowych kości jej wiernego towarzysza, który ryzykownym łukiem przeginał się nad stołem ku mnie.

– Kto cię tak urządził?

– To drobiazg niewart ani sekundy waszego zainteresowania – próbowałem się wykręcić.

– A ta krew i siniaki na twarzy?

Podniosłem do ust pustą filiżankę. Yorenowie widzieli dostatecznie ostro, aby zauważyć na mojej głowie i koszuli rażące ślady pozostawione przez karabinierów i grubasa, ale nie dość wyraźnie, by pod tymi powierzchownymi zmianami dostrzec przeobrażenia głębsze, które nadawały

mi postać prawdziwego człowieka.

– Masz przed nami jakieś tajemnice?

– Ależ nie!

– Wiec mów, co się stało.

– Głupstwo. – Pociągnąłem łyk powietrza z filiżanki. – Paru zarozumiałych drabów z Aiwa paz wlało mi w drogę na rogu ulicy.

– Gdzie to było?

– Pod Kroywen – Central, kiedy jadąc do was przesiadałem się do autobusu.

– I nieźle oberwałeś – zauważył Tom.

– Oni też wrócili za Vota Nufo porządnie poturbowani – kłamałem dalej.

– Pobiłeś ich?

– A ty co byś zrobił, gdyby ci kto przyłożył sztylet do piersi?

Dolly poruszyła się niespokojnie na rozchybotanym postumencie. Szamotała się na nim jak kobieta od urodzenia przykuta do łóżka nieuleczalną chorobą, ale kiedy przemówiła, zwracając ku mnie twarz o rysach zastygłych w wyrazie bezradnego zniecierpliwienia – w głosie jej zabrzmiała pełnia życia:

– Już ściągaj tę koszulę, biedaku! Zaraz okręcę cię czymś dookoła, bo rana jest pewnie głęboka.

– Kochana, przysięgam, że jest powierzchowna. I tylko nie wstawaj, zaklinam cię!

Dopiero w tej chwili poczułem się mordercą.

– W takim razie... – obróciła się nieco na skrzyni w granicach luzu pozostawionego jej przez montera i wyjęła z leżącej na stole paczki kartonowego papierosa – w takim razie umyj się przynajmniej. W łazience wisi twój ręcznik.

– Wiesz... może raczej nie. – Zbliżyłem swoją prawdziwą, lecz nie zapaloną zapałkę do końca pustej rurki, którą wsunęła do gumowych ust. – Wolałbym nie moczyć świeżej rany, bo znowu zacnie krwawić.

Do łazienki – gnany wzrastającym pragnieniem – zajrzałem już wcześniej, kiedy szukałem kawy. Wanna była tam namalowana na ścianie pod trzema papierowymi ręcznikami, a woda – przeciekając przez szparę w suficie – zbierała się na podłodze jedynie w czasie wielkiej ulewy. Niestety, deszcz nie padał w Kroywenie już od czterech miesięcy.

Tom majstrował przy rzutniku ustawionym na stole. Aparat zbudowany był ze ścinków dykty, miał jednak żarówkę w środku i rzucał na ścianę jakiś zamglony obraz. Patrząc na te przygotowania, przewidywałem łatwo, na co się zanosi.

I nie pomyliłem się: nie wstając ze swego stałego miejsca, Tom sięgnął długim kijem do okiennego otworu i zasłonił go arkuszem papieru. .

– Tego jeszcze nie widziałeś! Obróć się do ekranu. Jak zobaczysz, to zaraz zlecisz ze stołka – zapowiedział tajemniczo.

Zmordowany do ostatnich granic wytrzymałości, opuściłbym już to upiorne miejsce pod pierwszym lepszym pretekstem, lecz nagle usłyszałem pukanie do wejściowych drzwi mieszkania.

– Prosimy! – wykrzyknęła Dolly.

Głos jej znowu zabrzmiał radośnie. Wsłuchiwałem się w odgłos kroków drugiego gościa Yorenów, daremnie tłumiąc w sobie falę gwałtownie wzbierającej paniki.

Do pudła wszedł Płowy Jack. Był żywy. Oswojony z plastikowymi maskami oglądanymi wszędzie na ulicach, drżałem teraz tylko na widok prawdziwego człowieka.

– Szanuję was wszystkich, którzy pozostajecie w cieniu – powiedział uroczyście.

Była to jedna ze wstępnych odzywek Płowego Jacka. Wypowiadał te słowa na powitanie i po

nich nawet ślepcy w barach rozpoznawali go z łatwością.

– Miło nam, że wpadłeś – rzekł Tom.

– Strasznie się cieszymy z twojej wizyty. – Dolly wskazała wolny taboret. – Siadaj, włóczykiju jeden!

– Nie spocznę, dopóki słońce zachodzi wieczorem za Uggioforte i rankiem wschodzi spoza Aiwa Paz.

Dolly zastanowiła się głęboko.

– Czyli że nie spocznesz nigdy. A może śpisz tylko w dzień?

– Ten Dzień nie powstał jeszcze z ciemności. Ale on blisko jest.

Wiedzieliśmy o tym od dawna, że między pytaniami stawianymi Płowemu Jackowi a jego natychmiastowymi odpowiedziami zachodził najczęściej dość luźny związek.

– To ja już się ulatniam – powiedziałem roztrzęsionym głosem.

Bałem się pytać Płowego Jacka. Wstając, niechcący spojrzałem mu w twarz: spomiędzy prostych i długich, bardzo jasnych włosów, kiedy je usunął z czoła szybkim ruchem ręki, wyjrzały na mnie smutne, przenikliwe oczy, z których przemawiała głęboka życzliwość i coś dziwnego jeszcze, co wszystkim – przy pierwszym z nim spotkaniu – zaraz nasuwało myśl, że jest on nienormalny.

– Och, Carlos! – zaprotestowała Dolly. – Posiedziałbyś troszkę. Mógłbyś znowu przenocować. Żle ci tu?

– Przecież mieliśmy oglądać slajdy – przypomniał Tom.

Dolly zaskrzypiała swoim legowiskiem.

– Zostaniesz, prawda?

Znowu poczułem się mordercą.

– Niech odejdzie – rzekł Płowy Jack.

Powiedział to tak niespodziewanie, że zwrócił na siebie uwagę wszystkich. Jak zawsze ubrany był dziwacznie: miał na sobie stary worek z otworem na głowę i kawał zardzewiałego łańcucha, którym ten luźny worek przewiązywał w biodrach. Lecz najbardziej zastanawiające było to, że wcale nie zainteresował się moim niezwykłym wyglądem. Po raz ostatni spotkaliśmy się przed dwoma dniami, kiedy jeszcze byłem manekinem. Teraz, widząc zmiany w budowie mego ciała – jako żywy człowiek – musiał też zauważyć pozorne siniaki i fałszywą krew na koszuli.

– Nie zwlekaj – powtórzył z naciskiem. – Wyjdź na ulice Kroywenu i szukaj tam prawdy. Ona cię wyswobodzi. Już policzone są godziny nasze.

– Skąd to wiesz? – spytałem niespokojnie.

Dotąd wszystkie proroctwa Jacka puszczałem lekko.

– Nie ma źdźbła na polu, kropli w wodach ani prochu w prądzie powietrza, które by ukryły się przed Jego wzrokiem – odparł powoli, lecz bez chwili namysłu.

A gdy on to jeszcze mówił, powiedziałem:

– Chce mi się pić.

Z okna spadła papierowa zasłona, kiedy Płowy Jack kończył myśl o Jego wzroku.

– Jestem spragniony – powtórzyłem ciszej. – Jeśli wie, gdzie jest woda, niech mi wskaże.

– Pójdiesz Czterdziestą Drugą Ulicą w kierunku Vota Nufo. Wszystko, czego ci potrzeba, jest za pierwszym rogiem.

– Głuptasie! – Dolly szamotała się jak ptak w stalowym potrzasku. – Wszystko, czego ci potrzeba, znajdziesz tuż obok, za pierwszymi drzwiczkami naszej lodówki!

Opuściłem mieszkanie Yorenów przy akompaniamencie jej donośnego krzyku.

Zarówno komisariat karabinierów, jak i dom Yorenów stały już poza konturem głowy dostrzeżonej z dachu Temalu "ośmiornicy", której brzeg – co pamiętałem – otaczał autentyczną część miasta. Poszedłem w kierunku wskazanym mi przez Płowego Jacka. Dookoła roztaczała się zabudowana wielkimi makietami domów, przesycona wyciekami nagranych mas plastycznych oraz ostrą wonią dykty ociekającej żywicą i klejem – rozpalona w słońcu bezludna pustynia. Wychodząc z mieszkania Yorenów na słoneczny żar, zamieniłem piekło psychiczne na fizyczne: słałem się na nogach jak alkoholik ozdobiony pamiątkami po pijackiej bójce i może dlatego atrapy ludzi – spacerujące chodnikami w celu wywołania ulicznego ruchu – odsuwały się ode mnie z odrazą. Koszuli zalanej farbą nie wyrzuciłem nigdzie po drodze, ponieważ czerwona plama na piersiach wyglądałaby jeszcze bardziej podejrzanie.

Minałem pierwsze skrzyżowanie ulic. Za rogiem – według wskazówki Jacka – mogłem znaleźć wszystko, czego potrzebowałem. Istotnie: sklep spożywczy mieścił się w przegrodzie poza efektowną fasadą z jednej strony wysokiej dekoracji, a okazały zewnętrznie salon odzieżowy – z drugiej.

Wszedłem najpierw za reklamową tarczę sklepu spożywczego, który – na nieszczęście – nie był sklepem samoobsługowym. Zamiast prawdziwych artykułów spożywczych widziałem wszędzie dookoła siebie ich atrapy wykonane z gipsu lub malowanego drewna. Bogactwo zaopatrzenia sklepu pozorowały też szklane i kartonowe opakowania, zgromadzone tu w wielobarwnych rzędach i stosach. Nie miałem pewności, czy wszystkie są puste. Rozglądałem się za jakimś napojem i dostrzegłem trzy butelki napełnione lemoniadą. Stały za kontuarem na najwyższej półce, między innymi pustymi butelkami.

W kolejce do sztucznej ekspedientki czekały cztery plastikowe kukły. Miałem w portmonetce pieniądze prawdziwe i fałszywe. Ekspedientka szybko uwijała się za ladą: wydawała kukłom atrapy towarów w zamian za bezwartościowe krawki i papierki.

– Trzy butelki lemoniady – powiedziałem ochryplym głosem, gdy nadeszła moje kolej.

Położyłem na ladzie prawdziwą monetę. Z najbliższej skrzyni ekspedientka wyciągnęła trzy puste butelki i postawiła je obok monety.

– Ale ja proszę o tamte butelki – wskazałem palcem na najwyższą półkę.

– Pan chciał lemoniadę?

– Tak.

– Wiec proszę.

Podawała mi puste butelki i zabrała się do wydawania reszty. Trąciłem ją w ramię.

– Proszę mi dać lemoniadę, która stoi na tamtej półce.

– Ta panu nie odpowiada?

– Nie.

– Czyżby tamta była lepsza?

– Tak sędzę.

– Myli się pan.

– Jednak proszę o tamtą.

– Lecz ta jest świeża i chłodzona, a tamta od kilku miesięcy stoi na półce i grzeje się w słońcu.

– Chcę ją.

Ogarnęła mnie krytycznym spojrzeniem. Widocznie nie zrobiłem na niej korzystnego wrażenia, bo nagle zmieniła ton:

– Więc pan sobie wyobraża, że dla jakiegoś głupiego kaprysu będę dźwigała drabinę, by zdjąć z

półki sklepową dekorację?

Dekoracja! – pomyślałem. I to ona powiedziała! Może w innych okolicznościach wyszedłbym rozweselony. Blokowałem dalej miejsce przy ladzie, aż w sklepie utworzyła się kilkunastoosobowa kolejka.

– Aby pani nie robić kłopotu, sam tam wejdę – zaproponowałem i szybko pobiegłem po drabinę.

Wyciągając ją z kąta, potrąciłem niechcący ułożone w stosie puste pudełka i rozsypałem je.

– Panie! – podniosła głos.

– Przepraszam najmocniej. Zdejmę tamte butelki i zrobię porządek.

– Dość tego! – Wyszła spoza lady. – Proszę opuścić sklep. Tutaj nie ma miejsca dla awanturników i pijaków.

– Długo jeszcze będzie tu marudził ten zamroczony alkoholem brudas? – spytał ostro sztywny typ z końca kolejki.

– Nie wyjdę, aż dostanę tamte butelki.

Miałem nadzieję, że ustąpią mi dla świętego spokoju. Ale pomyliłem się: sztywny typ podszedł i wskazał drzwi.

– Jazda stąd!

Pozostałem w sklepie. Gdzie indziej musiałbym zaczynać wszystko od początku. Energiczny manekin sam wyszedł na ulicę i zaraz wrócił z kukłą ubraną w fioletowy mundur.

Głupia sprawa – pomyślałem.

Głos fałszywego policjanta naśladował zdartą płytę:

– Co tu... tu co tu... cotutu?

– Nic takiego. Wpadłem na lemoniadę. Miał chyba jakieś uszkodzenie:

– Doku... kudoku... dokuku...

Dokumenty pozostały w komisariacie karabinierów. Zresztą nie martwiłem się już o nie. Przyłożyłem policjantowi skalpel do brzucha.

– Ręce do góry!

Przestraszony odzyskał mowę:

– Zgnijesz w więzieniu.

– Gwiżdżę na to.

Wyjąłem mu z kabury blaszany korkowiec. Straszak miał wygląd dziecinnej zabawki: mogłem się obawiać, czy zdołam ich nim sterroryzować.

– To ja jestem: Carlos Ontena we własnej osobie. Czy słyszeliście? Nie waham się ani sekundy. Jeśli ktoś mrugnie – kula w łeb.

Cofali się w stronę wyjścia.

– Wszyscy na podłogę, twarzami do ziemi! – rozkazałem.

Posłuchali. Przystawiłem drabinę do półki. Piłem pod sufitem, patrząc uważnie na energicznego manekina, który czołgał się wolno ku drzwiom. Kiedy opróżniłem dwie butelki, rozpocząłem trzecią. Reszką lemoniady umyłem sobie twarz. Szczęście, że tego nie widzieli, bo zamiast wywołać wrażenie groźnego bandyty, zyskałbym w ich oczach opinię wariata. Aby utwierdzić ich w przekonaniu, że cały czas działałem w myśl dobrze opracowanego planu, którego celem był napad rabunkowy, wygłosiłem z wierzchołka drabiny improwizowane przemówienie, zdradzając tajemnicę swego sukcesu:

– O poczciwi mieszkańcy Uggioforte! Niestety, daliście się paskudnie nabrać. Mimo to liczę na wasz rozsądek. Pomyślcie tylko: czy dla paru butelek zwietrzałej lemoniady ktoś z Tawedy, kto nosi

moje nazwisko, zagłądałby do tej zatechłej nory? Nie! – odpowiadam za was. Tak postąpiłby tylko wariat lub szaleniec. A czy ja na takiego wyglądam? Ponadto – czy mam coś wspólnego z człowiekiem dobrym?

– Nie, bo ma pan negatywny, cza... cza... cza – cza – cza!... cza – cza – cza!... charakter – zaciął się policjant.

– O to właśnie chodzi! – kontynuowałem z przejęciem. – Przejdźmy teraz do rozwiązania kryminalnej zagadki. Otóż w momencie gdy sprzedawczyni wydawała mi resztę, spostrzegłem w szufladzie kasy znaczną sumę. Ujrzałem pieniądze! – czy dosłyszeliście? Lemoniadową awanturę wywołałem dlatego, aby zwabić tutaj uzbrojonego policjanta. Potrzebowałem rewolweru, gdyż nożem trudno jest sprawnie operować w tłumie – oto wszystko.

Oklasków nie było. Schodziłem z drabiny, kiedy sztywny manekin, który sprowadził tutaj policjanta, poderwał się nagle z podłogi i skoczył do drzwi.

– Stój! – krzyknąłem.

Chwycił za klamkę.

– Ani kroku dalej, bo strzelam!

Otworzył drzwi. Wściekły na niego cisnąłem za nim pustą butelką, bo w końcu zrobił ze mnie wariata.

– Już – szepnął zagadkowo, gdy umilkł brzęk rozbitej szyby.

– Wracaj! – ryknąłem.

– Już – mrugnął lewym okiem.

– Co już? – zbaraniałem w zamęcie.

– No już! – stuknął się palcem w czoło.

– A już! – pojąłem wreszcie.

Dopiero wtedy nacisnąłem spust korkowca. Zabawka narobiła takiego hałasu, że mało nie spadłem z drabiny. Trafiony manekin zatoczył się w głąb sklepu. Na jego białej koszuli wykwitły dwie czerwone plamy. Pośliznął się na dwu gumowych zatyczkach uszczelniających wlot i wylot postrzałowej rany, które dyskretnie wyrwał ze swego korpusu i upuścił niedbale. Zanosilo się na to, że w konwulsjach konania zgarnie z kontuaru całą pozorną masę towarową, co dałoby dobry efekt sceniczny – i taka tu pewnie była przewodnia myśl scenografa i scenarzysty. Lecz przez te fatalne zatyczki nie sięgnął do lady: zaklął szpetnie – ślizgając się na nich – i z dala od stosu towarów wyciągnął się jak długi, czym sknocił całe ujęcie.

– Załatwiony! – uspokoiłem zastraszonych klientów, kiedy ciekawie podnieśli głowy. – I każdego to czeka, kto wyjdzie ze sklepu przed upływem najbliższej godziny.

Papierki z kasy załadowałem do szczelnego worka z napisem: RYŻ. Dotąd rozpierało go dumnie sprężone powietrze. Wśród wielu pustych blaszanych pudełek znalazłem dwie puszkę napełnione konserwami. Wrzuciłem je do worka razem z bochenkiem czerstwego chleba, który przez aprowizacyjne nieporozumienie jakąś zawiłą drogą dotarł aż do tej bezludnej dzielnicy. Chleb miał defekt w postaci garbu z jaśniejszego ciasta na swej rumianej powierzchni i dlatego pewnie przez kilka dni leżał spokojnie na półce, nie wytrzymując konkurencji z innymi bochenkami idealnie odlanymi ze sztucznego tworzywa.

Okna były przysłonięte szczelnymi żaluzjami. Zaciągałem już zasłonę na drzwi, gdy do sklepu wszedł nowy klient.

– Tu jest koniec kolejki – wskazałem mu lufą korkowca wolne miejsce na podłodze.

– Ja...

– Sza!

– Ależ...

– Pst! – Zatkałem mu usta. – Pierwszymi wrażeniami podzieli się pan z sąsiadką na podłodze.

Plastykowy przybysz poprawił okulary. Miał minę roztargnionego naukowca i chyba wcale nie zauważył mojego rewolweru. Jednak bez chwili wahania położył się obok sztucznej kobiety.

– Co to za imbecyl? – szepnął do niej. – Ci prostytutki wszędzie człowiekiem dyrygują. Wpadłem tu tylko na chwilę, by rozmienić banknot...

Przekładałem klucz na drugą stronę zamka.

– ...oczywiście, poza kolejką – kończył fałszywy naukowiec. – A wy za czym leżycie?

Podsunałem mu otwarty worek.

– Ja panu rozmienię poza kolejką – rzuciłem lekko, jak wytrawny gangster filmowy.

Po minucie – ubrany w nową koszulę z salonu odzieżowego – wyskoczyłem znowu na ulicę akurat w momencie, gdy uwięzieni klienci rozbijali szybę spożywczego sklepu. Wsiadłem prędko do parkującego obok samochodu i przyłożyłem lufę do skroni zainstalowanego w nim kierowcy.

– Jazda!

– Gdzie?

– Prosto!

Zwlekał. Oglądał się na zbiegowisko pod sklepem.

– Jazda – syknąłem – bo rozwalę łeb i sam siądę za kierownicą!

Bąłem się spotkania z prawdziwym policjantem, którego jakiś przypadek – jak w Temalu czarnego karabiniera – mógł również tutaj wprowadzić do akcji.

Przestraszony manekin ruszył ostro Czterdziestą Drugą Ulicą w kierunku Vota Nufo.

– W lewo! – rozkazałem przy Trzynastej Alei.

Skręcił posłusznie. Dojechaliśmy szybko do Trzydziestej Ulicy, gdzie kazałem mu stanąć.

Wysiadając, sięgnąłem odruchowo po papierki, aby zapłacić za kurs (była to bowiem taksówka), lecz uświadomiłem sobie zaraz, kim od dwóch dni jestem.

Kluczyłem przez jakiś czas w labiryncie połączonych pozornych podwórek, aż wyszedłem na Dwudziestą Dziewiątą Ulicę, przy której mieszkała Linda. Posmutniałem na myśl o niej. Do domu Lindy było stąd jeszcze daleko. Coś ciągnęło mnie tam i odpychało zarazem.

Raptem – nieco rozluźniony po przeżytych emocjach – przypomniałem sobie o dotkliwym głodzie. Przedarłem się przez tłum manekinów pod ścianę najbliższej dekoracji. Wyjmowałem już chleb i konserwy z worka, gdy włosy zjeżyły mi się na głowie odrzuconej na bok niehumanoidalnym skowyt, który – jak pies nagle urwany z łańcucha – ryknął z czegoś, co się zakotłowało pod moją pachą:

– Panie, miej litość w sercu dla biednego niedołągi!

Zawstydzony ukryłem w kieszeni gotowy do strzału korkowiec i odetchnąłem po sekundzie trwogi: na chodniku pod ścianą, przykrępowana do niej zardzewiałym drutem, siedziała zniszczona przez czas, deszcz i słońce, poczerwiała i stoczona kornikami proteza starego żebraka.

– Co łaska, panie, co łaska!

Przełożyłem chleb i konserwy do drugiej ręki i całą resztę łupu opuściłem lekko na jego kolana. Łatwe to było, zwłaszcza że niedorzeczny worek zawadzał mi tylko. Musiałem zaraz uciec przed dziękczynną częścią koncertu żebraka – fonicznie bardziej jeszcze rozbudowaną i wylewną od części modlitewnej. Nigdzie dookoła nie widziałem spokojnego miejsca, gdzie mógłbym usiąść i zabrać się do jedzenia. Rejon ten znałem wprawdzie bardzo dobrze, ale teraz patrzyłem na wszystko całkiem innymi oczami.

Po taksówkowym rajdzie i pieszej wędrówce przez zagracone podwórka znalazłem się z północnej strony autentycznego fragmentu Śródmieścia – na obszarze pokrytym dekoracjami, lecz już w pobliżu terenu zabudowanego domami prawdziwymi. Akcentowany od poniedziałkowego świtu podział na elementy prawdziwe i fałszywe w otaczającej mnie nowej rzeczywistości nie mylił mi się oczywiście ze znanym od dawna podziałem na fragmenty piękne i brzydkie w całej aglomeracji wielkomiejskiej, bowiem dekoracje ilustrować mogły zarówno obraz wyrafinowanego luksusu, jak i skrajnej nędzy.

Z bogactwem spotykałem się w części centrum Kroywenu położonej bezpośrednio nad brzegiem Vota Nufo oraz przelotnie w Aiwa Paz – z drugiej strony jeziora, kiedy jeździłem tam czasem pozornie bez celu, faktycznie zaś po to, by podglądać szczęśliwców, do których uśmiechnęła się fortuna.

Tutaj – w dzielnicy wcale nie peryferyjnej – gdzie zbiegłem po zuchwałym napadzie na ledwie prosperujący sklepik spożywczy, bieda bardziej jeszcze rzuciła się w oczy niż w zamieszkanym przez czarnych Riwazolu. Chodniki wypełniał nieprzerwany ciąg pieszych, ale pod ścianami ruder podpartych kołkami, na małych placykach oraz w rynsztokach, tuż obok kołowego ruchu – wszędzie, gdziekolwiek było wolne miejsce między zwałami śmieci, koczowały (pod gołym niebem) hordy obdartych i brudnych manekinów.

Zwinne jak małpki kukiełki dzieci wpadały z wrzaskiem pod ruchome wraki wozów, obrywały sobie wzajemnie uszy lub łamały plastikowe nogi i zdierały nosy w beztróskich zabawach pod wierzchołkami ulicznych palm. Lepsze miejsca w dekoracyjnych niszach i w zawałonych szopach okupowały rodziny biedaków naśladowujących jakieś skromne zajęcia. Jedne atrapy ludzi zajmowały się tu wyrobem lichych imitacji, inne – drobnym handlem. Ostatnia sztuczna nędza i hołota żerowała na wysypiskach pozornych śmieci lub próżnowała bezczelnie przy krawężnikach jezdni, najczęściej w pozycji leżącej na wznak.

Zwabiony szyldem samoobsługowego baru, przeszedłem przez całą tę ciżbę na drugą stronę ulicy. Pod barem trafiłem na scenę typową raczej dla bogatych dzielnic: atletyczny wykidajło wykopywał z wejścia obszarpanego włóczęgę. W nieproszonym gościu – kiedy powstał z chodnika i otarł umazaną błotem twarz – ze zdumieniem rozpoznałem prawdziwego człowieka. Poszedłem za nieznanym pod następny dom. Był wychudzony i zgłodniały jak bezpański pies. Zaraz wyciągnął kościstą rękę po chleb. Przełamałem bochenek i dałem mu połowę razem z jedną konserwą. Próbowałem zapoznać się z nim. Zadawałem mu pytania i mówiłem o sobie. Lecz nie udało mi się nawiązać z nim żadnego kontaktu: jego rozwój umysłowy zatrzymał się na poziomie skrajnego idiotyzmu.

Wróciłem do baru witany głębokim ukłonem sztucznego wykidajły, co dało mi nikłą satysfakcję.

Prawie nie pamiętałem przeszłości. Urojone życie, wesołe lub ponure, Taweda, mieszkanie na dziewiątym piętrze, książki, telewizja, nieznomi sąsiedzi, Piał Edin z fabryką, weekendy na wyspie Reff, plaża w upalny dzień, slajdy u Yorenów, koniak z Elsantosem i jego koleżanki, czasem smutek, radość niekiedy, wreszcie Linda – cała plastikowa przeszłość, aż do chwili przebudzenia w poniedziałek rano, majaczyła w mej pamięci poza dymną zasłoną, jak wyblakły sen.

W tej mglistej przeszłości jedynie Linda była nieoszukana. Wracałem myślami do różnych epizodów z jej rzeczywistego życia, przez pół roku związanego z moją pozorną egzystencją, odnawiałem wspomnienia, by zbudować nową wersję wypadków i rozwiązać wiele zagadek – aby rozjaśnić mrok czegoś niepojętego. Próbowałem również wyobrazić sobie, co by się dalej działo, gdybym wczoraj nie złożył jej w Temalu tej fatalnej wizyty, która nas wzajemnie skompromitowała.

Dla Lindy sztuczni ludzie w Temalu nie byli manekinami, a praca w fikcyjnej centrali handlowej – pozorowaniem jakiegoś zajęcia. Wystarczyło tylko spojrzeć na biurko, gdzie leżały dokumenty pokryte jej czytelnym pismem, aby mieć pewność, że siedząc w towarzystwie czterech symulatorów pracy biurowej, znalazła ład i sens w powszechnej maskaradzie i swoją funkcję traktowała serio. Z pewnością teraz, gdy się dowiedziała, do czego jestem zdolny, straciłem w jej oczach wielokrotnie więcej, niż zyskałem rano jako człowiek prawdziwy. Ona rozpoznała we mnie furiata, a ja w niej dziewczynę łatwą, chociaż z drugiej strony nie mogłem mieć do niej żalu tylko o to, że się zadawała z manekinami: gdyby pogardzała nimi, nie doszłoby nigdy do naszego zbliżenia.

Od początku było jasne, czemu sztuczni mieszkańcy Kroywenu nie odróżniali ludzi prawdziwych od fałszywych oraz oryginalnych zabudowań od fragmentarycznych kopii i konstrukcji zastępczych. Tutaj nie było żadnego problemu, gdyż nikt nie widzi w świecie niczego ponad to, co znajduje w sobie samym. Powoli zaczynałem też rozumieć, dlaczego również żywi ludzie – tak nieliczni w sztucznym tłumie – obojętnie przechodzili obok dekoracji i nie dostrzegali w manekinach wszystkich tych haniebnych cech, jakie mnie w nich uderzały. W najbardziej niezwykłych zjawiskach ludzie od urodzenia oswojeni z nimi nie zauważają niczego osobliwego.

I może tylko ktoś od urodzenia ślepy, komu bielmo nagle spadłoby z oczu, ujrzałby dookoła siebie tło: panoramę makiet wykonanych z artykułów zastępczych, zrobione z dykty tarcze o konturach domów i drzew, ustawione frontem do sceny w dalekiej perspektywie planu, zaś bliżej, pomiędzy oryginalnymi elementami, rozpoznałby atrapy, imitacje, fałszywe materiały, sztuczne tworzywa i masy plastyczne, wszelkiego rodzaju namiastki i surogaty, kopie, protezy, peruki i maski, puste opakowania, falsyfikaty – słowem zawartość całej rekwizytorni zmontowaną na poboczu akcji, więc może sam kreując rolę statysty sceny, dostrzegłby nieprzebrane rzesze statystów tła zainstalowane na marginesie planu i zobaczyłby ramy świata w rzeczywistej ich postaci.

W otwartej wnęce baru samoobsługowego przy Dwudziestej Dziewiątej Ulicy przesiedziałem całe popołudnie. Drzemałem na wysokim stołku ustawionym w cieniu martwej pinii, przy długiej półce, oddzielającej wnętrze baru od ulicy, pomiędzy nieustannie gadającymi i wiercącymi się kukłami. Czasami – zbudzony czyimś podniesionym głosem – rozglądałem się uważniej dookoła siebie. I nie widziałem problemu w tym, jak manekiny poruszają się mówią (ktoś, komu się wydaje, iż wie, jak sami ludzie to czynią – niech dalej śpi sobie spokojnie), natomiast domyślając się już, w jakim celu one to robią, chciałbym jeszcze wiedzieć, kto je zmusza do ciągłej aktywności i z daleka kontroluje.

Zjadłem swój chleb i mięsną słoną konserwę. Wkrótce znowu zachciało mi się pić. W bufecie i na stolikach sztucznych konsumentów stały wszędzie tylko puste kieliszki, szklanki i butelki, które

manekiny podnosiły często do gumowych ust i przechylały nad swymi nieruchomymi maskami. Plastikowe zakąski też wędrowały do warg w ślad za pustymi kieliszkami i po kilku ruchach gipsowych zębów wracały z powrotem na papierowe talerze w stanie nienaruszonym. Takie to było naturalne, że już z odległości pięćdziesięciu metrów ktoś żywy nie dostrzegłby oszustwa w mistyfikacji łatwej do zdemaskowania z bliska.

Mój nietypowy sposób jedzenia chleba i konserwy nie wywołał w barze żadnej sensacji. Po prostu nie zauważono go. Aby nie zajmować za darmo miejsca, musiałem jednak przenieść coś z bufetu do swego stołka i w zamian za fałszywy banknot dostałem od barmana powietrze w butelce ozdobionej kosztownymi nalepkami. Zakąski nie zakupiłem wiedząc, ile razy każda namiastka wędliny czy ryby odbyła drogę z bufetu przez stolik do ust i z ust przez stolik do bufetu. Barman, który każdą wolną chwilę wypełniał poszukiwaniami zgubionej peruki, znosił wypolerowane setkami rąk zakąski tylko ze stolików okresowo zajmowanych przez gości z ulicy, bo ci wchodzili, przechylali, wachali i wychodzili – ale takich stolików było tu zaledwie kilka.

Większość miejsc okupowały atrapy konsumentów na stałe związanych z tym barem, lecz wcale nie pociąganiem do kieliszka – tylko klejem stolarskim, którym były posmarowane ich siedzenia. Tym bywalcom barman nie zabierał rzekomych dań – odkurzał je tylko od czasu do czasu. Więźniowie lokalu rozprawiali między sobą z ożywieniem i oni zwłaszcza wywoływali nieustanny gwar. Dla słuchacza przechodzącego ulicą wrzawa w barze traciła swe naturalne brzmienie dopiero po przekroczeniu progu i próbie koncentracji uwagi na wybranej rozmowie. Każdy pijacki monolog czy koleżeński dialog prowadzony przez byle jak podrobionych gości – rozpatrywany indywidualnie – zdradzał cechy programowej niedbałości o detale: składał się z nieskończonej serii powtórzeń jakiegoś z trudem artykułowanego zdania, które ledwie naśladowało mowę ludzka.

Od strony ulicy prawie wszystkie bary oraz mniejsze sklepy zamiast ścian miały różnego rodzaju żaluzje, które usuwano całkowicie lub rolowano na czas otwarcia lokalu w okresie długotrwałych upałów. Dzięki temu, siedząc w barze pod podniesioną żaluzją, skąd roztaczał się widok na całą okolicę, miało się wrażenie braku izolacji od tłumu i pełnego uczestnictwa w zbiorowym życiu ulicy.

Chodniki pod barem szlifowały setki plastikowych nóg. O tej porze dnia nieprzerwana wędrówka pieszych na ruchliwej arterii miasta była zjawiskiem naturalnym. Sam od dwóch dni przepychałem się w tym tłumie i poza przejmującym faktem, że składał się on ze sztucznych osobników, niczego niecodziennego nie zauważyłem. Aby poznać mechanizm tworzenia się tłoku i stałego ciągu pieszych na ulicach Kroywenu, trzeba było zatrzymać się gdzieś z boku przynajmniej na kilka minut.

Kiedy za ostatnią kartkę papieru znaną w kieszeni rysy barman razem z drugą butelką po koniaku dał mi przyjacielską radę, “abym nieco przyhamował”, zwróciłem uwagę na parę młodych manekinów, która po raz piąty czy szósty przechodziła pod barem. Chłopiec obejmował dziewczynę w pasie i w tym miejscu, gdzie się stykali, byli trwale zespoleni ze sobą. Co jakiś czas migła mi też postać smukłej kobiety ubranej bardzo szykownie, na wzór eleganckiej modelki z Extra – Visso. Poruszała się z prawdziwym wdziękiem, lecz podziwiając idealne proporcje w budowie jej pięknego ciała, przy czwartym nawrocie dostrzegłem z przykrością, że miała odłupany łokieć.

Gromadka dzieci o płci trudnej do określenia i łatwym do ustalenia ojcostwie zagłębiała do baru regularnie co kwadrans, przekazując furmanowi (zainstalowanemu obok pustej butelki) wiadomość od mamy, która już ani chwili dłużej nie będzie sterczała przy garnkach, jak ta służąca, kiedy on sobie w najlepsze popija z łobuzami i grosza na chleb do domu nie przynosi. Jak większość manekinów, dzieci miały na sobie papierowe ubranka, w miejscach dziur ilustrujących “nędzę pozaklejane łatami z gazet pośledniejszego gatunku.

Zapoznałem się jeszcze z twarzami wielu innych etatowych przechodniów, aż wkrótce mogłem stwierdzić, że prawie wszyscy sztuczni ludzie, jacy szli chodnikami, zawracali na określonych trasach i przebywali je wielokrotnie tam i z powrotem w celu wywołania pozornie naturalnego ulicznego ruchu. Myślałem o ponurym losie tych wiecznych przechodniów i próbowałem wyobrazić sobie, co dalej robili w makietach swych domów, kiedy późnym wieczorem – po godzinach wypełnionych, statystowaniem w tłumie – tajemnicza siła zwalniała ich wreszcie z całodziennego obowiązku.

Barman nazywał się Calpat i był właścicielem tego lokalu. Przy bufecie wisiała na długim gwoździu tabliczka z wydrukowanym przez niego znanym retorycznym pytaniem: „Jeżeli jesteś taki mądry, to dlaczego nie jesteś bogaty?“, które wskazywał on czasami swym bardziej hałaśliwym gościom. Byłem przy tym, gdy przed rokiem Płowy Jack dopisał w milczeniu na tej tabliczce pytanie skierowane do barmana: „A ty – jeśli jesteś taki bogaty, to czemu nie jesteś szczęśliwy?“ Na tym samym gwoździu, przysłaniając sobą teksty obu pytań, wisiała teraz zaginiona peruka barmana. Już chciałem mu wskazać przedmiot jego długotrwałych poszukiwań, kiedy do baru wszedł Płowy Jack.

– Szanuję was wszystkich, którzy pozostajecie w cieniu – powiedział.

Przybył w towarzystwie kilkunastu manekinów. Na jego widok instynktownie (czy to pod wpływem obawy, że w końcu zapyta mnie o pochodzenie czerwonej plamy na koszuli, dostrzeżonej u Yorenów, czy też kierowany niechęcią do wysłuchiwanie dalszego ciągu przepowiedni na mój temat) ukryłem się za gazetą rozpostartą przez sztucznego sąsiada, chociaż wykluczałem możliwość, że prorok przywoła tu policję lub karabinierów.

– Jeżeli mnie też szanujesz – rzekł barman – to spraw, by włosy odrosły mi na głowie.

– A wierzysz, że mogę to uczynić?

– Ufam ci, Panie. Ty to potrafisz.

Płowy Jack zmierzył barmana długim, poważnym spojrzeniem. Kazał mu stanąć pod tabliczką, gdzie namaścił klejem jego plastikową czaszkę i założył na nią perukę zdjętą z gwoźdźca. Tak ozdobionego skierował za ladę mówiąc:

– Szykarzu, już nie zaświeci łysina twoja. Licz dalej swoje pieniążki i wracaj do statków.

Owłosiony nagle właściciel baru rzucił się do nóg Płowego Jacka, który uciszył go nieznacznym ruchem dłoni.

– Zaś o tym – rzekł – com ci tu uczynił pozornie, nie trąb zaraz dookoła siebie, wołając wszędzie głosem wielkim: „W jednej chwili czupryna mi odrosła!“ W myśli tylko dziękuj Temu, który mię tu posłał – On to bowiem posadził ci na głowie włosy.

Tak kazał. Ale ledwie wyszedł, kiedy barman przeleciał między stolikami i wszystkim rozpowiedział o całym wypadku.

A gdy Płowy Jack mówił jeszcze o Tym, który go tu posłał, przybiegli z ulicy sztuczni ludzie i pokazywali palcami barłóg rozłożony na chodniku, gdzie od lat dogorywał sparaliżowany starzec. Uciszyli tam zaraz wszyscy luźniej związani z barem biesiadnicy i każdy, kto miał oczy do patrzenia, zobaczył, jak ich nauczyciel potarł dłonią obie nogi i ręce dotknięte nieuleczalną chorobą. Po złamaniu czwartego kawałka drutu (bardzo już rdzą osłabionego), jakim członki starego manekina były przymocowane do kamiennej płyty, Płowy Jack wyprostował się nad powalonym niemocą ciałem.

– Nędzarzu, ja do ciebie mówię. Wstań! Zabierz stąd łachmany swoje i idź.

I stało się, gdy tak przemówił, że chromy podniósł się lekko. Stamtąd Płowy Jack chciał dostać się na drugą stronę ulicy. Lecz już w połowie jezdni drogę zastąpił mu trędowaty.

– Panie! – zawołał. – Jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić.

Cierpiący na straszną chorobę manekin miał na sobie tylko cienką powłokę z nałożonymi na niej plastikowymi imitacjami okropnych ran i wrzodów oraz slipy. Te slipy naniesione były w ostatniej natryskowej warstwie, co wyszło na jaw dopiero w momencie, gdy Płowy Jack mówiąc: – Chcę, bądź oczyszczony! – szarpnął za naddarty róg szpetnej powłoki i ściągnął ją gładko z całej figury trędownatego, niestety, razem z namalowanymi na wierzchu slipami! Rozdarta gumowa powłoka – kurcząc się – świsnęła gdzieś i przepadła.

Stali tak przez chwilę obok siebie w blasku zachodzącego słońca, pośrodku zatarasowanej jezdni: Płowy Jack w swym starym worku, z potężnym łańcuchem na biodrach i goły manekin o śnieżnobiałej skórze, aż zajściem, zainteresowali się dwaj sztuczni policjanci.

Jeden biegł ku nim z pałąk wznesioną do ciosu, a drugi z gotowym do wyrwania kartki błočkkiem mandatowym. Płowy Jack skarcił jednego i drugiego, po czym powiedział:

– Pójdziecie za mną, a uczynię was łowcami statystów.

I stało się, że ci dwaj, gdy tak do nich przemówił, ukryli wstydliwie narzędzia swoje i posłusznie ruszyli za nim.

Dwaj ślepcy dopadli Płowego Jacka dopiero po drugiej stronie ulicy. Obaj mieli oczodoły zalepione wodną farbą, źle rozprowadzoną na plastikowych maskach.

– Wierzycie, iż mogę to uczynić? – spytał.

Odparli:

– Owszem, Panie!

– Tedy przemyjcie oczy wasze w wodzie deszczowej, która się zebrała w najgłębszym rynsztoku.

Uczynili, co kazał.

A gdy otworzyły się ich oczy, Płowy Jack przygroził im surowo, mówiąc:

– Dbajcie, aby nikt się o tym nie dowiedział.

Ale oni obracali jęzorami dopóty, aż utworzyło się czwarte zbiegowisko.

I rozchodziła się wieść o nim po całym Kroywenie: dookoła Yota Nufo, od Uggioforte do Aiwa Paz i od Riwazolu do Tawedy, a i dalej jeszcze – aż po sam Quenos.

A on stał pośrodku mnóstwa i nauczał je, mówiąc:

– Grajcie, albowiem przybliżył się wiek gotowości tego widowiska i nadchodzi dzień Montażu Ostatecznego. Szukajcie prawdy we własnych sercach, bo ona was wyswobodzi. Wiara w Wewnętrzny Głos przeniesie was na ekran świata, na którym rychło spocznie oko Widza. Tam żyć będziecie wiecznie, jak na tej scenie, która dziś leży u Jego nóg.

Błogosławieni statyści, gdy nie wychodzą na pierwszy plan. Cisi pozostaną na ekranie świata. I ci, co się smęcą, pocieszeni będą, bo ich me dosięgną nożyce Montażysty. Lecz nie mniemajcie, iż ja mam moc zmieniać prawa filmowej gry albo w imieniu Widza darować wam popełnione w sztuce aktorskiej błędy.

Słyszeliście, gdy mówiono dawniej: “Bądź Wola Twoja”. A ja wam powiadam, iż każdy aktor lub statysta, który na planie zdjęciowym sprzeciwi się własnemu sumieniu i zagra niezgodnie z Duchem Scenariusza, zostanie wycięty z ujęcia i rzucony w ciemności zewnętrzne. Jeżeli zatem gorszy cię twe prawe oko – wyłup je, a jeśli cię gorszy prawa ręka – utnij ją: pożyteczniej jest bowiem dla ciebie, aby zginał jeden z twych członków, niż gdyby cała twa postać została usunięta z sekwencji tego filmu przy jego Montażu Ostatecznym.

Widz nie oceni cię za wyznaczoną rolę, tylko za walory twej gry w ramach otrzymanego talentu, którego zdasz sprawę w sądny dzień. Dlatego powiadam wam: nie zbierajcie sobie skarbów na

scenie, gdzie mól i rdza zniszczy wszystko i gdzie – oprócz waszej wiary w skarby – wszystko fałszywe jest. Spójrzcie na ptaki, iż nie sieją ani żną, ani zbierają do gumien, a Twórca wasz żywi je. I po co się martwicie o odzienie? Przypatrzcie się liliom polnym, jak rosną: nie haftują ani przędą. A czyż królowa piękności w całej swej sławie bywa tak przyodziana jako jedna z nich?

Jeżeli tedy trawę polną, która dziś jest, a jutro bywa w piec rzucona, Ojciec mój tak ubiera, czy nie bardziej zadba o was, o mało wierni!

Gazeta, za którą schowałem się przed Płowym Jackiem, nagle zainteresowała mnie. Przypadkiem była prawdziwa i zawierała najnowsze wiadomości. Tkwiła w szeroko rozłożonych dłoniach mojego czarnego sąsiada. Jego szklane oczy Wpatrywały się w papier pokryty rzeczywistym drukiem równie bezmyślnie, jak oczy dwóch innych manekinów, którym uliczny sprzedawca za plastikowe krążki wsunął do rąk imitacje ostatniego wydania "Kroywen – Expressu". Jedyny prawdziwy egzemplarz gazety, jaki trafił do baru, złapał zaraz kauczukowy Murzyn.

Gdy czarny obrócił płachtę gazety na drugą stronę, zobaczyłem nagłówek wydrukowany wielkimi literami:

ZUCHWAŁY NAPAD RABUNKOWY W CENTRUM KROYWENU

Przekonany, że dziennik donosi o moich popisach, niespokojnie przywarłem wzrokiem do szpalty, lecz zaraz zdziwiłem się, bo w artykule była mowa tylko o kolejnej udanej akcji słynnego gangstera Dawida Martineza:

Wczoraj wieczorem, o godzinie osiemnastej dwadzieścia, sześćoosobowa szajka gangsterów pod przywództwem nieuchwytnego bandyty Dawida Martineza dokonała zbrojnego napadu na ambulans załadowany sztabami złota. Napadu dokonano na Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy, w chwili gdy konwój wozów eskortujących transport złota, przejeżdżał pod domem towarowym Riva Aha. Po krótkotrwałej wymianie ognia między uzbrojonymi w pistolety maszynowe gangsterami oraz strażnikami i policją bandyci uprowadzili ambulans w nieznanym kierunku, zostawiając na miejscu dwóch zabitych kolegów. W walce poległo ośmiu konwojentów i trzech policjantów.

Przypominamy, że jest to już dziewiąty krwawy napad rabunkowy przeprowadzony przez szajkę Dawida Martineza w czasie ostatnich czterech lat. Tym razem łupem gangsterów padło czterysta kilogramów złota przewożonego do banku Quefeda Nos Paza. Władze prowadzą energiczne śledztwo.

Poprosiłem kauczukowego Murzyna o gazetę, aby ją dokładnie przejrzeć. Nim czarny zdążył zareagować, inny pogrążony w lekturze manekin podsunął mi uprzejmie swoją imitację dziennika. Pod życzliwą kontrolą jego szklanych oczu przez .dobry kwadrans wpatrywałem się w czarne paski i szare prostokąty pokrywające papier w miejscach nagłówek i kolumn. Wreszcie Murzyn poszedł do bufetu po butelkę. Wtedy zamieniłem dyskretnie oba egzemplarze, kładąc namiastkę dziennika na stoliku czarnego.

Dopiero na przedostatniej stronie znalazłem notatkę o sobie umieszczoną pod tytułem:

FURIAT W TEMALU

Wiele kłopotu sprawił karabinierom niejaki Carlos Ontena, zamieszkały w Tawedzie robotnik fabryki wagonów w Piał Edin. Powodowany zazdrością o swoją narzeczoną, referentkę z Temalu, którą podejrzewał o romans z kierownikiem tamtejszego działu, w czasie swej niespodziewanej wizyty w gmachu centrali handlowej, zastawszy narzeczoną z kierownikiem, dostał ataku szału. Po zamordowaniu kierownika oraz siedmiu innych osób, które bądź to próbowały obezwładnić furiata, bądź przypadkiem wpadły w jego ręce, zamknął się z trzema zakładnikami w jednym z lokali biurowych, gdzie pod groźbą zastrzelenia tych niewinnych ludzi nie dopuszczał oblegających do wyważenia drzwi. Dopiero dzisiaj o świcie – po zmobilizowaniu znacznych sił – karabinierzy ujęli

zbrodniarza bez dalszych śmiertelnych ofiar.

We wczorajszym doniesieniu (zredagowanym w czasie oblężenia złoczyńcy) podaliśmy bliższe szczegóły tragedii rozgrywającej się w Temalu. Według potwierdzonych wielokrotnie wiarygodnych informacji, uzyskanych na miejscu przez naszego wysłannika, Carlos Ontena (dotąd nigdy jeszcze nie karany), zanim dokonał masakry w Temalu, był jednym ze słuchaczy często przebywających w towarzystwie trzydziestotrzyletniego ulicznego proroka, zwanego Płowym Jackiem, który nazywa siebie "reżyserem świata" i cieszy się znaczną popularnością wśród włóczęgów koczujących na wschodnim brzegu Vota Nufo.

Nie chcemy akcentować tutaj wpływu nauki ulicznego proroka na postępowanie robotnika fabrycznego. Rzuca się jednak w oczy fakt, że Carlos Ontena, który dysponuje niewiarygodną siłą fizyczną, wyróżnił się w Temalu wyjątkowym okrucieństwem. Podajemy po raz drugi listę jego zbrodni w reporterskim skrócie:

Sekretarce zagrządzającej mu drogę do gabinetu kierownika wyrwał całą rękę z ciała razem z łopatką. Samemu kierownikowi roztrzaskał głowę jednym ciosem gołej pięści. Nóż w ręku urzędnika biegnącego z pomocą zagrożonym kobietom podniecił tylko Ontenę do długiej serii morderstw. Zgodnie z zeznaniami naocznych świadków osiłek podniósł urzędnika pod sam sufit i trzasnął nim o schody z tak wielką siłą, że metalowe wsporniki rozbitej poręczy przeszły ciało nieszczęśliwego na wylot.

Po dokonaniu tego czynu Ontena zalany krwią swej ofiary zbiegł na taras widokowy gmachu. Tam podczas próby aresztowania go przez funkcjonariuszy prawa ujął za klapy mundurów dwóch roślących karabinierów i po przeniesieniu ich do krawędzi dachu wieżowca – zepchnął w przepaść. Następnie obezwładnił trzeciego, niecelnie strzelającego doń karabiniera i wykręcił mu z ręki rewolwer. Nie darował też bezbronnej kobiecie, która wskazała władzom miejsce ukrycia zbrodniarza: zabił ją, zanim zdążyła uciec z tarasu.

Jakby jeszcze niesyty krwi przelewanej w jakimś szalonym natchnieniu, zszedł dwa piętra niżej i w pustym korytarzu, nie atakowany przez nikogo i niczym, już nie zagrożony, z najniższych, sadystycznych pobudek – zamordował ośmioletnie dziecko. Ontena zastrzelił chłopca, przykładając mu rewolwer do czoła.

Wkrótce potem, ścigany przez drugi patrol karabinierów, uciekając korytarzem sześćdziesiątej drugiej kondygnacji gmachu centrali handlowej, wtargnął na miejsce pierwszego zabójstwa, gdzie raz jeszcze posłużył się zdobytą bronią: zastrzelił z niej lekarza z ekipy pogotowia ratunkowego? który operował raną sekretarkę. W sekundę później (chyba tylko w celu wykazania swej upiornej wszechstronności) zmienił błyskawicznie narzędzie mordy z rewolweru na nóż chirurgiczny wyrwany z ciała operowanej. Strasznym ciosem tego noża przebił na wylot gardło karabinierowi, kładąc trupem ósmego z kolei człowieka.

Wiadomość z ostatnie/ chwili: Jak nam donoszą z Głównej Komendy Karabinierów, schwytyany o świcie groźny bandyta Carlos Ontena – po rozwaleniu ściany swojej celi – zbiegł dziś w południe z tymczasowego aresztu.

Z baru przy Dwudziestej Dziewiątej Ulicy wyszedłem nym wieczorem, kiedy chodniki opustoszały już nieco. Nie opodal na gołej ziemi – pod niebem usianym gwiazdami – leżały zbite w gromady kukły bezdomnych mieszkańców dzielnicy. W gorącym powietrzu unosił się swąd dymu z ogniska nędzarzy. Miałem ochotę położyć się gdzieś między nimi i natychmiast zamknąć oczy. Ukryte w głębszym cieniu postacie sztucznych ludzi wyglądały jak powalone strachy na wróble.

Z drugiej strony jezdni potknąłem się na kupie śmieci. Wyplątując buty z uwięzi odpadków,

dostrzegłem wśród nich protezy dwóch ludzkich dłoni. Były urwane przy nadgarstkach i trzymały kurczowo brzeg poszarpanej szmaty, w której – gdy padło na nią światło – widząc napis RYŻ, rozpoznałem szczątki worka po fałszywym skarbie. Zaraz poszukałem wzrokiem kołka po\$ ścianą, gdzie przed kilkoma godzinami siedział uszczęśliwiony moim darem żebrak. Już go tam nie było, choć istnieć mógł tylko pod tym jednym kołkiem. Widać dopóty śpiewał światu koniec swej niedoli, aż zostały z niego same nogi – wyprostowane na chodniku i zatopione w betonowej płycie. Resztę jego ciała – ciągnąc za ten worek – rozszarpały i rozniosły wilki plastikowej dżungli.

Żałując, że dałem żebrakowi ten wartościowy stos makulatury, położyłem się na noc w ciemnym kącie zawalonej gratami rudery. Ze swego miejsca widziałem przez szparę ognisko otoczone markującymi sen manekinami. Ciekawe – pomyślałem – jakiego rodzaju haniebnie znamiona i trwałe więzy mógł widzieć Płowy Jack, kiedy patrzył na mnie lub na inne manekiny wyższego rodzaju, których ja już nie dostrzegałem i dlatego nazywałem je prawdziwymi ludźmi?

Z papierkami w worku czy bez nich, tu czy w innym filmie – każdy w imadle jakiegoś postumentu, pod kołkiem jedynej roli mógł trwać szczęśliwie, dopóki pozostawał na uwięzi swej własnej natury. I może między Płowym Jackiem a nami – rzekomo prawdziwymi ludźmi – była taka sama odległość, jaka dzieliła nas od manekinów. Wszak te ostatnie, patrząc na żywych ludzi – żadnej wyższości w nich nie dostrzegały.

Blask ognia otoczonego zarysami ludzkich postaci przywoływał myśl o hordzie pierwotnej i więzi między istotami jednakowo czującymi. Lecz druga myśl, że tutaj ta więź jest mechanicznie symulowana w celu wywołania określonego efektu scenograficznego, nastrojała szczególnie melancholijnie.

Nagle – zmrożony narastającym uczuciem lęku – przysunąłem zegarek do smugi światła wpadającego przez szparę w ścianie. Była godzina dwudziesta trzecia pięćdziesiąt dziewięć. Zawisłem wzrokiem na strzałce sekundnika, która wykonała jeszcze jeden pełny obrót, odmierzając ostatnią minutę wtorku.

Po źle przespanej nocy, rankiem następnego dnia obudziłem się z uczuciem rosnącego zagrożenia, bardziej przejmującym niż fizyczne pragnienie. Przez dłuższy czas nie ruszałem się z miejsca. To wszystko, co dotąd niezbyt wyraźnie rysowało się w mojej świadomości: cudowne ożywienie po latach pozornego bytu na filmowym planie zdjęciowym i nieludzka rola, jaką kreowałem w zamian za wyzwolenie z plastikowych pęt – skryzalizowało się i runęło na mnie jak wiadomość o nieuleczalnej chorobie i bliskiej śmierci, tym bardziej ponura, że nadchodziła w momencie, kiedy naprawdę zacząłem żyć.

Dzięki tajemniczej przemianie ładunku różnego rodzaju materiałów zastępczych, z jakich byłem dotąd zbudowany, w autentyczne ciało ludzkie znalazłem się nagle w sytuacji człowieka narodzonego w pełni fizycznych i psychicznych sił, z pominięciem okresu zdobywania wiedzy. W każdym drobiazgu widziałem więc zagadkę i problem, z wrażliwością właściwą dzieciom reagowałem na wszystkie zjawiska, nie dostrzegane wcale przez ludzi uspiionych narkozą pozornej wiedzy.

Rzecz prosta, wszyscy żywi mieszkańcy sceny w okresie wczesnego dzieciństwa – zdumieni otaczającymi ich cudami – musieli zadawać liczne pytania swoim dorosłym rodzicom. Lecz po to właśnie istniały szkoły, by w dobrze prosperującym systemie edukacji tłumić naturalną ciekawość – i aby zaklejać dzieciom usta namiastkami właściwych odpowiedzi. Więc odpowiadając na pytanie, dlaczego moneta spada, na ziemię, nauczyciel tłoczył w nasycioną strachem o oceny atmosferę klasy protezę „o przyciąganiu”, uczeń zaś, szczęśliwy, że doniósł ją do egzaminu, spędzał resztę życia na rozwiązywaniu następnego problemu: jak taką monetę utrzymać w kieszeni. Przy tym systemie nauczania (szeroko stosowanym we wszystkich kierunkach wiedzy), którego siłą napędową był strach przed represjami za samodzielność i oryginalność, egzamin dojrzałości zdawał absolwent dokładnie już zakneblowany.

Trudno mi było uwierzyć, że ta sama sublimacja, która podniosła moją świadomość i ciało do poziomu rzeczywistej egzystencji, skazywała mnie jednocześnie na samotność i na bliską śmierć w warunkach życia niemożliwych do zniesienia. Nie mogłem pogodzić się zwłaszcza z koniecznością samotnej obrony przed represjami sztucznego prawa. Razem z widmem skazującego wyroku, które realnie wyłoniło się z artykułu zamieszczonego w „Kroywen – Expressie”, przyszła jednak pewność, że w olbrzymiej masie doskonałych absolwentów, ostatecznie już zapieczętowanych i obojętnych na to, co człowiek w moim położeniu miał do powiedzenia w najistotniejszej dla wszystkich sprawie, znajdę przecież ludzi dalej poszukujących prawdy i skłonnych do pogłębienia swej wiedzy.

Musiałem tych ludzi znaleźć sam, ponieważ głoszone od lat nauki Płowego Jacka nie rozbijały muru milczenia na temat sensu życia w świecie wypełnionym dekoracjami.

Wsiadłem do autobusu i pojechałem w stronę Śródmieścia, na ten odcinek brzegu Vota Nufo, gdzie woda była prawdziwa. Zaspokoilem pragnienie, pijąc wodę prosto z jeziora. Ryzykowałem, że nałykam się zarazków cholery. Poszedłem kawałek dalej.

Cały most przy wylocie Dwudziestej Ulicy skonstruowany był solidnie ze stali. Z obu stron otaczała go rzeczywista woda. NL widziałem stąd żadnych stałych dekoracji. Drzewa i inne rośliny oraz wszystkie domy dookoła, oglądane z zewnątrz, tworzyły w sumie naturalny krajobraz. Tylko obiekty ruchome (jak samochody i przechodnie) w przeważającej większości były sztuczne. Wśród przechodniów niekiedy pojawiali się żywi ludzie. W tym rejonie na kilometrowej drodze naliczyłem ich około trzydziestu. Próbowiałem ustalić, jaka reguła związałaby wszystkich żywych w jedną grupę, lecz nie odkryłem żadnej zasady. Autentyczni przechodnie byli różni – tacy, jakich w normalnych warunkach przypadkowo spotyka się gdziekolwiek na ulicy.

Wyszedłem na przylegający do jeziora plac, pośrodku którego stał zespół supernowoczesnych, prawdziwych budynków Uniwersytetu. Wyższe partie obiektów zespołu, wzmocnione lekkimi konstrukcjami ze stali i betonu, rozcinały błękit nieba i olśniewały w blasku słońca płaszczyznami szkła oraz aluminiowymi elementami. Barwne pomosty i kolumny wspierały się na marmurowych segmentach. Na placu rosły okazy żywych palm. Wszędzie panowała czystość i idealny porządek.

To tu – pomyślałem. Oto miejsce, gdzie Rozum i wiecznie niespokojna, poszukująca prawdy Myśl wznosi się najwyżej. Tutaj z łatwością znajdę kogoś, kto dojrzy sens w argumentach przemawiających za filmową wersją rzeczywistości.

Poszedłem szybko aleją między rzędami nieoszukanych cyprysów. Dopiero w budynku zawahałem się: zadrzałem onieśmielony świetnością wnętrza oraz bliskością tytanów myśli. Do tego stopnia uległem potęgującej się tremie, że zamiast przygotowanej tezy poczułem całkowitą pustkę w głowie. Patrząc na ręce, widziałem tylko żalobę za brudnymi paznokciami. W tym stanie ducha mogłem się obawiać, czy zdołam przekazać komuś zgromadzoną wiedzę w formie dostatecznie atrakcyjnej, aby wywołać jego zainteresowanie.

Wróciłem na dziedziniec nie napotykając nikogo po drodze.

Raz jeszcze zbliżyłem się do fontanny, której wodny pióropusz zraszał świeżą zielenią trawy. Umyłem ręce. Na wszelki wypadek – pomyślałem – aby zabezpieczyć się przed niespodzianką, jaką mógł przynieść emocjonalny stosunek do sprawy, należało usiąść gdzieś i spokojnie sformułować wszystko na papierze. Miałbym więcej czasu na dobór odpowiednich słów niż podczas rozmowy. Ponadto – w razie drugiego ataku nieśmiałości wywołanej legendarną inteligencją profesorów – mógłbym przekazać zapisaną kartkę właściwej osobie.

Pobiegłem zaraz na róg Dwudziestej Ulicy, gdzie stał kiosk z prawdziwymi drobiazgami. Kupiłem zeszyt i długopis. Usiadłem pod pinią i na czterech kartkach wyrwanych z zeszytu przedstawiłem swój punkt widzenia na temat dekoracji.

Dopiero w uniwersyteckim korytarzu uświadomiłem sobie, jaka jest przyczyna głębokiej ciszy w całym gmachu. Trafiłem na wiosenną przerwę w zajęciach studentów. Zawiedziony, skierowałem się już do wyjścia, gdy usłyszałem kobiecy głos dobiegający spoza mijanych drzwi. Podniosłem głowę. Ujrzałem tablicę z listą tytułów i piastowanych funkcji, która zajmowała niemal połowę drzwi prowadzących do gabinetu profesora.

– To tu – szepnąłem po raz wtóry z nadzieją w głosie i znowu zadrzałem w imadle narastającej trwogi. Nie byłem w stanie odczytać pełnego tekstu wywieszki. Migwały mi tylko przed oczami fragmenty długiej listy: „jeden z najwybitniejszych”, „przewodniczący Komitetu”, „członek Prezydium”, „wicedyrektor Instytutu”...

Wszedłem.

– Słucham pana – powiedziała uprzejmie mechaniczna sekretarka profesora.

Po skończeniu udawanej rozmowy telefonicznej, odkładając słuchawkę aparatu, którego przewód nie sięgał nawet do ściany, obróciła się na swym łożysku ustawionym pod drzwiami gabinetu za tarczą eleganckiego biurka. Kukła była wierną kopią sekretarki kierownika z Temalu i ten fakt bardzo mnie zaniepokoił.

– Przyszedłem do pana profesora w bardzo ważnej sprawie, ale zapomniałem o wiosennych feriach. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie go teraz znajdę?

– Profesor siedzi obok w swoim gabinecie.

– Jest tutaj! – ucieszyłem się.

– W okresie ferii zatrzymała go na miejscu praca... – Sekretarka obejrzała się ukradkiem i dokończyła szeptem, przykładając do ust dłonie zwinięte w tubę – praca o doniosłym znaczeniu

teoretycznym.

– Ach!

Kartki wypadły mi z ręki i rozsypały się na podłodze. Zebrałem je. Wie już wszystko, a może znacznie więcej, szatan! – pomyślałem z ulgą, ale też i z odrobiną zawiści. Gdzie mi tam do tych umysłowych wyżyn.

– Będzie bomba! – powiedziała sekretarka, tym razem już bez użycia tuby.

– A czy mógłbym zabrać panu profesorowi kilka minut cennego czasu?

– Wykluczone.

– Tylko dwa słowa.

– Mowy nie ma! – Chwyciła mocno za klamkę jak jej kopia z Temalu. – Cały świat czeka na rezultat pracy pana profesora.

– Ale ja przyszedłem właśnie w sprawie tej bomby! – zawołałem widząc, że okoliczności zmuszają mnie do dublowania pewnych ujęć.

– Trzeba to było od razu powiedzieć.

Stałem blisko parawanu z dykty oklejonej fotografią zgrabnego biurka i myślałem gorączkowo, jak się przedrzeć przez ten pierwszy zaporowy szaniec. Szybkim ruchem zabrała mi kartki.

– A gdzie wolne miejsce na autorski podpis i wszystkie tytuły pana profesora? Wydawnictwa i redakcje przyjmują jego prace wyłącznie na arkuszach w formacie A – 4.1 pan sobie wyobraża, że wielkie luki w swej nieistotnej pracy profesor... odwrotnie, psiakość... odwrotnie proporcjonalne do masy jego ciała... kurcze! – Zacięła się. Nastawiła sobie głowę, aż coś w niej trzasnęło – ...że nieistotne luki w swej wielkiej pracy profesor wypełni takimi świstkami? Też coś!

– Wszelako... ja nie pój...

– Co to za ryki? – odezwał się wspaniały, jasny i mocny głos spoza tekturowych drzwi.

To on – pomyślałem błędnie. Aby nie upaść, złapałem za wspornik parawanu. Serce waliło mi w piersi jak pneumatyczny młot.

Odblokowana sekretarka uchyliła drzwi i przez szparę, ledwie dosłyszalnym szeptem, zaszyfrowała tajemniczo:

– Facet zgłosił się ze ściągą bez szablonu w formacie A – 4. Załatwić?

– Ależ panno Eleonoro! Fe! Ile razy wkuwała już pani, że człowieka warto uszanować. A nuż coś sobie dopasujemy.

– A nuż! – Wskazała mi drzwi.

Wszedłem.

Manekin profesora siedział na bujanym fotelu przy kolosalnej wielkości makiecie biurka ustawionej między dwiema piramidami atrap naukowego oprzyrządowania, pośrodku pokoju, którego wszystkie ściany wytapetowane były grzbietami zerwanymi z uczonych dzieł.

Wyszedłem.

– A nuż!

Trafiony celnie ostrzem sprężyny wystającej z buta sekretarki wpadłem z powrotem do gabinetu. Profesor obydwoma protezami rąk przygotowywał się gorączkowo do rzeczowej argumentacji: jedną – przykładał już sobie do klapy wstęgę z długim szeregiem odznaczeń, drugą – segregował swoje dyplomy.

– Pomyłka – powiedziałem spokojnie i raz jeszcze rzuciłem się do wyjścia.

– A nuż!

Tym razem mechaniczna łowczyni plomb do epokowego dzieła wkopała mnie do sanktuarium potężnym uderzeniem obu wspomaganych sprężynami nóg. Wpadłem prosto do fotela ustawionego

przed fałszywym geniuszem.

– Ktoś, kto w pierwszym akcie napomyka o bombie... – przerwał znacząco – w ostatnim musi mi coś odpalić.

Patrzyłem na niego w milczeniu. Łypnął szklanym okiem i niby to dla pustej zabawy rąk przyzwyczajonych do operowania symbolami jał polerować woskowy medal. Rozgrzewał go tarciami plastikowych palców i dopóty gładził i płaszczył, aż parafinowa kupka uzyskała imponujące rozmiary.

– A pan, kolego, jeśli wolno spytać, czym swoje zbiory przeczyszczasz? – spytał lekko dla rozprostowania kości.

Wzruszyłem ramionami.

– Ja też się nie chwale, choć pod ciśnieniem mojego udziału, który przepompowałem z próżnego w puste, rozdeły się wszystkie programy szkolne. Nic to, że targnąłem fundamentami wiedzy o piątym kole u wozu, aż zadrżały jej najwyższe piętra. Ale czy habilitacjonizował się pan jeszcze w tych ciężkich czasach, kiedy po wielokrotnym podziale zapalki wszystkim łysnęła wreszcie wspaniała myśl o skwarkach?

– O czym?

– Mniejsza. Każdemu, kto z innymi dzielić się nie lubi, bliska jest i droga hipotezy o skwarkach. Katowani wieloletnimi dochodzeniami badacze pod przysięgą zeznawali, że drobiazgu tego nikt już na sieczkę nie porznie. Ja zaś – w mej celnej hipotezy – każdą z tych niepodzielnych cząstek aa dwie sub – skwarki rozchlastałem sprawiedliwie. Wszelako tym głupstwem jeszcze nie przeszedłem do historii, bo teraz dopiero za nazwę puszczonego bąka tytułmająca się dostaje. Przecie: stypendium mi ufundowali i po roku dalszej aktywności naukowej nowe cząstki nazwałem skwarczątkami. Szum się zrobił dookoła. I oto!

Wskazał na plik dyplomów i numer konta.

– Chciałbym wytłumaczyć panu, dlaczego...

– Pst! – przerwał mi niecierpliwym gestem, jakby się bronił przed atakiem plastikowej muchy. – Wszystko, co istnieje, samą tylko obecnością skwarczą, grawitołazów oraz falicji z łatwością wytłumaczyć można. Bo czemu każde dwie rzeczy ku sobie się mają i co różne bryłce wciąż ściągają do kupy? Zjawisko to wywołane jest obecnością grawitonów, które każde cielsko ku drugiemu z siebie puszcza, a drugie zwraca pierwszemu i kwita! Więc ja te same cząstki, przez mędrca tęgiego wymyślone, grawitołazami nazwałem. I oto!

Pokazał plik i numer.

– Może teraz przedstawiłbym panu profesorowi...

– Na przedstawienie trzeba czekać do następnego kongresu. Ogłoszę tam światu, że wszystkie globusy, które wirują w przestworzu, trzyma na uwięzi moja "falicja grawitacyjna". Wprowadzając do nauki to puste pojęcie, zamierzam udowodnić kolegom, że nie mam pojęcia, czym ona się zajmuje.

– Ja mógłbym coś panu powiedzieć...

– Ja! Wciąż to „ja”. Nazwiska nie dosłyszałem, twarz obca, dyplomów nie widzę, ale dostrzegam brak podstawowej wiedzy i naukowej ciekawości. Przychodzi człowiek z ulicy, przerywa mi w połowie doniosłego wywodu i powiada „ja”.

Wstałem, aby wyjść. Lecz sztuczny profesor – rozżłoszczony trzaskami zakłóceń w czasie jego audycji – potężnym chwytem plastikowych ramion zmusił mnie do dalszego nasłuchu.

– Pan chyba przybył tu z obcej planety – zażartował lekko. – Czy pan aby wie, że na wydziale fizyki o jednego potencjalnego studenta walczą między sobą cztery wolne miejsca? W takiej sytuacji tytułowanymi luminarzami nauki stają się u nas automatycznie te wszystkie kołki, które odpadły przy

konkursowych egzaminach na inne wydziały. Podsuwamy im swoje wolne miejsca jak ostatnią deskę ratunku, głaszczemy i windujemy na sam szczyt. Dzięki takiemu systemowi postępowania dyplomanci są naszymi ludźmi, zaś gmach nauki jest obsadzony zwartym zespołem figur ponumerowanych na odpowiednich grzędach – to mur, którego nie poruszy samotny człowiek z kajetem w dłoni, tym bardziej jeśli ma coś istotnego do powiedzenia. Żaden postawiony na straży dekoracji pracownik naukowy nie dopuści do ujawnienia cennej myśli przybysza spoza gmachu, gdyż po ogłoszeniu jej wszystkie publikacje wydawane dotąd w celu pozorowania wiedzy poszłyby – rzecz prosta – na toaletowy gwóźdź. Do tragedii tego rodzaju dochodzi tylko raz na kilkaset lat. Następuje ona wyłącznie w momencie wyjątkowego bałaganu w jakiejś specjalności oraz na skutek karygodnych zaniedbań urzędników naukowych powołanych i wykształconych po to właśnie, aby pilnowali pustych opakowań. Ja wiem na ten temat wszystko i pan nic nowego mi nie powie.

– A nuż – podsunęła nieopatrznie mechaniczna sekretarka.

Zdawało mi się, że w ostatniej części swego monologu paszkwilowego manekin przemówił nagle ludzkim głosem. Pod wpływem tego przelotnego wrażenia uległem w końcu silnej pokusie i podzieliłem się z nim doświadczeniami zebranymi w czasie ostatnich dwóch dni. Zwróciłem jego uwagę na fakt, że prawdy o świecie trzeba szukać w całkiem innym kierunku. Należy usunąć kurtynę pozorów, by dostrzec, że prawie wszystko, co się dzieje w Kroywenie, nie ma większego znaczenia, gdyż leży w głębokiej perspektywie, poza pierwszym planem, przy krawędzi ekranu, na zapleczu, w magazynach i za kulisami areny, że prawie wszystko, co w nim istnieje, tworzy mniej lub bardziej mgliste tło, pomocniczą i rozległą dekorację wzniesioną wokół jednej sceny i jednego istotnego widowiska, które rozgrywa się prawie zawsze gdzieś w dali – poza zasięgiem wzroku takich "drugorzędnych aktorów, jakimi my dwaj (niestety lub na szczęście) jesteśmy w tłumie innych statystów przez całe swoje życie.

Kiedy umilkłem, pochylił nisko głowę i przez rozwarte szeroko gumowe usta z najgłębszej partii akustycznego korpusu wydał z siebie przeciągły barani bek.

Wstawałem, gdy raz jeszcze zagroził mi drogę plastikowymi ramionami.

– Zapytam krótko – rzekł. – Jestżeli w pańskim zeszycie wywód o skwarczątkach albo grawitołazach i falicji grawitacyjnej, który by wsparł moje dyplomy?

– Nie.

– To won!

Pokazał drzwi.

Artykułem wydrukowanym w "Kroywen – Expressie" na podstawie relacji reportera tej gazety szybko przestałem się przejmować. Wysłannika najlepiej poinformowanego o zajściach w Temalu, jakim sam byłem, skłaniał on co najwyżej do banalnej refleksji, że tak zwane gołe fakty – jeśli nawet występują gdzieś w świecie – giną wkrótce pod miażdżącym ciężarem interpretacji dobieranych zgodnie z założeniami potrzebnego komuś scenariusza wydarzeń.

Po opuszczeniu Uniwersytetu bardziej niż groźba ze strony sztucznego prawa pochłaniała mnie próba odpowiedzi na pytanie, którą z dwu osobliwych postaci los dotknął okrutniejszym kalectwem: czy prawdziwego idiotę, wykopanego z baru za swoje łachmany, czy tego wytresowanego naukowymi metodami fałszywego geniusza. Ale ten problem (jeśli analiza baraniego beku stwarza w ogóle jakiś problem) też w niedługim czasie zszedł w mej świadomości na ostatni plan.

Na słupie ogłoszeniowym ustawionym przy wylocie prawdziwego mostu plastikowy mężczyzna rozklejał nowe afisze. Na jednym z nich dostrzegłem z daleka reprodukcję swojego własnego zdjęcia. Gdy pracownik odszedł, zbliżyłem się do plakatu.

NIEBEZPIECZNY BANDYTA
CARLOS ONTENA
NADAL NA WOLNOŚCI

Wydrukowany wielkimi literami nagłówek zajmował miejsce obok fotografii. Nieco niżej czernił się tekst listu gończego odbity małą czcionką:

Ktokolwiek spotkałby poszukiwanego przestępcę, proszony jest o wskazanie miejsca jego pobytu w najbliższym komisariacie karabinierów lub policji. Równocześnie ostrzega się, że za ukrywanie ściganego lub za udzielanie mu pomocy grozi kara więzienia do lat pięciu.

Usiadłem na ławce nad brzegiem jeziora i patrząc ponad szerokim pasem prawdziwej wody, podziwiałem wzniesiony w dali sugestywny miraż Aiwa Paz. Z tego stanowiska obserwacyjnego, inaczej niż z dachu Temalu, skąd można było zdemaskować wszystkie dekoracje, zabudowania bogatej dzielnicy wyglądały równie prawdziwie, jak domy na ulicach sąsiadujących z Uniwersytetem.

Zbliżało się południe, gdy z pustym żołądkiem i głową nabitą sprzecznymi myślami poszedłem wolno Dwudziestą Ulicą w kierunku najbliższej stacji metra. Wlokłem się w gromadzie spieszących na lunch manekinów, w tłumie z rzadka ożywionym postacią prawdziwego człowieka. Jednak rzeka zmotoryzowanych i pieszych dekoracji płynęła w naturalnym krajobrazie; jego ramy wytyczały ściany autentycznych domów ozdobione bogaty – mi reklamami oraz żywe drzewa i inne stałe obiekty uliczne.

U zbiegu Dwudziestej Ulicy z Szóstą Aleją – węchem zaostrzonym przez głód – poczułem zapach prawdziwego jedzenia ulatujący z wnętrza trzeciej z kolei mijanej po drodze restauracji. Dwie pierwsze cieszyły oczy okazałymi elewacjami frontowych ścian i gustowną plastyką w architekturze sal. Należały do rzędu najdroższych lokali gastronomicznych w mieście. Każdą z nich odwiedziłem już kiedyś i zostawiłem tu furę pieniędzy w zamian za możliwość nasycenia próżnej ciekawości. Teraz – zbudzony ostatecznie z plastikowego snu – zaglądając tam, mogłem skonstatować obojętnie, że oba te lokale wypełniają same konstrukcje scenograficzne oraz atrapy garmażeryjnych cacek i ludzi.

Dopiero trzecia restauracja obok dań pozorowanych wydawała też potrawy jadalne. Wchodziło

się do niej po schodkach, które sąsiadowały z wejściem do stacji metra. Dotąd unikałem tej knajpy, ale nie dlatego, że miała niską kategorię, gdyż zawsze jadałem w podrzędnych restauracjach. Po dwóch lunchach wyrobiłem sobie opinię, że sandwicze są tutaj nieświeże. Nie miały estetycznego wyglądu: przy nieznacznym nacisku rozpadały się w palcach i brudziły je. Widocznie dwukrotnie podano mi omyłkowo porcje przeznaczone dla żywych.

Kierowany węchem, jak zwierz w plastikowej dżungli, wspiąłem się po schodach i zajrzałem do środka omijanego kiedyś lokalu. Poza szklaną ścianą kręciła się między wolnymi stolikami prawdziwa kelnerka. Bufetowa też była żywa. W kącie siedziały dwie pary manekinów, nie związanych na stałe z krzesłami, zaś stoliki przy szybie zajmowała grupa autentycznych ludzi, wśród których zobaczyłem Płowego Jacka i Linde.

Widząc Linde, wycofałem się na schody do metra. Cały czas myślałem o niej i wiele razy zastanawiałem się, jak doprowadzić do naszego spotkania, ale na jej widok poczułem się nie przygotowany do rozmowy, która może nawet nie miała już sensu. Jednak zanim zdążyłem odejść, dostrzegła mnie przez szybę, wstała i szybko zbiegła po schodach.

– Szukałam cię przez całą noc – powiedziała nieswoim głosem. – Gdzie byłeś?

– Zwiedzałem miasto.

Podniosła rękę do guzika przy mojej koszuli i nerwowo obróciła go w palcach. Nie patrzyła mi w oczy.

– Wieczorem pojechałam do Tawedy i czekałam pod mostem na wyspę Reff, gdzie ostatnio łowiłeś ryby.

– Myślałaś, że tam przyjdę?

Skinęła głową. Mówiła zmienionym głosem i chwiała się na nogach.

– Przed północą wróciłam i do drugiej szukałam Elsanosa. Nie było go w domu. Mógłbyś do niego zadzwonić. Potem do samego rana siedziałam u Yorenów.

– Byłem u nich w południe.

– Wiem – zatoczyła się lekko – mówili. Myślałam, że wrócisz. Jack widział cię wieczorem w barze u Calpata. Gdzie nocowałeś?

– Na śmietniku.

– Nie mów, jeżeli nie chcesz.

– To nie ma znaczenia. Nocowałem w szczątkach pawilonu naprzeciwko baru Calpata.

Rozejrzała się niespokojnie.

– Carlos, ukryj się gdzieś natychmiast.

– Mam gnić w jakiejś norze przez resztę życia?

– A widziałeś plakaty?

– Jeden, przy moście.

– Jest ich więcej!

– Martwisz się o to?

Nie odpowiedziała.

– Nikt obcy nie pozna mnie na podstawie starego zdjęcia. A ty? Wiele straciłem w twoich oczach po zerwaniu starej maski?

– Więc sam przyznajesz!

– Co?

– Że chciałeś pokazać, jaki jesteś naprawdę.

Opuściła głowę.. Spostrzegłem, że jest mniej pijana, niż sądziłem na początku. Mówiła sensownie, chociaż obróciła w metaforę pytanie o maskę, które ja potraktowałem dosłownie.

– Linda – podniosłem jej głowę. – Jak ci się podobam?

– O co ci chodzi?

– Miałaś kłopot z rozpoznaniem mojej gęby?

– W centrali wyglądałaś strasznie.

– A teraz?

– Głupi! Pomyśl raczej o listach gończych.

– Powiedz, jakie zmiany dostrzegasz w mojej twarzy.

Uśmiechnęła się i spoważniała nagle. Uważnie patrzyła mi w oczy. Po chwili skinęła kilka razy głową, jakby taksowała słowa stawianej w myślach diagnozy.

– Masz obsesję na temat swojego wyglądu?

– Nie rób ze mnie wariata.

– Zewnętrznie nie zmieniłeś się jeszcze w potwora. Ale gdybym zrobiła to co ty, też często zagłądałabym do lustra.

Wypchnęła moją rękę spod swojej brody i znowu opuściła głowę. Wydało mi się, że za jednym zamachem zdołałam jej wytłumaczyć wszystko.

– W gazetach nie ma ani słowa prawdy! Kto troszczy się o to, co się dzieje na niby? Nawet dzieci po powrocie do domu nie przejmują się wynikami rozegranej na podwórku zabawy w policjantów i złodziei, a ty w życiu poza planem zdjęciowym chcesz rozwijać fikcyjny wątek wprowadzony do akcji zgodnie ze scenariuszem trwającej inscenizacji. Tu toczy się gra. Powstaje film. Chcesz zadrećcać mnie treścią sekwencji z Temalu, gdzie zmuszony przez innych wziąłem udział w odegraniu nieznannej fabuły? Czy aktor, który kreuje w teatrze rolę bandyty, po zejściu ze sceny ucieka przed karabinierami?

– Nie pleć bzdur. Powiedz, dlaczego zabiłeś tamtych ludzi?

– Ile razy mam ci powtarzać, że gazety podają fikcyjną wersję tej tragedii! Waszego kierownika uderzyłem pięścią, ponieważ miałem prawo bronić się przed nim, kiedy chciał mnie udusić po nieszczęśliwym wypadku z sekretarką. Na atak urzędnika uzbrojonego w nóż, który pierwszy zadał mi pozorną ranę, odpowiedziałem chwytem samoobronnym i rzuciłem go na schody. W obu wypadkach nie działałem z premedytacją: reagowałem instynktownie, jak człowiek niesłusznie potępiony i śmiertelnie zagrożony. Również z formalnego punktu widzenia ani razu nie przekroczyłem uprawnień wynikających z tytułu tak zwanej "obrony koniecznej".

– A czy chłopiec zginął tam od jakiejś zbłąkanej kuli?

– Nie! Wyobraź sobie, że ten sterowany zdalnie sztuczny samobójca celowo wskoczył mi przed łufę rewolweru w chwili, gdy z zamkniętymi oczami strzelałem z bliska w ścianę, aby sprawdzić, czy w magazynku tkwią ostre naboje. I wszystkie moje pozostałe rzekome ofiary same siebie kolejno pozabijały. Dwaj karabinierzy zaciągnęli mnie do krawędzi dachu i sami skoczyli w przepaść, co wydaje się nieprawdopodobne komuś, kto nie zna scenariusza tej inscenizacji. Trzeci karabinier zginął od ciosu skalpela wyrzuconego przez lekarza, który mierzył we mnie i zaraz sam siebie rozerwał eksplozją ładunku przyklepionego wcześniej plastrami do piersi. Rozejrzała się niespokojnie.

– Ukryjesz się u mnie na strychu – zdecydowała stanowczo. – Już wiem, jak to urządzić. W mieszkaniu byłoby niebezpiecznie. Rano policja złożyła nam wizytę i dalej mogą tam zaglądać.

– Nie chciałbym cię narazić na pięcioletnią katorgę – sprzeciwiłem się bez przekonania.

– Musisz tyle gadać? Teraz zjesz coś na górze, bo w domu nic nie mam. Zwolniłam się z pracy na tydzień. Jack postawił nam piwo.

O swoim kierowniku z biura nie wspomniała ani słowem. I ja przemilczałem tę sprawę, bo inne

były ważniejsze.

Linda przystawiła wolne krzesło do stolika otoczonego prawdziwymi ludźmi. Zamówiła dla mnie spaghetti i befsztyk. Piwo z jej opowiadania ulotniło się gdzieś; zamiast niego między czterema stolikami okupowanymi przez mieszane towarzystwo krążyła duża butelka whisky. Drugą, opróżnioną wcześniej, usunęła kelnerka, aby zrobić miejsce na talerze z gorącymi daniami. Jadłem pod magnetyczną kontrolą oczu jakiegoś dziada pochylonego nad popielniczką.

Płowy Jack siedział w kącie przy stoliku zajmowanym przez trzech brodatych mężczyzn, nastolatkę o pięknych rysach twarzy i wdzięcznym uśmiechu oraz tęgą kobietę, która kołysała wózek z noworodkiem. Rozgadana sąsiadka Lindy napełniła mój kieliszek i wzniosła toast za fundatora. W odpowiedzi na jej gest Płowy Jack skinął głową. Podniósł szklanę z alkoholem. Drugą ręką, obejmując piegowate dziecko, które siedziało mu na kolanie z zardzewiałym łańcuchem w zębach, zapalił sobie następnego papierosa.

Słońce wypalało resztki trawy po obu stronach opustoszałej ulicy. Linda przeniosła pod stołem rękę i położyła ją na mojej dłoni. Gdy ostatni manekin opuścił restaurację, Płowy Jack przemówił ze swego miejsca melodyjnym głosem, w ciszy przerywanej tylko brzękiem targanego przez dziecko łańcucha:

– Szukajcie, a znajdziecie, kołaczcie, a otworzą wam. Szukajcie wąskiej drogi i ciasnej bramy, która prowadzi do trwałego życia. Taką niewielu znajduje. A szeroka jest droga i przestronna brania, która wiedzie do zguby przez ciemności zewnętrzne. I wielu wybiera ją.

Nie dawajcie świętego psom i nie miotajcie pereł waszych przed świnie, by ich nie podeптаły, i obróciwszy się, nie rozszarpały was.

Nie każdy, kto mi mówi: Panie, Panie!, wejdzie do królestwa ekranu, ale ten w nim pozostanie, kto czyni wolę Twórcy przemawiającego w nim. Bo wy nie jesteście tymi, którzy mówią: to Duch Scenariusza woła w was!

I stało się, że gdy Płowy Jack wyrzekł te słowa, przy ostatnim stoliku odezwał się głos młodego Mulata:

– To ty jesteś, który miał przyjść, czy na innego czekać mamy?

Odpowiadając mu, Płowy Jack spytał: A co sam myślisz? – Potem zwrócił się do wszystkich:

– Kto ma uszy, niechaj słucha. Oto plan i dzieło moje: ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci biorą oczyszczenie, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, zaś wszystkim statystom wola Scenografa przekazywana bywa.

Lecz coście wyszli na plan zobaczyć? Trzcinę rozchwianą na wietrze czy proroka? Zaiste powiadam wam: I więcej niż proroka!

Wysławiam cię, Ojcze, Panie planu i ekranu, żeś te rzeczy zakrył przed mądrymi i roztroprnymi, a objawiłeś je niemowlątkom. Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy obciążeni jesteście, a ja uzdrowię was. I weźmijcie jarzmo me na siebie, albowiem brzemię to lekkie i wdzięczne jest.

Zjechaliśmy ruchomymi schodami do stacji metra w tunelu pod Szóstą Aleją. Podtrzymałem Linde, która była bardziej niż ja pijana. Wyszła na peron bez jednego buta. Drugi – przy zejściu z ruchomych schodów – trafił w szczelinę odklejonym brzegiem podeszwy i rozleciał się, kiedy wrywałem go z uwięzi.

Na peronie Linda zdjęła ocalały but i ze złością cisnęła go do kosza na odpadki.

– Mogłabym stracić nogę! – wybuchnęła.

– Przesadzasz.

– Oczywiście! Ciebie to nic nie obchodzi. Nigdy nie mogę liczyć na twoją pomoc, kiedy jestem czymś zagrożona.

– Czy przedwczoraj, gdy byłaś zagrożona pociągiem do swego kierownika, też miałem cię asekurować?

Spojrzała mi bystro w oczy i podeszła do najbliższej ławki, stawiając ostrożnie bose stopy między odpadkami rozrzuconymi na płytach. Usiadłem obok niej.

– Musiałeś do tego wrócić? – spytała niewinnym tonem.

– Więc wyobrażasz sobie, że w zamian za kryjówkę u ciebie na strychu, którą mi wspaniałomyślnie ofiarujesz...

– Och, przestań marudzić!

– Nie mam prawa powiedzieć, że postąpiłaś jak zwyczajna kurwa, bo pewnie nie wzięłaś od niego pieniędzy, chociaż kto wie, czy nie liczyłaś na awans.

– Jest jeszcze jedna możliwość.

– Jaka?

– Że on mi się podobał.

– I ciągniesz mnie do swego domu, zamiast go opłakiwać?

– Bo podobał mi się tylko przez jeden kwadrans.

Spojrzałem na dworcowy zegar. Zgodnie z rozkładem jazdy najbliższy pociąg w kierunku Riwazolu miał odjechać dopiero za dziesięć minut. Linda patrzyła na swoje kolana. Żadna z obelg, jakie nasuwały mi się pod wpływem jej wyznania, nie była dość ordynarna. W bezsilnej złości nie znajdowałem odpowiedniego słowa, którym mógłbym przekreślić wszystko i zaakcentować moment zerwania naszego związku.

Nasz ślub miał się odbyć za dwa tygodnie, co ustaliliśmy przed miesiącem, chociaż wcale nie byłem pewien, czy się z nią w ogóle ożenię. Zgodziłem się na proponowany przez nią termin dla świętego spokoju, planując, że potem jakoś się wykręcę. W życiu bez ograniczeń i zobowiązań znajdowałem więcej atrakcji niż w małżeństwie, które – według cynicznego Ryana Elsanosa – dla mężczyzny nie było żadnym interesem. Właśnie w poniedziałek zamierzałem skłonić Linde do przesunięcia terminu ślubu o kolejny miesiąc. Czując w sobie nieodpowiedzialną huśtawkę uczuć, żyłem z dnia na dzień – raz z gorącą myślą o Lindzie (i w takich okresach nie widziałem swej przyszłości bez niej), kiedy indziej na pierwszy plan wychodziły w mej świadomości inne sprawy, w których ona przeszkadzała mi tylko.

Jak bardzo mi na niej zależy, spostrzegłem dopiero teraz – po jej brutalnym oświadczeniu. Równocześnie wyobraziłem sobie, że spycham ją pod koła nadjeżdżającego elektrowozu, ale to był nonsens, gdyż ona musiałaby żyć jeszcze wiek i cały czas cierpieć za to, co mi tu powiedziała w chwili beznadziejnie głupiej szczerości.

– To ciebie doskonale tłumaczy – rzuciłem obojętnie.

– Głupia sprawa, Carlos, ale to fakt. Strasznie mi przykro. Uległam mu w wyjątkowych okolicznościach. Taka sytuacja nie powtórzy się już nigdy. To było coś... – zamknęła oczy, jakby chciała przywołać obraz tamtej sceny, aby opisać dokładnie, co w niej było niesamowitego.

Wstałam.

– Nie wysilaj się. Cokolwiek to było, musiało być wspaniałe, skoro zapomniałaś o moim istnieniu.

– Złóścisz się jeszcze?

– Przeciwnie. Teraz kocham cię bardziej niż kiedykolwiek.

– Więc czemu jęczysz?

Ze świeżego plakatu naklejonego na pobliskim filarze spoglądały w dal te same, osadzone w plastikowej twarzy szklane oczy. Drukarnia reprodukowała stare zdjęcie. Zabrano je z mojego mieszkania w Tawedzie.

– Carlos, co ci jest?

Pewnie teraz wyglądałem bardziej groźnie, niż to wynikało z treści ogłoszenia. Ironizując na temat wzrostu mej miłości, niechcący powiedziałem prawdę. Lecz po pytaniu “Więc czemu jęczysz?”, poczułem, że lada chwila ostatecznie stracę panowanie nad sobą i zabiję Linde natychmiast, zamiast udawać kamienny spokój, ożenić się i torturować ją przez wiele lat, co sobie uroczyście ślubowałem. Stałem pod listem gończym i planowałem zemstę w długotrwałym życiu, które ten list w całości przekreślał.

Na szczęście w ostatniej chwili Linda powiedziała coś bardzo zastanawiającego:

– Wreszcie muszę ci to wytłumaczyć. – Wstała i otoczyła mi szyję ramieniem. – Posłuchaj, wariacie. Kłamałam dotąd, ponieważ bałam się, że doprowadzę cię do drugiego ataku furii, kiedy opowiem całą prawdę.

– Mów!

– Na pewno nie uwierzysz.

– Spróbuję.

– On mnie zgwałcił.

– Jasne.

Odwróciłem się spokojnie, aby odejść.

– Poczekaj!

– Dlaczego tej wersji nie wymyśliłaś w pierwszej kolejności? Przecież każdy żyje jakimś kłamstwem i może wśród oszukiwanych ja potrzebowałem go najbardziej.

– To była przemoc. Wierz mi! Wtedy ja również nie panowałam nad sytuacją. Uległam pod naciskiem tej samej konieczności, która ciebie zmusiła do zabijania tamtych ludzi.

Ostatnie słowa wymówiła ściszym głosem i umilkła.

– Nawijaj dalej – szepnąłem ironicznie.

– Powiedziałam wszystko.

– Zataiłaś coś najciekawszego.

– Co?

– Że dałaś się zgwałcić w całkowitym milczeniu!

Drgnęła i szybko podniosła głowę. Ze zmiennym wyrazem twarzy wpatrywała się we mnie dopóty, aż oczy jej wypełniły się łzami.

– No! – mruknąłem gniewnie.

– A ty dlaczego milczałeś przy swych kolejnych morderstwach? Twojego wrzasku też nikt ani razu nie usłyszał, chociaż przysięgasz, że ulegałeś przemocy własnych ofiar. Czy to, co mi o sobie

opowiedziałeś, brzmi bardziej prawdopodobnie?

Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się na dobre. Posadziłem ją na ławce.

– Zaraz wracam – powiedziałem twardym tonem.

Poszedłem na koniec peronu, gdzie znajdowała się toaleta.

Musiałem tam wejść natychmiast, aby raz jeszcze obejrzeć swoją twarz w lustrze. Wpatrywałem się w siebie nieufnie przez kilka minut. Kręciłem głową i stroiłem do lustra różne miny, sprawdzając, czy wszystkie części twarzy pozostały na właściwych miejscach. Poza dwudniowym zarostem i brudem nie dostrzegłem niczego nowego. Wyglądałem zwyczajnie, jak wczoraj: nadal byłem prawdziwy. Lecz babka klozetowa, którą poprosiłem o mydło i ręcznik, również miała autentyczne ciało.

Odkręciłem kurek nad porcelanowym zlewem. Wszystkie drobiazgi w wyposażeniu całej stacji razem z instalacjami toalety zostały tu zmontowane z odpowiednich materiałów właściwych dla tego rodzaju urządzeń. Zapatrzony w strumień gorącej wody próbowałem przebić się przez natrętny obraz Lindy płaczącej na ławce. Myślałem o tajemniczej fabule, o znanej tylko Płowemu Jackowi treści reżyserowanego nieustannie widowiska, w którym pisuardessa z klozetu na wstydlivym zapleczu stacji metra odgrywała znacznie bardziej doniosłą rolę niż powszechnie szanowany i przekonany o swej wyższości profesor uniwersytetu. W inscenizacji Kroywenu ona była statystką pierwszoplanową, on – trzeciorzędnym statystą tła, mało istotnym elementem w tłumie gadających i poruszających się dekoracji.

Lecz czy w otaczającej mnie rzeczywistości, którą Płowy Jack opisywał w podobieństwach przy pomocy bliskoznacznych określeń zrozumiałych nam współcześnie, ja sam miałem kiedyś wygłosić ważniejszą kwestię od tej, jaką wypowiedziała pisuardessa, mówiąc: "Oto papier, czwarta kabina na lewo jest wolna"?

W jaśniejącym świetle kontury przedmiotów zaostrzyły się, barwy stały się bardziej intensywne. Umyłem twarz i ręce. Coś niedobrego działo się z moim wzrokiem. Mrużyłem oczy oślepiiony nienaturalną bielą ręcznika. Krany rozbłysły czystością polerowanego srebra. W blasku padającym z niewidzialnego źródła pokryte glazurą ściany lśniły świeżym błękitem. Przez kontrast z nowym oświetleniem przygasły pozornie wszystkie żarówki.

Przemyłem oczy jeszcze raz i zwróciłem ręcznik klozetowej babce. Siedziała przy stoliku ustawionym w przejściu między damską i męską częścią toalety. Z drugiej strony stolika przeszła ładna dziewczyna. Miała długie jasne włosy i była ubrana w wytarte spodnie i niebieską kurtkę z zawiniętym wysoko lewym rękawem. Widziałem ją przez kilkanaście sekund. Położyła monetę na talerzyku. Po chwili rzuciła do blaszanego kubła na odpadki jakiś drobiazg. Usłyszałem brzęk charakterystyczny dla pękającego szkieleka. Kiedy wyciągała rękę do stolika, dostrzegłem na jej skórze pod brzegiem zawiniętego rękawa małą kroplę krwi. Świeży ślad ukłucia czerwienił się w miejscu zgięcia ręki na sienie żyły. Narkomanka – pomyślałem.

Dziewczyna, stojąc poza otwartymi drzwiami w głębi damskiej części toalety, zwróciła się tyłem do rozdzielającego nas stolika i zatrzymała się przed lustrem. Wyszedłem na peron w momencie, gdy następny pociąg wjeżdżał na stację. Zastanawiałem się nad przyczyną doznawanych sensacji wzrokowych.

Linda czekała na ławce w tym samym miejscu, gdzie ją zostawiłem. Nawet nie zmieniła pozycji: siedziała z nisko pochyloną głową i wpatrywała się w podłogę. Ucieszyłem się na jej widok. Dzielili nas odległość około pięćdziesięciu metrów. Pobiegłem w jej stronę. W miarę jak oddalałem się od końca peronu, natężenie sztucznego światła malało. Wbiegłem do strefy pograżonej "w półmroku. Pociąg stał już na torze. Omijając wysiadających pasażerów dotarłem do Lindy i trąciłem

ją w ramię. Nie powiedziałem ani słowa. Ona też milczała. Wytarła chusteczką tusz rozmazany na policzkach.

Weszliśmy do wagonu. Tutaj – pośrodku stacji – jarzeniówki i reklamowe neony świeciły już zwyczajnie, chociaż przez kontrast z tamtym blaskiem wysyłały światło znacznie przyćmione. Niezależnie od olśnienia wywołanego łuną, coś innego jeszcze nie dawało mi spokoju. Począwszy od pewnej chwili w całym moim otoczeniu dokonywały się stopniowo jakieś bliżej nie określone zmiany. Nie potrafiłem sprecyzować, na czym one polegają – czułem jednak, że celem ich jest dopełnienie niepokojącego obrazu całości.

Dopiero gdy usiedliśmy obok siebie, znalazłem czas, by wyrzeć przez okno na pustoszejący peron i objąć wzrokiem pasażerów rozlokowanych w głębi wagonu. Wtedy – z ostrym wstrząsem rozpoznania – zrozumiałem w jednej chwili, ku jakiemu dopełnieniu dążyły zmiany obserwowane wcześniej.

Kiedy przebiegałem ze strefy wypełnione j łuną do pogrążonej w półmroku części stacji, widziałem jeszcze tu i ówdzie postacie manekinów, które kręciły się pomiędzy żywymi przechodniami. To one właśnie najbardziej spieszyły się do wyjścia na ruchome schody. Teraz – w ostatniej fazie tej systematycznej wymiany – wszyscy pozostali na peronie podróżni oraz pasażerowie zajmujący cały nasz przedział w wagonie metra – już bez żadnego wyjątku byli prawdziwymi ludźmi. W tej samej chwili, kiedy to spostrzegłem, łuna z końca peronu przesunęła się i objęła centralną część stacji. Rozległą okolicę wagonu razem z całym jego wnętrzem wypełnił taki sam blask, jaki poprzednio olśnił mnie w toalecie.

Pociąg stał na przystanku nieco dłużej niż zwykle. Zdawało się, że maszynista zwleka z odjazdem, czekając na kogoś, kto waha się jeszcze, czy wsiąść do wagonu, czy pozostać na stacji. W czasie tego uroczystego oczekiwania na coś niezwykłego, czego nawet nie ośmieliłem się przewidywać, barwy przedmiotów wypełniały się głębszymi tonami i uzyskały pełną skalę odcieni, zaś ich rysunek – ostrość nieosiągalną na doskonałych zdjęciach, aż w momencie maksymalnego rozjaśnienia w wagonie pojawiła się postać poprzedzona tamtymi przygotowaniem: na pomost naszego przedziału weszła dziewczyna, którą już raz – w myśli – nazwałem narkomanką.

Weszła i rozejrzała się sennie. Drzwi zasunęły się za nią. Dostrzegła wolne miejsce przy oknie naprzeciwko ławki zajmowanej przez nas, podeszła i zajęła je.

Nikt z obecnych nie zwrócił na dziewczynę najmniejszej uwagi. Pociąg opuścił oświetloną stację i wjechał do mrocznego tunelu. Nadal żadne oczy nie patrzyły w stronę Pasażerki metra. W czarnych szybach jaśniały odbicia obojętnych twarzy, których nie poruszył ani otaczający nas blask, ani emocja wywołana Jej obecnością.

Wbiłem wzrok w swoje splecione kurczowo na kolanach ręce. Linda znowu sięgnęła po chusteczkę. Zasłoniła twarz pokrywką torebki i zerkając w lusterko poprawiała sobie rozmazane oczy. Mówiła coś. Jej głos dobiegał jakby spoza dźwiękochłonnej ściany. Nie słyszałem nawet łoskotu kół ani ryku echa uwięzionego w tunelu. Siedziałem w komorze ciszy, która obejmowała cały świat i falowała w rytm uderzeń serca rozrywającego mi piersi.

Pierwszym realnym dźwiękiem, jaki wtargnął do mej świadomości w czasie krótkotrwałej jazdy, był zgrzyt hamulców pociągu wjeżdżającego na następną stację. Jeszcze nie zdążyłem przyjrzeć się dziewczynie i nawet nie umiałbym powiedzieć, czy miała w sobie coś niezwykłego. Ale wiedziałem już, że więcej nie podniosę oczu:

Oto ja – Carlos Ontena z Tawedy, dawniej ruchomy element dalekiego tła, a dziś żywy, szeregowy statysta pierwszego planu, siedząc przed obiektywem niewidzialnej Kamery, która utrzymywała w ruchu wszystkie tkanki naszych ciał – na cztery minuty akcji, w kulminacyjnym momencie

mojego życia wpadłem w centralny krąg światła ruchomej sceny i odegrałem już swoją rolę pierwszorzędneho statysty posadzonego naprzeciwko aktorki.

Tak minęły cztery minuty – jedna chwila i zarazem wiek – czas, w jakim pociąg przebywał zwykle odległość między dwoma sąsiednimi przystankami – przy Dwudziestej i przy Trzydziestej Ulicy.

Linda mieszkała przy Dwudziestej Dziewiątej Ulicy, więc na tym przystanku należało wyjść, ale sam o własnych siłach nie ruszyłbym się z miejsca. Nadal nie ośmielałem się podnieść oczu na aktorkę. Poczułem dłoń Lindy na swojej ręce. Paraliżowany uczuciem niewyobrażalnego kiedyś nonsensu pozwoliłem jej wyprowadzić siebie z wagonu, chociaż to ja powinienem podtrzymywać ją, gdyż była bardziej pijana.

Wysiadłem z pociągu i zatrzymałem się poza otwartymi drzwiami. Miałem pełną świadomość trwania na krawędzi sceny, pewność końca epizodu, który wieńczył życie. Równocześnie czułem, że ten niepozorny krok, którym przeniosłem ciało z pomostu wagonu na peron, jest najbardziej fałszywym krokiem mojego nowego bytu. Jeszcze stałem w powodzi światła zalewającego stację. Ale już wiedziałem, jakim torem pobiegną dalsze moje losy. Wiedziałem, że za kilka sekund świetlny krąg zagłębi się w tunelu i na zawsze przepadnie w labiryncie ulic wielkiego miasta. A kiedy to nastąpi, wszystko, co dotąd brałem za prawdę i piękno otaczającego świata – przez kontrast z tamtą tajemniczą łuną – przysłoni mgła beznadziejności, zaleje lodowaty półmrok dalekiego tła i jednostajna szarość dekoracji.

Linda stała na jednej nodze.

– Psiakość! Ofiara ze mnie: Carlos, podaj mi rękę, bo upadnę. Włazłam na coś.

Na peronie pod drzwiami wagonu leżała rozbita butelka. Linda wyciągała z bosej stopy ostry odłamek szkła. Wypadkiem tym – co odgadłem w lot – przebiegły Scenarzysta wskazywał właściwy kierunek rozwoju marginesowej akcji w sekwencji specjalnie napisanej dla mnie.

Nie kocham jej – powiedziałem sobie. Już byłem o tym przekonany. Lecz aby wzmocnić pewność, że tak jest, raz jeszcze – w ułamku sekundy – przywołałem widmo rozkoszy odmalowanej na twarzy Lindy w chwili, gdy spoczywała w objęciach plastikowego uwodziciela – obraz bardziej wyrazisty od widoku krwi dostrzeżonej teraz na jej bosej nodze.

Drzwi zasunęły się rozdzielając nas. Znowu stałem na pomoście ruszającego wagonu. Byłem panem swojego losu – Kimś, kto zdołał zmienić scenariusz ustalonej gry, więc patrząc przez okno na Linde, która zatoczyła się i usiadła na peronie, na szczęście z dala od rekwizytu teatralnego w postaci fatalnej butelki – triumfowałem, podczas gdy wewnętrzny głos, głuchy na wszystkie argumenty, rykiem syreny alarmowej ostrzegał mnie, że wyszedłem poza ramy swej roli.

Powróciłem do przedziału na poprzednie miejsce.

Po doświadczeniach zgromadzonych na planie zdjęciowym przestałem wierzyć, że niedorozwój umysłowy lub psychiczna choroba, alkohol we krwi, wygórowane ambicje, nadmierna ciekawość, szalona miłość lub pragnienie odwetu nie pozwalają komuś usłyszeć głosu, który w czasie gry kieruje jego postępowaniem, i że na scenie pojawiają się niekiedy statyści i aktorzy nie wyposażeni w systemy samokontrolne, więc postacie bezradne i – co za tym idzie – zwolnione z odpowiedzialności za fałszywe elementy gry w kreowanych przez siebie rolach.

Patrzyłem wciąż na swoje kolana. Fizyczna bliskość Pasażerki metra obezwładniała moją wolę: nawet teraz – rozpędzony powodzeniem poprzedniej "akcji" – nie byłem w stanie podjąć żadnej inicjatywy, która doprowadziłaby do zawarcia znajomości z nią i może – w dalszej perspektywie – do naszego duchowego zbliżenia. Chociaż – co uparcie akcentowałem w myśli – na czele czarnej listy wszystkich możliwych przyczyn haniebnej ucieczki z peronu stało krótkotrwałe zaślepienie w nienawiści, chęć odwetu i potrzeba ratowania męskiej godności po zdradzie Lindy, faktycznie postępowaniem moim kierował splot wielu przyczyn: alkohol we krwi, wygórowana ambicja, nadmierna ciekawość oraz – ale to już zakrawało na kpiny – miłość od pierwszego wejrzenia.

Przychodziły mi do głowy szalone myśli: zastanawiałem się, w jakiej płaszczyźnie mogłoby dojść do nawiązania równorzędnej gry pomiędzy skrajnymi postaciami powstającego superfilmu, więc między aktorką z jednej i statystą z drugiej strony. Lecz im usilniej pragnąłem doprowadzić do połączenia się naszych losów, z tym większą ostrością widziałem przepaść, jaka nas dzieliła. Należeliśmy do różnych planów: ona była Postacią, a ja fragmentem jej tła, ona żyła pod snopem blasku padającego na środek sceny, a ja w dalekiej perspektywie obrazu lub przy mrocznej jego krawędzi, w każdym przypadku tam tylko, gdzie rzadko kiedy przemknę Spojrzenie skoncentrowanego na akcji Widza.

Pod wpływem tych myśli zrozumiałem, że aby towarzyszyć dziewczynie na planie zdjęciowym, musiałbym przeistoczyć się natychmiast ze statysty w aktora, ponieważ teoretyczna możliwość, że fragment ruchomego tła, jakim dotąd byłem, mógłby zostać partnerem bohaterki filmu – była oczywiście całkiem wykluczona.

Do tego wniosku ("teraz albo nigdy") doszedłem w czasie pierwszej minuty jazdy w kierunku Kroywen – Centralu. W następnych – usiłowałem znaleźć jakiś pretekst do zawarcia znajomości z Pasażerką metra. Niestety, jak zwykle nic rozumnego nie przychodziło mi do głowy. Jak zawsze i wszędzie w tego rodzaju wypadkach (gdzie cel bywa sztucznie wywindowany na nieosiągalną wysokość) problem pierwszego zdania stawiał opór wewnętrzny proporcjonalny do wielkości zaangażowania emocjonalnego.

Lecz to pierwsze zdanie – jakiegokolwiek – utorowałoby mi drogę do fabuły filmu. Otóż to! Czy byle jakim wejściem ktokolwiek zdołał kiedyś wydostać się na pierwszy plan wiecznego życia? Chciałem już zwrócić się do dziewczyny z jakąś uwagą a propos toaletowej sceny, natychmiast jednak ugryzłem się w język. Pytając wprost o nazwę narkotyku lub o czas trwania nałogu, postąpiłbym zbyt brutalnie: w najlepszym razie zyskałbym w jej oczach opinię szpicla, co doprowadziłoby do przykrego incydentu rozegranego na marginesie istotnej akcji zamiast do naszego zbliżenia.

Pozostawała jeszcze jedna, miła każdej kobiecie możliwość zwrócenia uwagi dziewczyny na jej niewątpliwe wdzięki. Trzeba by było pochwale nadać formę wyraźnie przesadną, więc niesprawiedliwą, co obłączonej dałoby pole do łagodnej samoobrony. Wtedy w potyczce słownej –

od ciosu do ciosu – rozmowa uzyskiwała zawrotne tempo. W fabryce wagonów często byłem świadkiem takiego sposobu zawierania znajomości. Lecz tutaj – w nabitym ludźmi przedziale – kreując rolę pijanego uwodziciela, w przypadku zdecydowanej odprawy łatwo mógłbym stać się jednym z tych statystycznych i żalonych natrętów, jakich nigdy nie brakowało w metrze i na których widok kobiety korzystały często z pomocy karabinierów.

Nie tędy droga! – pomyślałem trwożnie (mijała właśnie druga minuta rozpaczliwych zmagania). Każdym skopaniem przez niezręczność "wejściem" pogrzebałbym raz na zawsze niepowtarzalną szansę połączenia swoich losów z życiem tej tajemniczej dziewczyny. Przez третią minutę szperałem gorączkowo w pamięci. Poszukiwałem najbardziej odpowiednich dla mojej sytuacji wzorów oryginalnego pojawienia się nowej Postaci w kadrze filmu i szybko doszedłem do prostego wniosku, że tutaj (w filmie trójwymiarowym) właściwe "wejście" musi być jeszcze bardziej efektowne od tego, jakim gwiazdy naszych dwuwymiarowych ekranów utrwalały się na zawsze w pamięci zwyczajnych widzów w ziemskich kinach.

Zmiażdżony celnością ostatniego wniosku, jasno wynikającego z teoretycznych rozważań, zachwiałem się na ławce i – mimo woli – podniosłem do góry głowę. Aktorka patrzyła mi w twarz nieruchomymi oczami. Natychmiast powróciłem do pozycji zasadniczej: utkwilem wzrok w tarczy zegarka, którego sekundowa wskazówka obracała się z szaloną prędkością. Koła wagonu dudniły na szynach. Nadal byłem statystą.

Naraz – butem prawej nogi, którą trzymała na lewym kolanie – dziewczyna delikatnie trąciła mnie w kostkę. Jeszcze nie dowierzałem własnym zmysłom. Wcześniej dostrzegłem niewidoczne z daleka nieliczne piegi na jej policzkach i krople potu na czole. Ośmielony tymi dowodami niedoskonałości aktorki znowu podniosłem oczy. Wciąż uporczywie wpatrywała się we mnie. Wprawdzie delikatne piegi przy nosie dodawały uroku rysom ładnej twarzy, miała ona jednak drugi drobny feler: od czasu do czasu, jakby pod wpływem prądu, przebiegało po niej nieznaczne drgnienie.

Lecz czyżby rzeczywistość mogła być wspanialsza od najbardziej optymistycznych marzeń? Toż w czasie, gdy ja zaprzęgałem rozum do dźwigni otwierającej wrota raj, ona – zdawałoby się całkiem obojętna na duchową rozterkę statysty – podrywała mnie bezczelnie sposobem znanym w epoce kamiennej! Odprężony, chciałem już pochwalić się przed nią, że ów słynny i groźny bandyta, Carlos Ontena, o którym pisały gazety, jest moim serdecznym druhem, kiedy zobaczyłem coś dziwnego w szeroko otwartych i nieruchomych oczach. Źrenice ich ogniskowały się gdzieś daleko na ścianie. Widząc teraz wyraźnie, jak ona patrzy przed siebie, zrozumiałem wreszcie, dlaczego nie dostrzegła wcale mojej twarzy: to, co naiwnie brałem za objaw "wzajemności od pierwszego wejrzenia", było tylko reakcją jej organizmu na zastrzyk heroiny.

Wpadłem znowu w ponury nastrój. A może ona była chora i potrzebowała pomocy? Może była nieuleczalnie chora i w celu złagodzenia jakiegoś bólu lekarz przepisał [ej morfinę? Z pewnością ktoś taki – myślałem – kto wychodzi z domu i po drodze narkotyzuje się w toalecie na stacji metra, musi mieć zrujnowane życie.

Patrzyła w swój sen, aż pociąg zatrzymał się przy peronie dworca Kroywen – Central. Wtedy wstała i zgrabnym krokiem opuściła wagon. Rzecz prosta, po chwili podniosłem się z miejsca, poczekałem, aż oddaliła się na odległość kilkunastu kroków, i nie tracąc jej z oczu – ostrożnie ruszyłem za nią.

Zarówno na dworcu, jak i w autobusie, a potem na ulicy – ze wszystkich stron otaczali nas wyłącznie sami prawdziwi ludzie. W gromadzie naturalnych statystów kobiety i mężczyźni nieustannie wymieniali się. Napotykalismy wciąż nowych żywych przechodniów. Jedni stali na

autobusowych przystankach, inni mijali nas, najpierw na estakadzie przy dworcu, a potem na chodniku Czterdziestej Ulicy, jeszcze inni wchodzili w pole widzenia dziewczyny, ukazując się jej poza szybami sklepów lub przejeżdżających aut.

I choć pozornie każdego człowieka zajmowały tutaj jego własne sprawy i jakiś subiektywnie ważny lub błahy, jednostkowy cel – faktycznie (o czym nikt oczywiście nie wiedział) wszyscy razem spełniali tu tylko jedno istotne zadanie: kręcili się na drodze aktorki i robili wokół niej naturalny tłum – tworzyli tło gry jednej Postaci, na której spoczywało oko Widza.

Na marginesie tego przerażającego faktu mogłem podziwiać niezwykłą precyzję scenopisu widowiska napisanego nie tylko dla aktorów, ale też dla żywych i sztucznych statystów, którzy – bezwiednie – w każdej chwili postępowali zgodnie z wolą Twórcy filmu. Podstawowe zasady gry bowiem musiały tu być takie same, jak w zwyczajnym atelier: jeśli aktorzy i statyści kierowani wewnętrznymi głosami pojawiali się na planie zdjęciowym w precyzyjnie określonych porach i właściwych miejscach – słowem tam, gdzie byli niezbędni jako bohaterowie lub elementy tła realizowanego ujęcia – wówczas nie narażali się Korektorowi. Sprzeciwiając się Scenarzyście, ryzykowali, że częściowo lub w całości zostaną kiedyś usunięci z trójwymiarowej taśmy: częściowo – w przypadkach drobnych wykroczeń przeciwko szczegółom Utworu, w całości – w razie zamachu na jego istotną treść. Reżyser świata nie zmuszał nikogo do wiecznego życia w powstającym dziele: każdy mógł opuścić film, wychodząc z jego akcji przez szeroką bramę, którą otwierała przed nim wolna wola. Wsiadliśmy do autobusu na przystanku przy estakadzie z zachodniej strony Kroywen – Centralu i pojechaliśmy Czterdziestą Ulicą w kierunku Uggioforte. Nieustannie towarzyszył nam blask łuny. W zestawieniu z jasnością niewidzialnego jupitera słońce świeciło anemicznie. W tej części miasta nie było dekoracji. Cała ulica miała naturalny wygląd. W autobusie, tak samo jak poprzednio w metrze, ludzie nie okazywali zaniepokojenia, patrząc wzajemnie na Ciebie, chociaż przypadek, który zgromadził na niewielkiej powierzchni tylko żywych mieszkańców miasta, był niezwykle mało prawdopodobny. Z zachowania statystów wnioskowałem również, że rozjaśnienie tła w naszej okolicy też nie dziwiło tutaj nikogo.

W powszechnej nieczułości na wymowę faktów jedynie obojętność aktorki była usprawiedliwiona. Jej brak zainteresowania wyglądem ulic i ludzi uzasadniała zupełna niewiedza. Z pewnością aktorzy poruszali się określonymi trasami; w każdej chwili przebywali tam, gdzie toczyła się akcja filmu. I nigdy nie wychodzili poza ramy centralnej części planu zdjęciowego, to znaczy nie opuszczali wnętrza tej – zawile j figury, którą – patrząc z góry na miasto – zobaczyłem z dachu Temalu. Dzięki temu główni bohaterowie filmu żyli w naturalnym środowisku. Ponieważ manekiny nigdy nie pojawiały się w polu ich widzenia, otoczeni prawdziwymi domami i ludźmi aktorzy nie wiedzieli nic o istnieniu dekoracji pokrywających większą część Kroywenu.

Dziewczyna wysiadła z autobusu na przystanku koło domu towarowego Extra – Visso. Idąc za nią, przeszedłem podziemnym pasażem na drugą stronę ulicy. Teraz już celowo odkładałem próbę zawarcia znajomości do czasu, aż dowiem się czegoś bliższego na jej temat. Liczyłem na jakiś szczęśliwy przypadek. Postępując pośpiesznie, mógłbym ją łatwo spłoszyć, co w znacznym stopniu skreślałoby moje ruchy. Trudno jest śledzić na ulicy kogoś, kto wie, że jest obserwowany, i zna z wyglądu osobę natręta. Miałem dalekosiężne plany. Aktorka z pewnością nie pamiętała mojej twarzy. Postanowiłem tropić ją aż do mieszkania, choćby to trwało przez resztę dnia. Spodziewałem się, że po drodze znajdę w końcu jakiś pretekst do rozpoczęcia rozmowy i przeistoczę się ze statysty w aktora w najbardziej sprzyjających mi okolicznościach.

Duże bistro, do którego wszedłem za dziewczyną zaraz po opuszczeniu ruchomych schodów,

nosiło szumną nazwę "Okno Cyklonu" i znane było tego, że jedną jego połowę okupowali z reguły głuchoniemi, a drugą hipisi. Już na podeście od strony Extra – Visso można tu było dostać coś prawdziwego do jedzenia i picia, jednak większość żywych statystów przesiadywała na wysokich stołkach pod niskim stropem baru. Naturalną wentylację wnętrza zapewniał przeciąg wiejący między otwartymi na przestrzał drzwiami z taką gwałtownością, że w środku trudno było zapalić zapalkę.

Stałem pod filarem z papierosem w zębach i obserwowałem grupę młodych ludzi, dwóch mężczyzn i kobietę, do których podeszła narkomanka z metra. Obaj hipisi mieli włosy sięgające do pasa. Jeden ubrany był w bluzę z kunsztownie wyhaftowanymi na jej plecach pośladkami oraz w białe slipy pływackie naciągnięte na wierzch czarnych spodni. Kompletny strój jego kolegi stanowiły dwie pary spodni, przy czym jedno nosił zwyczajnie, jak wszyscy, a drugie – wycinając otwór w ich siedzeniu – przystosował do okrycia górnej połowy ciała. Wyglądało to tak, że głowa wystawała mu między nogawkami, w których trzymał ręce jak w rękawach koszuli. Podciągniętym pod brodę zamkiem błyskawicznym regulował luz wokoło szyi.

Na tle wielu innych wyszukanych protest – konfekcji w "Okno Cyklonu" trudno było zwrócić na siebie uwagę oryginalnym strojem, toteż nie powierzchowność trójki aktorów zastanowiła mnie, lecz fakt, że porozumiewali się oni między sobą wyłącznie przy pomocy rąk oraz zmian w wyrazie twarzy. Należeli do grupy głuchoniemych od urodzenia.

Narkomanka również gestykulowała. Zaskoczony wielką sprawnością manipulacyjną jej rąk, próbowałem uchwycić coś z tego, co opowiadała swoim kolegom, jednak bez powodzenia. Dotąd wcale nie liczyłem się z ewentualnością, że bohaterka superfilmu może być głuchoniema. Przy tym kalectwie miała piękną budowę ciała i ujmujący sposób bycia. Każda zmiana na jej twarzy przyciągała uwagę żywiołowością reakcji, wzruszała bogactwem wyrażanych emocji.

Musiałem mieć ponurą minę. Teraz kiedy obserwowałem aktorów w czasie ich niemej rozmowy prowadzonej na de statystów wypełniających bistro, dziewczyna podobała mi się jeszcze bardziej niż w metrze, gdzie siedziała uśpiona. Czując, że jest to właśnie ta kobieta, na którą czekałem w życiu, traciłem resztę pewności siebie, drętwiałem na myśl o przepaści, jaka nas dzieliła. Jeżykiem głuchoniemych można było pewnie wyrazić równie wiele jak mówionym. Przypadkowego obserwatora, znużonego monotonną gadaniną większości ludzi, w niemym sposobie przekazywania myśli pociągała wielka egzotyka. Lecz patrząc na środek oświetlonej sceny, gdzie aktorzy odgrywali niezrozumiałą pantomimę, czułem się bezradnie, jak przybysz z obcego kraju.

Ostatnie gesty aktorów (jeśli sądzić po ich gwałtowności) wyrażały jakieś żądanie, któremu przeciwstawiła się moja znajoma. Po upływie kwadransa dziewczyna zbliżyła się do wyjścia i ze znacznej już odległości – ponad głowami statystów – posłała głuchoniemym hipisom serię zagadkowych znaków, oni zaś odpowiedzieli jej ze swego miejsca.

Wreszcie aktorka zjechała schodami do pasażu pod domem towarowym. Tam weszła do kabiny z automatem telefonicznym. Widziałem przez szybę, jak wykręcała numer.

– Tu Muriel – powiedziała do mikrofonu normalnym głosem.

Spojrzała za siebie i zatrzasnęła drzwi.

Kiedy opuszczałem "Oko Cyklonu", odniosłem wrażenie, że jakiś typ w przepoconej koszuli przygląda mi się z podejrzaną natarczywością. Dwukrotnie napotkałem jego wzrok. Po raz trzeci zobaczyłem go w tunelu, gdy dziewczyna zamykała drzwi kabiny telefonicznej. Wtedy pomyślałem o listach gończych i przyszło mi do głowy, że ten człowiek mógł skojarzyć sobie moją twarz ze zdjęciem reprodukowanym na plakatach. Na wszelki wypadek wycofałem się za róg zatłoczonego pasażu. Lecz tam wpadłem tyłem* prosto w ręce czterech zaczajonych policjantów.

Zasadzkę zorganizowali policjanci żywi. W tunelu nikt prawie nie zauważył naszych krótkotrwałych zmagania. Umundurowani napastnicy działali w milczeniu, ja całkowicie dałem się zaskoczyć: ledwie pomyślałem, że w tłoku wpadam na kogoś plecami, gdy poczułem kajdanki na wykręconych do tyłu rękach. Donosiciel tropił mnie pewnie już od dłuższego czasu i wcześniej zaalarmował uliczny patrol.

Kiedy szliśmy do dyżurki wartowników domu towarowego, wokół nas zapadał coraz głębszy półmrok. Kajdanki były stalowe. Członkowie eskorty mieli prawdziwą broń. I wcale nie znali się na żartach. Przed drzwiami dyżurki wlekli mnie po betonowej posadzce i kopali, jakby nigdy nie słyszeli o pozorowanych akcjach. Wiedziałem, co to oznacza. W uszach dzwoniły mi jeszcze słowa "Tu Muriel", wypowiedziane przez dziewczynę, która w ostatniej chwili zdradziła mi swoje imię razem z informacją, że nie jest głuchoniema. Gdy policjant wyciągał skalpel i straszak z mojej kieszeni, Muriel wychodziła już pewnie z kabiny telefonicznej. Opuszczała ją, by na zawsze zniknąć w sześciomilionowym tłumie.

Widziałem wokół siebie obojętne twarze. Ci policjanci nie wiedzieli nic o hierarchii ról w prowadzonej grze ani o wielostopniowym szeregu planów zbudowanych przed obiektywem niewidzialnej Kamery. Wszystko tu dla nich było jednakowo ważne: i papier, na którym w świetlanym kręgu aktorka pisała list, i płachta gazety na gwoździu w toalecie za kulisami sceny. W walce z pozornymi przestępcami ryzykowali swoje życie po to, by w gazecie, której Muriel nie weźmie nawet do ręki, ukazała się notatka: "Wyrok został wykonany".

Coś jednak próbowałem im chyba wytłumaczyć, bo po kilku zdaniach oberwałem w łeb kolbą ciężkiego rewolweru i upadłem na podłogę.

Policja w Kroywenie nosiła broń najczęściej tylko dla parady. Jej funkcjonariusze w czasie regulowania ruchu i przy patrolowaniu ulic nie mieli zwykle okazji do wyciągania rewolwerów, w praktyce codziennej bowiem mandaty i pałki rozwiązywały większość porządkowych problemów. Bardzo rzadko zdarzało się, by policjanci brali udział w większych awanturach.

Wszędzie tam, gdzie przewidywano niebezpieczne sytuacje, oraz na miejsca ostrych starć z bandytami wysyłano lepiej przygotowanych do walki i oswojonych z widokiem krwi karabinierów. Miało to swoje psychologiczne uzasadnienie. Ktoś tak pocziwy, jak policjant, który używa broni dwa razy w roku wyłącznie na ćwiczeniach i nie ściga codziennie bezwzględnych gangsterów, w czasie pierwszego w życiu spotkania z nimi dowiaduje się niespodziewanie, że w krytycznej chwili trudniej jest pociągnąć za cyngiel, niż podnieść sto kilogramów. Wysyłanie innych na tamten świat wymaga bowiem takiej samej rutyny jak robienie na drutach. Z tego powodu nowicjusz zaskoczony obrazem prawdziwej śmierci ginie najczęściej przed oddaniem pierwszego celnego strzału.

Prefekt policji Kroywenu wpisał mnie pewnie na listę wrogów publicznych pierwszej kategorii. Wniosek ten narzucił mi się po odzyskaniu przytomności, kiedy zobaczyłem wokół siebie eskortę złożoną z sześciu sztucznych karabinierów. Kukły siedziały na ławkach po obu stronach jadącego

samochodu. Patrzyłem na nie z podłogi. Z dołu karabinierzy wyglądali jak woskowe figury. Miałem na rękach gipsowe kajdanki pomalowane czarną farbą.

Podniosłem się z wielkim trudem.

– Panowie, dokąd jedziemy?

Żaden nie podniósł głowy. Trwali w bezruchu. Stłoczeni ciasno obok siebie zajmowali dwoma szeregami wszystkie miejsca na ławkach. Każdy hipnotyzował wzrokiem swego kolegę siedzącego naprzeciwko. Ubrani byli w papierowe mundury. Drewniane pistolety maszynowe trzymali na kolanach w sztywnych dłoniach.

Okna furgonu więziennego okratowane były solidnymi prętami. Jechaliśmy autostradą wzdłuż zachodniego brzegu Vota Nufó w kierunku Dolnego Riwazolu. Za oknem z lewej strony błyszczała w słońcu rozległa szklana płaszczyzna imitująca powierzchnię jeziora, z prawej – migły wielopiętrowe dekoracje. Olbrzymie makiety drapaczy chmur wznosiły się na – wspornikach ukrytych za tarczami. Eksponowane ściany i narożniki wszystkich zabudowań zwrócone były w kierunku pomocnym, gdzie leżał autentyczny fragment Śródmieścia. Na Dolnym Riwazolu znajdowało się najcięższe w Kroywenie więzienie i tam pewnie jechaliśmy.

Ból głowy, rana i krew we włosach do reszty przywróciły mi świadomość rosnącego zagrożenia. Zagadkowy fakt, że konwojenci byli statystami trzeciorzędowymi, nastrajał optymistycznie. Próbowałem wyobrazić sobie, jak może wyglądać więzienie zbudowane na dalekim marginesie planu zdjęciowego. Jeżeli budowniczowie dekoracji kierowali się zasadą konsekwencji, to gmach zakładu karnego wzniesiony w odległym tle sceny powinien być ilustrowany tylko jedną ścianą z okratowanymi okienkami. Każdego sztucznego kryminalistę, który siedział w swej "celi" (czyli pod gołym niebem na pomoście ustawionym poza kratą) i robił ponurą minę do obiektywu Kamery, trzymał tam pewnie na stołku instynkt sprawiedliwości oraz poczucie dobrze spełnianego obowiązku społecznego.

Wizja kary opartej na zasadzie dobrowolności nie była zanadto przerażająca. Pod jej wpływem odzyskiwałem już wiarę we własne siły, gdy nagle stałem się świadkiem wstrząsającego widowiska.

Za skrzyżowaniem przy Dziewięćdziesiątej Trzeciej Ulicy furgonetka zahamowała gwałtownie. W tym czasie wyglądałem przez tylne okienko. Najbliższy konwojent podciął mi nogi swymi wystawionymi kolanami. Siłą bezwładności runąłem plecami na wąski pas podłogi – między dwa szeregi manekinów. Po chwili okazało się, że był to najszcześniejszy upadek w całym moim życiu.

Jeszcze nie przebrzmiał przeraźliwy pisk opon i hamulców wozu, kiedy po trzasku rozbijanej szyby w tylnym okienku ukazały się dwie stalowe lufy. Równocześnie w pudle karetki więziennej rozpętało się piekło. Fałszywi karabinierzy, rozszarpywani seriami ostrych kul miotanych przez prawdziwe pistolety maszynowe, spadali kolejno z ławek i pokrywali mnie coraz grubszą warstwą. Nieprzerwany grzmot trwał przez kilkanaście sekund.

Po ogłuszającej kanonadzie nastąpiła złowroga cisza. Usłyszałem szcęk zamka przy tylnych drzwiach. Rozwidniło się nieco. Przez szparę w stosie pozornych trupów zobaczyłem jakieś postacie. Ktoś, kto stał na asfalcie przed otwartymi drzwiami, rzekł lodowatym tonem:

– Pozwijali się w kłębki jak dżdżownice na haczyku.

– Do licha! – odezwał się drugi głos i po przerwie dodał z udawaną troską: – Czy im coś nie zaszkodziło aby?

Do sterty podszedł inny typ.

– Szefie! Ja wiem, co im tak powykręcało gęby. Pewnie nie przepadają za perfumami z naszych rozpylaczy.

Rozległa się salwa śmiechu, nie mniej hałaśliwa od salwy z "rozpylaczy". Był to klasyczny żart

z przyzwoitego filmu kryminalnego i po nim poznałem, że moje położenie jest raczej niepewne.

– John! Ty zawsze obijasz się gdzieś w kącie, a inni za ciebie harują.

– Bo szef to tylko mnie widzi. Wczoraj zmywałem naczynia po kolacji, a dziś rano zamiatałem...

– Jazda do roboty, bo jak ci przypie...

Sterta sztucznych trupów zakołysała się, ich nacisk nieco zelżał. Ktoś wyciągał kukły z samochodu i rzucał je na asfalt.

– Nie zwalaj na środek jezdni, cepie, bo nie zawrócisz wozem. Dawajcie worki!

Przez szparę między dwoma sztywnymi karabinierami zobaczyłem kilku plastikowych ludzi. Wśród nich stał bardzo przystojny manekin w czarnym kapeluszu z szerokim rondem. Na podstawie zdjęć często publikowanych w prasie z łatwością rozpoznałem w nim nieuchwytnego gangstera, Dawida Martineza. To jego banda w poniedziałek wieczorem dokonała zuchwałego napadu rabunkowego na ambulans wiozący złoto w Banku Quefeda Nos Paza, o czym dowiedziałem się z gazety we wtorek, kiedy siedziałem w barze u Caloata.

Gangsterzy nie tracili czasu. Wyciągnęli z samochodu wszystkich zabitych konwojentów i zostawili ich na skraju chodnika. Udawałem nieżywego. Zostałem przeniesiony na końcu. Przy transporcie jeden z zasapanych drabów ściągnął mi z ręki zegarek. Drugi plastikowy złodziej, łysiejący już nieco, połamał sobie paznokcie przy próbie odnalezienia brzegu mojej peruki. Ponieważ w wozie leżałem na dnie, pod makabrycznym stosem – po przeniesieniu znalazłem się na samym jego szczycie.

Nadal symulowałem trupa. Ale obserwowałem okolicę przez zmrużone oczy. Szybko ustaliłem, dlaczego szajka Martineza zatrzymała nasz samochód. Obok furgonu więziennego, który na krótko przed napadem skręcił z autostrady w boczną ulicę, stały dwa inne samochody. Były roztrzaskane. Wpadły na siebie przed kilkoma minutami. Jeden należał do bandytów, którzy wracali nim z kolejnej akcji i wieźli ze sobą worki naładowane nowym łupem. Po kraksie musieli zmienić wóz i przypadek sprawił, że wybrali naszą furgonetkę.

Przypadkowi temu zawdzięczałem wolność, choć w drodze do niej mógłbym stracić życie. Po upływie minuty od chwili rozstrzelania moich strażników na ulicy zapanowała cisza. W promieniu kilkuset metrów nie było widać żadnej prawdziwej ani fałszywej postaci. Wszystkich przechodniów wypłoszył terkot maszynowej broni. Po przeładowaniu worków plastikowy mistrz rozboju siadł za kierownicą i w towarzystwie trzech kompanów odjechał autostradą prowadzącą do Quenos.

W zamęcie przeprowadzki gangsterzy nie zauważyli, że z rozdartego worka wypadła sztaba złota i plik banknotów. Złotą sztabę naśladowała cegła z gipsu pomalowanego żółtą farbą, a pieniądze – kupka bezwartościowych kartek. Cegły nie musiałem brać do ręki, bo rozbiła się na kawałki przy upadku na asfalt i ukazała swoje białe wnętrze. Obejrzałem tylko papierki. W grubym stosie znalazłem kilka prawdziwych banknotów i te schowałem do kieszeni.

Teraz ból głowy dawał mi się we znaki ze wzmożoną siłą: oprócz guza dokuczało mi pieczenie skóry pod włosami szarpanymi przez łysego zbója zafascynowanego świeżym wyglądem mojej "peruki". Swoją drogą, Dawidowi Martinezowi – obok paru ciepłych słów współczucia za wytrwałość w gromadzeniu gipsowych cegieł – należało się też gorące uznanie za bezinteresowną ofiarność, zapał i rozmach w jego działalności, która uzasadniała istnienie i podtrzymywała egzystencję codziennej prasy.

Mistrz rozboju należał przecież do awangardy marionetkowych postaci skierowanych przez Scenografa do konserwowania dekoracji.

Komuś, kto jako naturalny i przytomny turysta spacerowałby po Górnym i Dolnym Riwazolu,

zwiedzając dzielnicę murzyńską, wcale nie peryferyjną, w odniesieniu do formalnego centrum Kroywenu, lecz zbudowaną w dalekiej perspektywie zdjęciowego planu – więc komuś, kto gnany ciekawością wszedłby na sam horyzont wielkiej sceny, trudno byłoby zapewne wmówić, iż linie wytyczone rzędami słupów podtrzymujących arkusze dykty o konturach domów przypominają ulice zamieszkanego miasta. Przebiegły przewodnik zarzucony serią kłopotliwych pytań, aby odwrócić uwagę dociekliwych turystów od detali (bardzo podejrzanie prezentujących się z bliska), wskazałby raczej w dal – na najbardziej odległy od centrum cypel Vota Nufo, gdzie z cienkiej warstwy szkła powlekającego ziemię wystawały tarcze eleganckich statków pasażerskich.

Wskoczyłem do wagonu metra na przystanku przy Dziewięćdziesiątej Ulicy i sprasowany sztucznym tłokiem pojechałem do Kroywen – Centralu, gdzie od razu złapałem luźny autobus, dzięki czemu po upływie czterdziestu minut od chwili rozstania z Muriel mogłem znów zajrzeć do "Oka Cyklonu", ale – oczywiście – nie znalazłem jej tam. W bistrze wypaliłem papierosa nad filiżanką kawy. Przyszło mi do głowy, że świetlne kręgi, w jakich poruszali się główni bohaterowie filmu, najłatwiej byłoby dostrzec z miejsca nie osłoniętego ścianami domów i tarczami dekoracji – więc ze znacznej wysokości. Na myśl o Temalu dostawałem mdłości; zresztą biurowiec ten nie należał do najwyższych gmachów. W Śródmieściu istniał lepszy punkt obserwacyjny.

Zatrzymałem taksówkę i pojechałem na Pięćdziesiątą Pierwszą Ulicę – do banku Quefeda Nos Paza, który liczył sto dwadzieścia kondygnacji i w grupie zgromadzonych tu drapaczy chmur bił rekord wysokości. W sklepie obok banku kupiłem zegarek i czerwony mazak. W hallu dostałem plan Kroywenu. Wzniosłem się windą na szczyt Quefedy. Z tarasu widokowego zobaczyłem tylko jedno światło. Było jaśniejsze od blasku rzucanego na ziemię przez słońce. Silnie iluminowany krąg znalazłem w najmniej oczekiwanym miejscu. Leżał w okolicy całkowicie nie zamieszkanego, jednak w granicach wielkiej figury wypełnionej prawdziwymi obiektami. Dostrzegłem go w naturalnym lesie palmowym na zboczu wzniesienia za jeziorem – w odległości około czternastu kilometrów.

Czy Muriel była jedyną aktorką? Nie – pomyślałem. Już fakt, że rozmawiała z głuchoniemymi, wykluczał taką możliwość. Wszyscy ludzie, z jakimi ona utrzymywała bliższe kontakty w czasie filmowych ujęć, musieli być aktorami, ponieważ zwracali na siebie uwagę Widza. A może narkomanka nie należała do głównych bohaterów filmu? Jako drugoplanowa postać (lecz jako aktorka, przy której ja odegrałem rolę statysty pierwszego planu) mogła być czymś związana z inną – centralną postacią widowiska, w którym kreowała rolę nie najważniejszą wprawdzie, ale istotną. W takim przypadku brałaby udział jedynie w niektórych sekwencjach filmu – w scenach specjalnie napisanych dla – niej.

Blask niewidzialnego jupitera srebrzył wciąż wierzchołki palm. Zapatrzony w dal gubiłem się w domysłach. Wreszcie rozłożyłem plan miasta i czerwonym mazakiem nakreśliłem na nim kontur zawilej figury zawierającej wszystkie naturalne obiekty.

Ten kontur był brzegiem sceny, której nigdy nie opuszczał świetlny krąg. Rozjaśnienie mogło wskazywać mi miejsce obecnego pobytu Muriel. Akcja filmu (w tej przynajmniej chwili) toczyła się na wschodnim brzegu Vota Nufo, gdzieś w połowie drogi między Aiwa paz a Lesaiolą. Lecąc helikopterem, nie miałbym trudności z odnalezieniem aktorki. Czy często "ekipa filmowa" wyjeżdżała w plener? Aby tam dotrzeć po linii łamanej, wyznaczonej układem ulic, musiałbym przejechać nie czternaście, ale dwadzieścia kilometrów, korzystając po drodze z trzech środków lokomocji.

Trzeba było złapać taksówkę. Ale tu wyłoniła się nieprzewidziana trudność. Kierowcy wszystkich zatrzymywanych taksówek byli manekinami, najczęściej na stałe zainstalowanymi w swych wozach. Mnie ten fakt – oczywiście – nie robił żadnej różnicy. To oni stawiali bezwzględny

opór. Kiedy podawałem cel kursu, zaraz wypraszali mnie z wozu pod pretekstem, że nie mają czasu. Jeden jechał właśnie po swego zmiennika, drugiemu zachorowała żona, trzeci chciał skoczyć na piwo, a czwartemu nie było po drodze. Wymówki te nie przeszkadzały im zabierać innych pasażerów. Stuknąłem się palcem w czoło: wreszcie zrozumiałem, dlaczego kierowcy taksówek tak często kapryszą na postojach i sami wybierają sobie pasażerów.

Wprawdzie żaden z nich nie słyszał nic o planie zdjęciowym i nie znał z pewnością chwilowego położenia łuny, ale wewnętrzny głos z bezbłędną precyzją sterował ich upodobaniami i tak je kształtował, aby żadna maska nie wylazła raptem na oświetloną scenę prosto pod obiektyw Kamery. Przecież jako cel kursu wskazywałem sztucznym kierowcom miejsce, gdzie aktualnie płonąła "Latarnia Kroywenu".

Na poszukiwanie taksówki z żywym kierowcą zmarnowałem drugi kwadrans. Wsiadłem w końcu do autobusu i pojechałem na przystanek metra przy Pięćdziesiątej Ulicy. Metro – najczęściej niezawodne – tym razem splatało mi figła. Pociąg zatrzymał się w tunelu pod czerwonym sygnalem. Siedziałem przez dwadzieścia minut w pułapce bez wyjścia. W rezultacie na przebycie drogi do prawdziwego mostu, który łączył brzegi Vota Nufo przy Dwudziestej Ulicy, straciłem pół godziny.

Autobus pośpieszny do portu lotniczego czekał już na swojej pętli. Rzuciłem się do niego biegiem. Odjechał, nim zdążyłem wskoczyć na stopień. Jednak był zatłoczony prawdziwymi ludźmi i miał żywego szofera, z czego wynikało, że zmierzam właściwym tropem. Po dziesięciu minutach pojawił się drugi autobus, ale nie pojechałem nim. Autentyczny kierowca przywiózł rzeczywistych pasażerów, wypuścił ich z wozu po okrążeniu ronda i oświadczył zebranym na przystanku podróżnym, że defekt silnika zmusza go do opuszczenia trasy.

Zawiedzeni podróżni kierowali chłodne uwagi to pod adresem kierowcy, to pod adresem silnika, a ja winnego znalazłem wśród zniecierpliwionych: był nim plastikowy dziadek, niepozorny skądinąd, który doczłapał do nas w ostatniej chwili. Wkrótce na przystanku pojawili się inni drugorzędni statyści. W miarę jak rosła ich liczba, topniały moje nadzieje związane z odnalezieniem Muriel.

Pojechaliśmy kolejnym autobusem. Po obu stronach mostu marszczyła się powierzchnia nieoszukanej wody. Większość żywych ludzi wysiadła zaraz za mostem, a pozostali – w Parayo, gdzie ja też opuściłem autobus, ponieważ lotnisko – co wynikało z mapy – leżało daleko za brzegiem sceny. Zresztą z Parayo było najbliżej do tego wzniesienia, na którego zboczu (przed dwiema godzinami!) płonąła "Latarnia Kroywenu". – Dalej musiałem iść pieszo. Nie znałem wcale tej okolicy. Minąłem ostatnie należące do osiedla zabudowania i skręciłem w głąb lasu. Po drugiej jego stronie osiągnąłem najwyższy punkt obserwacyjny. Piaszczysta droga – wijąc się między pagórkami – zaprowadziła mnie nad brzeg jeziora. Przez pół godziny chodziłem po zboczu oznaczonego na planie wzniesienia, zataczając coraz szersze kręgi. Wdrapałem się na drzewo. Nigdzie nie dostrzegłem żadnego człowieka.

Kołowałem we właściwym miejscu, ale w niewłaściwym czasie: jedyny blask, jaki przyświecał mi w poszukiwaniach, padał z zachodniej strony lazurowego nieba, gdzie nad poszarpanym wieżowcami horyzontem płonęło wielkie pomarańczowe słońce.

Siedziałem nad brzegiem Vota Nufo i patrzyłem w dal. Z układu linii narysowanych na planie miasta wynikało, że świetlny krąg mógł opuścić wschodni brzeg jeziora tylko dwiema drogami. Jedną z nich wykluczyłem od razu, gdyż prowadziła przez most Dwudziestej Ulicy. Gdyby "ekipa filmowa" minęła mnie na tej trasie, dostrzegłbym ją z łatwością. Druga droga wiodła przez wyspę Reff i dwa krótkie mosty łączące tę wyspę z Lesaiolą na wschodnim brzegu jeziora i z Tawedą na zachodnim.

Jeżeli Muriel pozostała na wschodnim brzegu (co wcale nie było pewne), to przebywała teraz gdzieś w lesie między Parayo a Lesaiolą lub w jednej z tych dwu miejscowości. Trzeba też było wziąć pod uwagę Uza Ne Juto – osadę zamieszkaną przez trędowatych. Chociaż leżała ona na uboczu, już poza formalnymi granicami miasta, jednak zaznaczona na planie długa czerwona pętla wycinała z tej osady mały skrawek, co wskazywało, że wąski pomost sceny prowadzi również do ludzi zasadniczo odizolowanych od reszty społeczeństwa.

Raz jeszcze rozpostarłem mapę i pochyliłem głowę nad trójkątem Parayo – Lesaiola – Uza Ne Juto. Może igłę w stogu siana trudniej byłoby znaleźć niż kobietę oświetloną potężnym reflektorem, ale myśl o przygodach, jakie zdarzały mi się po drodze z wierzchołka banku Quefeda Nos Paza, bardziej niż wielkość zaznaczonego na planie obszaru ostudziła mój początkowy zapał. Owszem, miałem wolną wolę i przez resztę życia mogłem sobie biegać za umykającym po górach i lasach błędnym ognikiem.

Aresztowano mnie akurat w chwili, gdy dowiedziałem się, że Muriel nie jest głuchoniema, i kiedy postanowiłem zapoznać się z nią natychmiast po opuszczeniu kabiny telefonicznej. Czy to był przypadek? Potem – powstrzymywany kolejnymi "ślepyimi trafami", więc najpierw wykrętami taksówkarzy, następnie postojem w tunelu, ucieczką jednego autobusu i wreszcie awarią drugiego – zużyłem dwie godziny na przebycie drogi, którą w normalnych okolicznościach przejechałbym w trzydzieści minut.

Nagle – już chyba po raz setny tego dnia – przypomniałem sobie pogodną, nieco zdziwioną minę Lindy, kiedy pijana rozsiadała się wygodnie na peronie, aby zająrzeć pod podeszwę zakrwawionej stopy. A wiedziałem przecież, że jest niewinna, i kochałem ją: czy to też był przypadek?

W blasku zachodzącego słońca zobaczyłem łódź. Zbliżała się do mnie z Tawedy położonej na przeciwległym brzegu jeziora. Przebyła już połowę drogi. Siedziało w niej dwanaście postaci. Łódź była zanurzona w rzeczywistej wodzie, która w tym rejonie – co wynikało z mapy – wypełniała zbiornik otoczony szklaną powierzchnią. Zatoka naturalnej wody rozciągała się na znacznym obszarze: począwszy od miejsca zajmowanego przedtem przez "ekipę filmową" aż do Tawedy w jednym kierunku i Lesaioli w drugim.

Poszedłem brzegiem na spotkanie z wiosłarzami. Wśród sztucznych mężczyzn dostrzegłem kilku prawdziwych. Płynęli nie opodal krawędzi szkła imitującego wodę. Gdy łódź zbliżyła się do cypla, na jeziorze zobaczyłem jeszcze jedną postać. Szła z przeciwległego brzegu po płaszczyźnie utworzonej ze szkła, które cienką warstwą powlekało większą część powierzchni ziemi w dolinie jeziora. Wiosłarze też zauważyli trzynastą postać. Wkrótce w człowieku idącym po szkle rozpoznałem Płowego Jacka.

Na jego widok mężczyźni wpadli w popłoch. Rzucili wiosła i przebiegli na dziób łodzi, patrząc niespokojnie to na zjawę, to na stały ład.

– Ufajcie! Jam ci to jest!

– Panie! Jeśli to ty jesteś, każ mi przyjść do siebie po wodzie.

– Pójdź!

W tej właśnie chwili łódź otarła się o krawędź szkła. Jeden z wioślarzy wyskoczył za burłę na twardą płytę. Poszedł po niej ostrożnie w stronę Płowego Jacka. Po kilkunastu krokach dotarł do uskoku w szkło, pośliznął się i wpadł do zbiornika. Płowy Jack wyciągnął go z wody. Wsiedli do łodzi, która wkrótce wylądowała na prawdziwym brzegu.

Wioślarze zostawili łódź na piasku i poszli brzegiem w kierunku Lesaioli. Ruszyłem za nimi. Po drodze spotkaliśmy dwa manekiny. Jeden był niemy, a drugi głuchy. Płowy Jack przesunął palec po ustach niemego (rozdzielając paznokciem jego sklezione wargi). Głuchemu przetkał uszy patykiem podniesionym z ziemi. Operacja laryngologiczna również wypadła pomyślnie. Miała ona tak krótkotrwały przebieg, iż głuchy zdążył usłyszeć słowa podziękowania wypowiedziane przez niemego.

Zerknąłem na swoją mapę. Wynikało z niej, że dochodzimy do placu ze sztuczną roślinnością. Działka miała średnicę około jednego kilometra i leżała na łagodnym stoku wzniesienia w okolicy pokrytej naturalną zielenią. Na skraju tej wyspy Płowy Jack zatrzymał się przy figowym drzewie. Szukał na nim owoców, ale znalazł tylko liście. Akurat to drzewo z całą pewnością było prawdziwe, toteż stanąłem przed nierozwiązalnym problemem teoretycznym, gdy po słowach: "Nie urodzisz już nigdy żadnego owocu!", wypowiedzianych przez rozgniewanego mistrza, figa uschła w czasie kilkunastu sekund i zrzuciła pożółkłe liście.

Płowy Jack zasępił się i usiadł pod drzewem. Wtedy ze sztucznego lasu wyszedł stary człowiek.

– Córka moja dopiero co skoła – rzekł. – Ale przyjdź i połóż na niej swoją rękę, a wstanie.

– Czy wierzysz?

– Owszem, Panie.

– Tedy przyjdę i ożywię ją.

Uczniowie Płowego Jacka – oswojeni już z nadprzyrodzonymi zdolnościami mistrza – po emocjach wywołanych poprzednimi cudami mieli prawo przegapić jego ostatni numer.

Dwaj tylko zainteresowali się losem figowego drzewa.

– Zaprawdę powiadam wam – rzekł nauczyciel do ciekawych. (Stary człowiek prowadził nas właśnie w głąb placu, na którym wśród sztucznych pinii i palm koczowała wielka horda bezdomnych manekinów). – Gdybyście mieli wiarę, uczynilibyście nie tylko to, co się stało z bezużytecznym drzewem, ale rozkazując tej górze, aby się podniosła i runęła do jeziora, zobaczylibyście jej natychmiastowy upadek.

Dziewczyna była prawdziwa. Miała sinobiałą cerę i wygląd rzeczywistego trupa. Gdy stary człowiek wprowadził nas do zatłoczonej manekinami chaty, gdzie leżała zmarła, Płowy Jack pochylił się nad nią i rzekł:

– Ustąpcie, albowiem ona nie umarła, tylko śpi. Wy jej teraz nie jesteście potrzebni. Niechaj we śnie spoczywa do nowego poranka i dłużej, aż nastanie biały dzień.

Ojciec dziewczyny wpatrywał się w podłogę skamieniałym wzrokiem. Płowy Jack – odgadując jego myśli – raz jeszcze wskazał sztywne ciało.

– O mężu małowierny! Nakryj uśpioną, bo idzie chłodna noc.

W izbie zapanowała doskonała cisza. Widząc, że Płowy Jack sam szuka koca, niektórzy z obecnych naśmiewali się z niego po kątach. W zgiełku zmarła otworzyła oczy. Twarz jej zarumieniła się. Wstała nago i – jakby była sama w zatłoczonej izbie – założyła koszulę, po czym wyszła z chaty i zniknęła w lesie. Po raz drugi zobaczyłem ją w nocy, gdy stała na plaży wpatrzona w szeroką wstęgę światła Kroywenu, która rozcinała przeciwległy brzeg.

Tego wieczoru, wkrótce po zmartwychwstaniu prawdziwej dziewczyny, w obozie manekinów

zdarzył się jeszcze jeden rzeczywisty cud. Poprzedził go wypadek bez większego znaczenia.

Do otoczonego tłumem włóczęgów Płowego Jacka przecisnął się sztuczny kaleka. Mówiono o nim, że ręka uschła mu w momencie, gdy chciał uderzyć swoją matkę. W istocie manekin nie władał prawą protezą od czasu zejścia z taśmy montażowej. Został odlany w nieszczelnej formie. Gorąca masa plastyczna wyciekła spod prasy tłoczącej i przytwierdziła jego ramię do korpusu.

Płowy Jack mocował się przez kilka minut, zanim wydarł płat sztucznego tworzywa łączący rękę z bokiem pozornego inwalidy.

– Wyciągnij swą rękę i władaj nią swobodnie, gdyż teraz jest zdrowa tak samo jak druga – rzekł.

Po tych słowach nastąpił ów niezwykły wypadek. Wywarł on na mnie bardzo silne wrażenie, ponieważ okazało się, że dla mistrza nie ma żadnej różnicy między cudem prawdziwym a fałszywym i że to, co ja – ślepy z wyższego punktu widzenia – brałem za rzeczywisty cud, Reżyserowi świata przyszło z większą łatwością niż pozorowanie nadprzyrodzonej działalności.

W tłoku podnieconych manekinów zwróciłem uwagę na żywą kobietę, której twarz i ręce pokrywał autentyczny trąd. Klęczała za plecami mistrza i dotknęła krawędzi jego worka w chwili, gdy Płowy Jack uzdrawiał rzekomego inwalidę. Widziałem ją z odległości jednego metra, więc nie mogłem ulec jakiemuś złudzeniu: potwornie zniekształcone dłonie trędowatej odzyskały wszystkie palce i pokryły się nową skórą. Głębokie rany na jej twarzy zastąpiła nieskazitelnie gładka cera. Po kilkunastu sekundach dawne monstrum tratowane nogami sztucznych ludzi przemieniło się w zdrową i piękną kobietę.

Ale w zamęcie nikt prawie jej nie zauważył. Wszyscy poszli na plażę za uzdrowionym manekinem, a ona pozostała na klęczkach samotnie. Ponieważ mistrz również ani razu nie odwrócił się do niej, przyszło mi do głowy, że kobieta została oczyszczona niezależnie od woli nauczyciela i nawet bez jego wiedzy. Ledwie to sobie uświadomiłem, gdy Płowy Jack rzucił mi bystre spojrzenie (pierwsze od chwili opuszczenia łodzi).

– Zaiste powiadam ci – rzekł wskazując poza siebie znacząco – takiej wiary, jaką okazała ta kobieta, nie znalazłem jeszcze w Kroywenie.

Miałem wrażenie, że on śledził moje myśli. Więc ta kobieta i ja (razem z innymi – prawdziwymi rzekomo – ludźmi) dla Reżysera świata byliśmy manekinami wyższego rzędu, które on mógł uzdrawiać z taką łatwością, z jaką każdy z nas potrafiłby oczyszczać skórę, otwierać usta i oczy, przetykać uszy oraz nakładać peruki i zdejmować więzy bezradnym plastikowym atrapom.

Zasiadł pośrodku zgromadzonego ludu. Przypatrywałem się mu z największą uwagą, nie znajdując na jego ciele żadnego niezwykłego znaku. Miał wygląd zwyczajnego prawdziwego człowieka. Ale manekiny też nie umiały odróżnić ludzi żywych od plastikowych. Porównanie to przynosiło pewność, że ze swego poziomu nigdy nie zobaczę Płowego Jacka w jego rzeczywistej postaci.

Gdy słońce zaszło poza imitacje murów północnego Uggioforte, nauczyciel wszedł do łodzi, odpłynął od brzegu i z miejsca, gdzie mógł być przez wszystkich widziany, zwrócił się do słuchaczy stojących na plaży:

– Królestwo ekranu podobne jest do roli, na której gospodarz rozsiał dobre nasienie. Lecz przyszedł nieprzyjaciel jego i posiał chwasty między ziarnami pszenicy. A gdy zakiełkowała pszenica, pokazały się i chwasty. Więc powiedzieli słudzy do gospodarza: Chcesz, to wyplenimy je. Odparł: Nie! Byście czasem zbierając chwasty nie wykorzenili razem z nimi pszenicy. Dopuście obojgu spółem rósć aż do żniwa, a wtedy rzeknę żeńcom: Oddzielcie chwasty od pszenicy. Ziarno przenieście do gumna mojego, a chwasty wrzucie w ogniasty piec. Tak będzie przy dokonaniu świata

tego. Pośle Twórcą Anioły, które wyłączą złe z pośrodku dobrego.

Kazał jeszcze wiele w innych podobieństwach, a gdy dokończył tych mów i wysiadł z łodzi na brzeg, przystąpili doń uczniowie jego.

– Czemu w podobieństwach im mówisz? Odpowiedział:

– Wam dano widzieć tajemnicę królestwa niebieskiego, ale onym nie dano. Dlatego mówię im w podobieństwach, iż patrząc nie widzą. I choć pilnie słuchają, przecie nie słyszą. Bowiem pełni się w nich proroctwo, które mówi: Patrzyć będziecie, ale nie ujrzycie. Kto może, niechaj to zrozumie.

A kiedy zapadły ciemności, po raz wtóry przystąpili do niego uczniowie mówiąc:

– Puste jest to miejsce, a i czas już przeminął. Rozpuść tedy lud, aby odszedł do Parayo lub do Lesaioli i kupił sobie żywności.

Lecz on rzekł:

– Dajcie wy im co jeść.

Odparli:

– Mamy tylko pięć chlebów i dwie ryby.

– Przynieście!

I rozkazawszy ludowi, by usiadł na trawie, łamał chleby i ryby i dawał uczniom, a oni ludowi. Tak nasycili się wszyscy i zostało jeszcze.

Zapłonęły ogniska. Płowy Jack dał każdemu według jego potrzeby. Siedziałem blisko niego i widziałem, jak dzielił ryby i chleb. Z przyniesionych wzorów – jak z matryc – ściągał bez końca cienkie plastikowe powłoki. Bochenki były puste w środku, a ryby przypominały zabawki ze sztucznego tworzywa puszczane na wodę przez dzieci. Rzesza manekinów otrzymała wielką liczbę atrap powielonych w zagadkowy sposób i każdy ze sztucznych ludzi mógł podnieść do gumowych ust swoją imitację chleba i ryby.

Wyciągnąłem rękę.

– Daj mi jeść.

Położył mi na dłoni kolejne powłoki ściągnięte z jednolitych wzorców. Już chciałem go spytać, czy nie ma dla mnie czegoś jadalnego, gdy poczułem ciężar, ciepło i zapach świeżego chleba oraz woń prawdziwej ryby, która po złamaniu parowała jeszcze, jakby ją wyjął prosto z wędzarni. Mogłem jeść, ale nie czułem głodu, tylko strach.

Odszedłem na drugi koniec obozu.

Płomień oświetlał skulone wokół ogniska sztuczne postacie, które rzucały nieruchome cienie na najbliższe dekoracje. Zastanawiałem się, czy gwiazdy są kroplami srebrnej farby, czy dziurkami w ciemnogrnatowej kopule nieba. W tej części obozu, gdzie spędzałem noc, Scenograf rozstawił wielkie plastikowe kaktusy. Ich splątane rozgałęzienia i pękate bulwy po wrzuceniu do ognia paliły się jasnym płomieniem, ale wydzielały przy tym duszny, gryzący dym.

Atak kaszlu zwrócił na mnie uwagę manekinów. Po komentarzu na temat zimna wiosennej nocy dostałem od nich kawałek ceraty imitującej koc. By nie sprawić przykrości ofiarodawcom, naciągnąłem na siebie tę płachtę i przez jakiś czas markowałem sen. Miałem wrażenie, że leżę pomiędzy gramofonami, na których obracały się same pęknięte płyty. Znajdowałem się w grupie złożonej z ruchomych i gadających kukieł. Sąsiednie ognisko otaczały sztywne postacie rozłokowane w bezpiecznej odległości od żaru spalanych dekoracji. Dręczony monotonnym gwarem niby – rozmów, pozorowanych zdaniem złożonymi ze słów wypowiedzianych w przypadkowej kolejności, wstałem i przeniosłem się do drugiego ogniska.

Usiadłem obok plastikowej kobiety. Wspierała głowę na kolanach podciągniętych pod brodę.

Udawała, że grzeje nogi w ciepłe płonącego kaktusa. Nie wiedziałem, przed kim grała rolę zmarzniętej atrapy, bo wszyscy jej towarzysze byli figurami czwartorzędnymi (jeśli do tej grupy zaliczyć gipsowe odlewy), ona zaś – jako postać swobodna – należała do statystów drugoplanowych, więc miała nad nimi przewagę dwóch stopni. W każdym razie była zbudowana proporcjonalnie i nawet twarz jej w półmroku wyglądała jak żywa.

– Może ma pan papierosy?

– Mam.

Wsunąłem kartonową rurkę między jej śliskie gumowe wargi, a sam zapaliłem papierosa z paczki zakupionej rano. Zerknąłem na jej nogi. Naraz coś nienaturalnego pojawiło się w moich myślach. Już w tym fakcie, że atrapę papierosa podałem sztucznej kobiecie bezpośrednio do ust, zamiast poczęstować ją z paczki, była jakaś nie zamierzona poufałość. Jak ona zrozumiała ten gest, dowiedziałem się później.

Patrzyłem na światła przeciwległego brzegu.

– Jestem sama – powiedziała moja sąsiadka.

– Ja też – skłamałem czym prędzej.

Gwiazdy przeglądały się w szybie jeziora. Z drugiej strony, spoza rozstawionych na górze dekoracji, wyrzała tarcza księżycy.

– Zmarzłam.

– Mam koc.

– Nie.

– Co nie?

– To nie jest koc.

– A co?

– Kołdra.

Zwinałem rozpostartą ceratę.

– Kołdra czy koc, mniejsza o to. Przecież siedzimy koło ogniska – zauważyłem naiwnie.

– Jednak jest mi zimno. Czy nie rozumie pan takiej prostej rzeczy?

Owszem, rozumiałem, ale byłem nieśmiałym bandytą. Podniosła moją rękę i położyła ją na swoim kolanie.

– Proszę, niech pan sam sprawdzi, jaka jestem lodowata.

Nie musiałem jej dotykać, aby wyobrazić sobie wrażenie kontaktu żywego ciała z gumą i plastykiem. Lecz kiedy przesunąłem rękę po jej udzie, przekonałem się, że było ogrzane przy ognisku. W ciepłe plastyk nabrał miękkości.

Sztuczna kobieta miała na sobie lekką sukienkę i majtki. Bawiła się ze mną swobodnie. Usiadła tak jakoś dziwnie. Nie rozumiałem, co ona sama mogła zyskać w zamian za ofiarowaną mi namiastkę miłości. Jednak w miarę jak prowadziła moją dłoń coraz dalej i coraz wolniej, czułem fizyczne podniecenie rosnące razem ze sprzeciwem psychicznym, który wskazywał mi kierunek ostatecznego upadku, aż w końcu – po minucie straszego wahania – siła odpychająca zawróciła w przeciwną stronę i pociągnęła mnie tam.

Był czwartek, kiedy otworzyłem oczy. Zmrużyłem je zaraz w blasku białego dnia. Słońce wisiało nisko nad Uza Ne Juto, skąd gorący wiatr pędził rzadkie pierzaste chmury. Owady brzęczały w nagrzanym powietrzu, które wypełniała woń sztucznego tworzywa.

Plastkowej kobiety nie znalazłem koło siebie. Leżałem sam pomiędzy pękatymi kaktusami, przy stosie szarego popiołu, gdzie dogasało nocne ognisko. Las szumiał papierowymi liśćmi. Czasami spoza pustych pni wyglądały maski manekinów wałęsających się po zboczu. Stado podrobionych wielbłądów pędzone przez sztucznego pastucha przeszło piaszczystą drogą. Jedyne gipsowe figury Cyganów, rozstawione dookoła polowej kuchni i przy makiecie rodzinnego wozu, wciąż tkwiły nieruchomo na swoich miejscach.

Dlaczego większą część planu zdjęciowego pokrywały dekoracje? Kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z nimi, pomyślałem, że przy ich montażu Scenograf kierował się tylko potrzebą oszczędności. Wkrótce jednak wyjaśnienie to przestało mi wystarczać. Wprawdzie wznoszenie rzeczywistych domów na dalekim marginesie sceny, więc tam, gdzie wystarczały proste makiety eksponowanych ścian, nie miałyoby żadnego sensu, jednak zamiast fabrykować ruchome i gadające manekiny oraz sztuczne rośliny i zwierzęta, czy nie łatwiej byłoby posadzić na planie zdjęciowym wyłącznie autentyczne drzewa i wprowadzić do akcji samych żywych ludzi, obsadzając nimi wszystkie stanowiska, choćby scenariusz przewidywał, że większość stworzonych postaci ma odegrać w filmie tylko role czwartorzędnych statystów?

Po ujawnieniu zdolności twórczych Płowego Jacka ostatecznie przestałem się orientować, co sprawiało większą trudność producentom nadrzędnego widowiska: konstruowanie postaci żywych czy ich imitacji. Może jedno i drugie przychodziło im z jednakową łatwością. W każdym razie oszczędność – w jakimkolwiek sensie – nie miała tu żadnego znaczenia.

Lecz aby zrozumieć myśl zawartą w efekcie pracy Scenografa Kroywenu, trzeba było najpierw zauważyć, iż obiektywne spojrzenie na świat nie ma żadnej wartości z punktu widzenia sztuki, gdyż każda twórczość artystyczna polega właśnie na subiektywnym wyborze. Ponadto odbiorcy nigdy nie interesuje znana mu rzeczywistość – lecz wyłącznie jej dopełnienie. Autor przemilcza lub zbywa półsłówkami nieistotne dla danego utworu fakty, wygasza zbędne światła i wycisza nieważne głosy, upraszcza marginesowe byty, oddala, zaciera lub przysłania drugorzędne kształty i struktury po to, by działając też w przeciwną stronę – przez stopniowe pogłębianie ostrości na drodze do wybranego celu – skupić uwagę odbiorcy na określonej sprawie.

Jakiej sprawy bronił Płowy Jack w reżyserowanym przez siebie filmie – nie wiedziałem jeszcze. Nie potrafiłem przeniknąć jego myśli, ponieważ w mojej obecności zwracał się tylko do statystów, w najlepszym razie pierwszoplanowych, do jakich zaliczałem siebie. Czy aktorom pozostawiał wolną rękę, by szli za wskazówkami wewnętrznego głosu wyrażającego Wolę Scenariusza, czy również nauczał ich gestem i słowem – nie miałem pojęcia. Ale miałem pewność, że w widowisku, które dla nas wszystkich – zgromadzonych na zdjęciowym planie świata – było jedyną realną rzeczywistością, ja sam nie odgrywałem żadnej istotnej roli. Bo jaką satysfakcję mogłem czerpać z żalostnego faktu, że w kolejce do wiecznego życia stałem przed słynnym (ponoć) profesorem uniwersytetu, który okazał się ledwie trzeciorzędnym statystą, jeśli równocześnie kreowałem rolę mniej ważną od skromnej pisuardessy?

Rankami szczególnie dotkliwie dawała mi się we znaki samotność. Tego przedpołudnia, jak bezpański pies za napotkanym wozem, wlokłem się leniwie w tłumie manekinów prowadzonych przez Płowego Jacka. Myślałem o kobietach poznanych w życiu: nie wiodło mi się z nimi, bo Linda

już dawniej pewnie puszczała się przy każdej okazji, nocna znajoma była sztuczna, a Muriel – nieosiągalna.

Zanim Płowy Jack pociągnął za sobą rzeszę gromadzących się w obozie sztucznych ludzi, leżałem jeszcze przez jakiś czas przy wozie Cyganów. Nauczyciela zasłaniały mi kaktusy, za którymi od rana dźwięczał jego melodyjny głos:

- I powiadam wam, iż ktokolwiek opuściłby swoją żonę i inną pojął – cudzołóży.
- Jeśli tak wygląda sprawa męża i żony, ten głupi, kto się żenić chce – zauważył jakiś głos.
- Dotyczy to tych, którym wskazano głosem sumienia, by dotrzymali wierności. Dlatego powiadam wam: wszelki grzech człowiekowi odpuszczony będzie, tylko bluźnierstwo przeciwko Duchowi Scenariusza nie będzie darowane.

Wyrząłem na plażę. Do mistrza podszedł uczeń i po dłuższej chwili wahania zapytał go:

- Kto jest największy w królestwie ekranu?

Płowy Jack wskazał na plastikowe dzieci, które pozorowały zabawę w piasku, po czym zwrócił się do swoich uczniów:

- Jeżeli nie upodobnicie się do tych dzieci, nie wejdziecie do królestwa. Bo kto się uniży jako one, ten ci jest największy na ekranie świata.

Na drodze pojawił się osobowy samochód. Ciągnął za sobą wielki obłok białego pyłu, aż zatrzymał się przy gromadzie słuchaczy. W wozie siedziały trzy porządnie ubrane manekiny. Czwarty, zmontowany za kierownicą, miał na sobie papierowy uniform szofera.

Płowy Jack rzucił im przelotne spojrzenie i zaraz nachmurzył się, lecz wrócił do przerwane go wątku:

- Zaprawdę tedy powiadam ci: Lepiej jest tobie wejść do żywota małym, chromym lub ułomnym, aniżeli dwie ręce i nogi mając, być odtraconym. Patrzcie pilnie, abyście nie gardzili żadnym z tych maluczkich. Albowiem gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w imię moje, tamem jest w pośrodku nich.

Dwa manekiny wysiadły z samochodu i podeszły do Płowego Jacka.

- Gdzie są dwaj albo trzej, tam możesz trąbić swoje, ale nie ogłupiaj całego tłumu – rzekł jeden z nich.

- Panie magistrze, czy ja mam dobrą wizję? – spytał drugi. Zdjął druciane okulary i udał, że przeciera nieobecne szkielek. – Jak to! Więc ten osobnik nie siedzi jeszcze?

- Zapewniam pana, szanowny rektorze, że wkrótce go posadzimy – odpowiedział pierwszy typ.

Fałszywy rektor odziany był w togę wytwornie ułożoną i bogato nakropioną różnego rodzaju świecidełkami. Namiastki głównych odznaczeń zgromadził na szerokiej wstędze pod złotym napisem "Moja Magnificencja". Przy okazałym wdzianku rektora szary worek Płowego Jacka wyglądał bardzo żałośnie.

Z tłumu wyszła prawdziwa dziewczyna, której poprzedniego dnia mistrz przywrócił życie.

- To jest nasz Reżyser – przedstawiła Płowego Jacka uroczystym tonem, jakby chciała podkreślić, że przybysze mają tu pewnie kogo innego na myśli.

- Taki on Reżyser, jak ja dziewczyna – roześmiał się podrobiony magister.

- Zapytaj go o coś – polecił rektor.

- A co waszą magnificencję rozerwałoby nieco?

- Może legenda o początku świata?

- Służę uprzejmie...

- Ale niech wie, że wysłucham go wyłącznie z obowiązku uczestniczenia w kulturze narodowej.

Gadek ludowych lubię słuchać po każdej intelektualnej uczcie, jaką przeżywam licząc grzbiety opasłych tomów zgromadzone w mojej bibliotece, ponieważ dopiero wtedy ogrom utrwalonej na papierze myśli w zestawieniu z tymi pocziwymi bajaniami daje mi właściwe pojęcie o różnicy między tytanem a baranem.

– Ja też mam słabość do tych rzewnych gadek.

– Więc na co czekamy?

Magister zwrócił się do Płowego Jacka:

– Jego magnificencja nie ma zaszczytu sam ciebie zapytać, czy twierdzisz, że wszystko, co dziś na planie stoi i co się na nim – jak mówisz – rucha, Pan twój stworzył w czasie zaledwie jednego tygodnia?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Rektor (wiedziałem coś o nim z notatek zamieszczonych w prasie) pozował na osobistość, która każdą chwilę wolną od celebrowania naukowych uroczystości poświęciłaby chętnie samej nauce. Nie miał on jednak czasu na samodzielną pracę. Nawet napis “Teoryja tytułmających wyższych, a praktyczna sztuka dźwigania tychże” (umieszczony na grzbiecie cegły złożonej godnie w Sanktuarium Działa Stałych) musiał wyryć pod własnym nazwiskiem spracowaną protezą swego kolegi.

– Panie rektorze! – odezwał się z samochodu trzeci elegancko ubrany manekin.

– Słucham.

– Proszę do środka na małą pogawędkę.

Kukły uczonych wsiadły do wozu. W czasie niezgrabnie przeprowadzonego manewru zawracania szofer zjechał z drogi i zatrzymał się pod kaktusami, poza którymi znajdowało się moje legowisko. Przez otwarte okienko usłyszałem ściszony głos trzeciego manekina:

– Przykro mi, ale ja pana przestałem rozumieć.

– Tam do licha! Czy przez właściwe nam roztargnienie zwróciłem się może do tych pastuchów w jakimś obcym języku?

– Nie. Mówił pan naszym językiem.

– Więc nie dość jasno wypowiedziałem się za racjonalizmem?

– Zdumiewa mnie pan swoją lekkomyślnością. Szydząc otwarcie z nauki tego człowieka w tak licznym gronie słuchaczy, zamiast pokonać go, zjednał mu pan tylko nowych zwolenników. Trzeba nam najpierw pozyskać stado i przeciwstawić je pasterzowi, aby oddać go w ręce prokuratora bez żadnego ryzyka. Obrona przez was linia postępowania prowadzi do niebezpiecznych rozruchów.

– Ależ kochany dziekanie! Często okazuje pan trwogę na widok nawiedzonego proroka?

– Wybaczy pan, lecz ja nie znajduję folkloru w malowanej przez niego szalonej wizji świata. To skandal, żeby analfabeta, osobnik bez elementarnej wykształcenia, jakiś zarozumiały błazen chodził po całym Kroywenie i bezkarnie buntował nam mieszkańców miasta. Adolf?

– Słucham posłusznie – odpowiedział szofer.

– Zakopałeś się w piasku?

– Już ruszam.

– Wjedź na drogę i jeszcze raz zatrzymaj się przy proroku. Pokażę panom, jak należy osłabiać wiarę fanatyków.

– W tej sprawie dziś jeszcze zwołam zebranie członków naszego prezydium – zdecydował rektor.

Samochód stanął przy Płowym Jacku.

– Mistrzu! – Dziekan wyjrzał przez okienko. – Jeżeli jesteś nadprzyrodzoną postacią, Synem Widza żywego, który cię posłał na plan, abys tutaj nauczał, jak grać i jak zasłużyć sobie na wieczne

życie, przekonaj wszystkich o tym, że jesteś mesjaszem, uczyn jakiś cud w naszej obecności.

Na plaży zapanowała głęboka cisza. Nauczyciel wolno obrócił głowę do fałszywych kapłanów myśli.

Wam nie okażę znamienia.

– Bo nie potrafisz!

– Słyszeliście? Kamień odrzucony przez budowniczych stał się głową węgielną. A kto by padł na ten kamień – roztrąci się, a na kogo by on upadł – zetrze go!

– Czy to samo powiesz gubernatorowi Kroywenu, gdy przyjdzie pora płacenia podatku? Jak myślisz, godzi się dawać władzom czynsz czy nie?

– Czemu mnie wciąż kusicie, obłudnicy? Pokażcie mi monetę, to wam powiem.

Gdy podali mu grosz, zapytał:

– Czyżże to obraz i napis?

– Gubernatora.

– Oddajcie tedy gubernatorowi, co do niego należy, a Widzowi, co Jego jest. Ślepi wodzowie, którzy precedzacie komara, a wielbłąda połykacie!

W gromadzie odezwał się groźny szmer. Samochód przejechał wolno między stłoczonymi na drodze manekinami. Kiedy zniknął za parawanem sztucznych palm, do Płowego Jacka podszedł jeden z jego uczniów i zapytał:

– Wiesz, że uczeni w piśmie usłyszawszy tę mowę zgorszyli się?

A on rzekł:

– Wszelki rodzaj, którego nie szczepił Ojciec mój niebieski, wykorzeniony będzie. Ślepi niewidomych prowadzą w dół. Zaniechajcie ich, bo powiadam wam, iż z każdego słowa próznego, wypowiedzianego na planie, zdacie sprawę w sądny dzień.

Przed południem Płowy Jack zaprowadził swój lud w inne strony. Przez kilka godzin towarzyszyłem mu w obchodzie zdjęciowego planu. Najpierw, omijając Parayo, poszliśmy brzegiem Vota Nufo na plaże zajmowane przez bogatych mieszkańców Aiwa Paz. Za wylotem mostu przy Trzydziestej Ulicy, gdzie znowu otoczyły nas dekoracje, minęliśmy makietę luksusowego campingu, w którym sztuczna służba ubrana w papierowe liberie kręciła się wokół młodego pana.

Młodzieniec ów miał ciało wykonane z najlepszego gatunku tworzywa sztucznego i – co okazało się wkrótce – trzymał w ręku trzecią część akcji wszystkich przedsiębiorstw zlokalizowanych na Dolnym Riwazolu (gdzie stały same dekoracje) oraz był właścicielem ośmiu bardzo drogich hoteli wypoczynkowych, których malownicze, wyniosłe tarcze wysuwały się na czoło sztucznego Aiwa Paz.

Kiedy kolumna statystów tratowała zielone wióry imitujące trawę przed jego campingiem, młodzieniec zawołał do Płowego Jacka:

– Nauczycielu dobry! Co mam czynić, aby dostać się do nieba i żyć w nim wiecznie?

Dlaczego nazywasz mnie dobrym? Nikt nie jest dobry, tylko sam Widz, bowiem od jego łaski zależy wszystko. A jeśli sam nie wiesz, co czynić, lecz chcesz wejść do żywota, przestrzegaj przykazań.

– Jakich?

– Nie zabijaj i nie kradnij. Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu i miłuj każdego, jak siebie samego.

– Przykazania te szanowałem od wczesnej młodości, więc czego mi brakuje?

– Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj swoje majątkości, rozdaj pieniądze ubogim i przyszedłszy na pierwszy plan, naśladowaj mnie. Porzuć wszystko, co tu masz, dla skarbu w niebie.

Po wysłuchaniu tej dobrej rady młodzieniec bardzo się zasmucił. Ciężko mu było wstać z fotela,

w którego siedzeniu ukrył wszystkie papiery wartościowe pozorujące jego znaczny majątek.

– Zaprawdę powiadam wam – rzekł mistrz do statystów – iż z trudnością ten wejdzie do królestwa.

A gdy wprowadził swych uczniów w głąb Aiwa Paz, gdzie namalowane na płótnach tandetne obrazy kosztownych domów imitowały wille arystokracji miejskiej, zatrzymał się przy makiecie okazałej siedziby i dodał:

– Bo na tym planie łatwiej wielbłądowi przez ucho igielne przejść, niż bogatemu pozyskać łaskę Widza. Tedy wielu pierwszych będzie ostatnimi, zaś ostatnich pierwszymi. A z mnóstwa wezwanych niewielu wybranych spodoba się Panu i przed innymi wejdzie do królestwa.

I stało się, że gdy Płowy Jack chodził po dzielnicy pozornego dostatku, podszedł doń jakiś plastikowy sługa.

– Pan mój siedzi nad pustą butelką i wielce się trapi – rzekł. – Lecz jeśli możesz, wstąp do naszego domu, połóż swą rękę na wszystkich kieliszkach i z próżnego napełnij je.

Nauczyciel nie zgromił zuchwałego szyderycy.

– Chcę – powiedział. – Przyjdę i pocieszę go.

Lecz kiedy wszedł do makiety domu ponurego pana i usiadł za stołem w towarzystwie swoich uczniów i kilku kapłanów, przez drugie drzwi do izby wtłoczyła się zgraja ciemnych typów z nieuchwytnym gangsterem Dawidem Martinezem na czele. Wszyscy zaraz wyciągnęli ręce z pustymi szklankami, zaś Płowy Jack ujął w dłoń butelkę po whisky i uważnie przechylił ją nad każdym naczyniem. Większość szklanek nadal pozostała pusta – sobie tylko i mnie oraz kilku żywym uczniom nauczyciel nalał z pustej butelki prawdziwego alkoholu.

Sztuczni opilcy chwalili mistrza, a on kazał im w podobieństwach, dolewał i sam zaglądał do szklanki. W tym czasie szpiegujący go kapłani szemrali między sobą po kątach:

– Czyż to nie Carlos Ontena tam siedzi?

– To on.

– A ten drugi, w czarnym sombrero na głowie? czy nie nazywają go Dawidem Martinezem?

– Tak go wołają.

– Więc z bandytami pije nauczyciel ich! Płowy Jack zaraz uciszył te gadki:

– Zdrowi nie potrzebują lekarza, ale ci, co się źle mają – rzekł.

Po tej uwadze Płowy Jack opuścił dom Martineza. Pociągnął wszystkich z powrotem do Parayo, gdzie był jego rodzinny dom. Ale tam – w oczach bliskich sąsiadów, którzy znali go od wczesnego dzieciństwa – nie uzyskał uznania ani szacunku.

Na jego widok ludzie wruszali ramionami i szeptali między sobą:

– Czyż to nie jest syn owego cieśli, co ma warsztat za piekarnią? Przecież ten chłopak wychowywał się na ulicy razem z naszymi synami i córkami. Obserwowaliśmy go przez całe życie i wiemy o nim zbyt wiele, by sądzić, że przerósł nas.

W Parayo Płowy Jack nie dokonał cudu. Rozpuścił lud i wyszedł z osiedla. Na polu zatrzymał uczniów, jakby się gotował do dłuższego kazania. Ale uśmiechnął się tylko, machnął ręką i zgarnął nią z ust długie włosy, by rzec:

– Nikt nie jest prorokiem w swym domu ani w rodzinnym kraju.

W upalnej porze górowania słońca na szlaku z Parayo do brzegu Vota Nufo mistrz zszedł z rozpalonej drogi i siadając w cieniu prawdziwych drzew, gdzie też spoczęli jego najpilniejsi uczniowie i słuchacze, powiedział cicho, jakby do samego siebie: – Przyszedłem, ale nie poznali mnie – po czym głośno zapytał:

– Za kogo mnie ludzie biorą?

– Jedni widzą w tobie proroka – rzekł ktoś – a inni oszusta.

– A dla was kim jestem? Odpowiedział mu śmiały głos:

– Tyś jest Reżyser świata, on syn Widza żywego.

– Błogosławionys, uczniu mój, za te słowa, bowiem tego ciała ani krew nie objawiły tobie, tylko mój Ojciec, który spogląda na ekran świata.

Po tej pochwalie Płowy Jack przykazał uczniom, aby nikomu nie mówili, iż on jest Reżyserem ziemskiego widowiska. Przepowiedział im też, że Reżyser zostanie wydany statystom, gdyż musi umrzeć, ale trzeciego dnia zmartwychwstanie i zamieszka z nimi przez wszystkie dni aż do skończenia świata. Jak każda postać, której grę wieńczy szyderstwo pozornej klęski, on również pozna gorycz porażki i przeżyje mękę śmierci, by dusza powstającego na planie dzieła zapanowała nad jego ułomnym ciałem.

– Dlatego – podjął po chwili namysłu – jeśli kto chce iść moim śladem, niechaj się zaprze siebie samego. Cóż bowiem pomoże człowiekowi, choćby i cały świat pozyskał, jeżeli zgubi duszę i wstanie pusty na dzień Montażu Ostatecznego. Lecz kto by stracił swą duszę dla mnie, znajdzie ją w sobie i na ekranie w oczach sprawiedliwego Widza.

Wkrótce po południu Płowy Jack pożegnał uczniów i odszedł. Przedtem zapowiedział, że będzie na nich czekał o zachodzie słońca na wierzchołku góry pod Piał Edin.

Kiedy ostatni słuchacze zeszli w dół do mostu przy Dwudziestej Ulicy, zostałem sam pod drzewem na zboczu wzniesienia, skąd roztaczał się rozległy widok na przeciwległy brzeg jeziora. Patrzyłem ponad rzeczywistą wodą w stalową dal Uggioforte pociętą kolumnami prawdziwych drapaczy chmur. Wieżowce centrum Kroywenu stały w pełnym blasku słońca i pod czystym błękitem nieba, zaś nad resztą zachodniego horyzontu wisały w kilku warstwach białe skłębione obłoki i czarne chmury. Wkrótce w granatowej zasłonie utkwily wierzchołki wszystkich gmachów należących do autentycznego Śródmieścia.

Cały ten podniebny las wzniesiono dla kilkorga głównych bohaterów filmu, którzy nie mogli nawet wiedzieć o tym, że wszystko tu obraca się wokół nich i że dla nich zbudowano sześciomilionowe miasto. Nie mogli tego wiedzieć, ponieważ gdyby znali prawdę, przerażeni nią, nie potrafiliby żyć autentycznie.

Ta refleksja – poprzez myśl o Muriel – podsunęła mi zaraz obraz Lindy, przywracając w jednej chwili pamięć wielu spędzonych z nią szczęśliwych dni. Odczułem gwałtowną potrzebę spotkania ze swoją dziewczyną oraz lęk przed aresztowaniem, którego nie doznawałem w obecności Płowego Jacka. Postanowiłem zadzwonić do Lindy z pierwszej napotkanej po drodze budki telefonicznej.

W momencie podejmowania tej decyzji usłyszałem za sobą jakiś podejrzany szmer. Wstając szybko z trawy, uderzyłem głową w coś twardego, co natychmiast znikło z pola mojego widzenia. Myślałem, że zderzam się z konarem drzewa, ale była to broda pochylonego nade mną manekina, który przewrócił się znokautowany silnym ciosem.

Sztuczny mężczyzna nie dawał znaku życia. Leżał nieruchomo na wznak w trawie stratowanej

przez uczniów Płowego Jacka. Był ubrany w trójbarwny mundur zawodowego szofera jakiejś instytucji. Miał roztrzaskaną maskę twarzy, z czego wynikałoby, że popełniłem kolejne nieumyślne morderstwo.

Widmo Temalu raz jeszcze zjrzało mi w oczy. Rozglądałem się bezradnie, próbując dociec, dlaczego w pustym lesie jakiś kierowany zdalnie pajac stanął w milczeniu tuż za moimi plecami i precyzyjnie wystawił na rozbitcie swoją plastikową głowę. Obiegnąłem szybko miejsce nieszczęśliwego wypadku, aby wytropić współnika ewentualnej prowokacji, ale w zaroślach nikogo nie znalazłem.

Przy zwłokach mej kolejnej ofiary do tego stopnia zobojętniałem już na widok pozornej śmierci, że mogłem trzeźwo kalkulować i spokojnie myśleć o sprawach praktycznych. Ponieważ w przebraniu szofera łatwiej mógłbym ukrywać się przed sztucznymi tropicielami, bez chwili wahania założyłem na siebie jego marynarkę i czapkę. Zwłaszcza głęboka czapka, w połączeniu z ciemnymi okularami plastikowego biedaka, zmieniła mój wygląd tak znacznie, że przynajmniej manekiny, które widziały wszystko powierzchownie i nieostro, przyglądając mi się z bliska, nie rozpoznałyby w tym stroju ściągane gończymi listami bandyty.

U wylotu skalnej drogi na asfaltową szosę, skręcając w stronę autobusowego przystanku, usłyszałem jakiś zirytowany głos:

– Gdzie leziesz, ofiarno jedna!

Rozejrzałem się wokoło.

– Jeszcze się gapisz?

Szosa była pusta. Znajomy głos dobiegał z gęstwiny przydrożnych zarośli, gdzie stał ukryty czerwony samochód. Rozchyliłem gałęzie i wszedłem do zamaskowanej kryjówki. W otwartych drzwiach wozu siedział fałszywy rektor.

– Nareszcie! – sapnął. – Ruszaj prędko, bo mamy bardzo mało czasu. Punktualnie o pierwszej ten bałwan siada zawsze do obiadu i przez dwie godziny żadna siła nie jest w stanie oderwać go od kotletów i kremów.

Na widok rektorskiej togi odjęło mi mowę. W pierwszym odruchu rzuciłbym się do ucieczki, ale zaraz pomyślałem o jego naturalnej ślepotcie. Był sam. Zorientowałem się, że zostawił gdzieś swoich porannych towarzyszy i wrócił na wschodni brzeg jeziora drugim samochodem, gdyż w pierwszym, którym wcześniej złożył wizytę Płowemu Jackowi, szofer zmontowany był na stałe przy kierownicy. Teraz wiedziałem przynajmniej, czyją czapkę noszę na swojej głowie.

Biłem się z myślami, jak wybrnąć z tej bądź co bądź paskudnej sytuacji.

– Wal prosto do jego eminencji – rzucił. – Dziekana nie zdążymy już złapać po drodze.

Usiadłem za kierownicą. W końcu mogłem przejechać się do Śródmieścia i wysiąść za pierwszym rogiem.

– No i co tam? – spytał na moście.

– Leci – odparłem niepewnym głosem.

– Co leci? – przestraszył się.

– Wszystko. Raz lepiej, a drugi gorzej.

– Jak ci tam poszło, pytam, baranie jeden!

– Nieźle – lawirowałem dalej.

– To znaczy? – przygwoździł mnie.

– Przed panem nie będę się skarżył. Trafiłem w pudło.

– Pana – podniósł głos – to znajdziesz sobie łatwo w każdym tanim barze. A ja dla ciebie nie jestem ulicznym panem, tylko... – wskazał na pierś.

– Waszą magnificencją – dokończyłem.

– I zapamiętaj to sobie! Mam ja z wami, wrodzonymi kretynami. Adolfa kijem z tamtego wozu nie przepędzi, tak jest mu dobrze za kierownicą, a z ciebie batem nie wygoni prostej informacji, czy prorok czyni cuda, chociaż pół godziny podsłuchiwałeś w krzakach, skąd mogłeś dogodnie prowadzić rzetelne naukowe obserwacje.

– Przecież cudów nie ma.

– Zamilcz, nieszczęsny!

Mogłaby go zalać sztuczna krew, dlatego odetchnąłem z ulgą, gdy szybko wrócił do poprzedniej formy:

– Ja już w tym cud prawdziwy widzę, że od lat bezkarnie szczytuję na naszym uniwersytecie! Przez ten czas cudem jakimś nie zrujnowałem się na proszki od bólu głowy, daremnie szukając odpowiedzi na węzłowe pytanie, od kogo przepisuje uczone, który myśli samodzielnie. Cudów tego rodzaju w moim życiu naliczyłyś kopę, lecz złośliwi utrzymują, że ja w nie nie wierzę.

– Nikczemne twierdzenie podwładnych nie daje jeszcze podstawy do skrajnej rozpacz. Wszak nazwisko waszej magnificencji zapisało się złotymi zgłoskami na kartach księgi traktującej o systematycznym układzie godności. Przypomnę tu tylko wielką myśl wyłożoną już na okładce dzieła "Teoryja tytułmajców wyższych a praktyczna sztuka dźwigania tychże".

– Cegła to jest.

– Wszelako w pogoni za tą cegłą ludzie tratują się w kolejkach, chociaż nakłady jej są ogromne.

– Poczciwy z ciebie dureń, jeśli sam nie umiesz dociec przyczyny sztucznie wywołanego zainteresowania moją książką. Młodociani tylko dręczą wciąż księgarzy pytaniami o nią, bo wciągnąłem im toto na listę obowiązkowej lektury szkolnej. Nie ja pierwszy grożą przed egzaminami czytelników sobie namiatam. Ale gdzie ty się właściwie płaczesz?

Nie znając celu naszej wyprawy, od kilku minut krążyłem dookoła ronda przy Osiemnastej Alei.

– Kardynał ma swe dobra przy Dziesiątej Ulicy ^ podsunął mi spokojnie. – Czy nigdy nie bywałeś ze mną u jego eminencji?

– Nigdy. To Adolf woził waszą magnificencję na ceremonie do dóbr jego eminencji.

– Zawsze mylą mi się wasze poczciwe gęby. Dzisiaj ciebie potrzebuję, bo jedziemy z ważną misją, której przebieg musi być protokołowany, a Adolfa, jak wiesz, psami z wozu nie wyszczuje, taki ambitny z niego kierowca. Kardynał ucztuje już pewnie. Ten bałwan słowa z nikim nie zamieni, dopóki nie włada sobie do kałduna fury smakołyków zakupionych w południe za pieniądze rzucone po rannej mszy na tacę przez głodujących wiernych.

Wyjechałem z ronda i Osiemnastą Aleją, mijając szereg wysokich dekoracji, dotarłem do Dziesiątej Ulicy, gdzie zaparkowałem samochód przed makietą wskazanej przez rektora siedziby. Imitację pałacu kardynała łatwo było poznać z daleka po nadmiarze koronkowych ozdób, które dekorator ochlapał srebrnymi i złotymi farbami. Tandeta zagnieżdżona w każdym kącie tej prowizorki dała mi pojęcie o guście jej gospodarza.

Palony ciekawością, co też proteza rektora świeckiej uczelni może mieć do namiastki kardynała Kroywenu, wszedłem za rektorem do obszernego pudła i w charakterze protokolanta zająłem z nim miejsce przy suto zastawionym stole naprzeciwko niemiłosiernie grubej kukły kardynała.

Fotel fałszywego prałata z trudem utrzymywał ciężar najistotniejszej – trawiennej – części jego upiornie zniekształconego tuszą ciała. W opasłym brzuchu imitacji tego dostojnika kościelnego musiały pomieścić się atrapy wyszukanych potraw tłoczone do łakomych ust drżącymi z podniecenia protezami rąk, którymi kardynał zgarniał z półmisków wciąż nowe góry "chleba naszego powszedniego".

W czasie pierwszej godziny ucztowania rektorowi ani razu nie udało się odwrócić uwagi kardynała od sztucznych dań wnoszonych nieustannie do pudła sali przez ubranych w papierowe liberie lokajów. Na zaczepki jego pozornej magnificencji jego fałszywa eminencja odpowiadał wzmożoną aktywnością gastronomiczną.

O wpół do trzeciej kardynał podał rektorowi rękę do ucałowania, co oznaczało, że jego eminencja schodzi już z nieba na ziemię, aby w czasie luki między biesiadami spojrzeć nieco łaskawszym okiem na sprawy doczesne. Natychmiast przystąpiłem do czynności protokolarnych.

Najpierw strony wymieniły poglądy na całokształt stosunków między nauką a kościołem i bez dyskusji orzekły zgodnie, iż jedna strona ma drugą dokładnie tam, gdzie druga pierwszą i gdzie jest ciemniej niż u Murzyna w piwnicy. Lecz – i to “lecz” w protokole kazano mi podkreślić – w obliczu wspólnego wroga, jakim zarówno dla uczonych w piśmie, jak i dla kapłanów jest uliczny prorok, strony muszą się zjednoczyć, by skutecznie oskarżyć Płowego Jacka przed generalnym prokuratorem Kroywenu.

Następnie kardynał wyraził zadowolenie z powodu nieobecności w mieście gubernatora i stwierdził, iż władza administracyjna, skupiona w rękach prokuratora generalnego, powinna wystarczyć do realizacji celu wytyczonego już dawniej przez duchowieństwo wspomagane działalnością naukowych aktywistów. Ostatnie słowa prałata były ukłonem w stronę rektora, toteż po przyjęciu tezy, iż zarażonego szaloną myślą Płowego Jacka należy odizolować od reszty społeczeństwa, gdy przyszła pora na wolne wnioski, jego magnificencja – doceniając ten gest – zgłosił projekt, aby rolę przewodnią w procesie proroka przyjęło na siebie duchowieństwo, ponieważ przedstawiciele nauki cechuje zwykle lekceważący stosunek do tych przeciwników ideowych, do których kościół odnosił się zawsze z właściwą sobie nienawiścią.

Zgłoszony przez rektora projekt poddano głosowaniu i kardynał przyjął go jednomyślnie. Jego eminencja zaznaczył przy tym, iż wśród uczniów otaczających wywrotowca duchowieństwo ma już jednego przekupionego człowieka. Wówczas rektor zwrócił uwagę kardynała na pewne bardzo poważne niebezpieczeństwo.

– Chodzą słuchy – rzekł – iż dwaj uczniowie proroka oraz dwaj inni jego słuchacze (spoza dwunastoosobowej grupy najaktywniejszych fanatyków) noszą się z zamiarem napisania Nowego Testamentu. W dokumencie tym naoczni świadkowie wypadków mają przekazać przyszłym pokoleniom całą prawdę o życiu i śmierci Reżysera świata. Ponieważ kościół nie zdoła wytepić wszystkich zwolenników proroka, należałoby przynajmniej odszukać czterech przyszłych ewangelistów i razem z inspiratorem groźnego ruchu wtrącić ich do więzienia.

Po wysłuchaniu tej uwagi kardynał roześmiał się od ucha do ucha. Jego wesołość spowodowały dwie przyczyny i dlatego chichotał z podwojoną mocą.

– Po pierwsze – zawołał z oratorską werwą – kto tu mówi o więzieniu? A po drugie, nie ma podstaw do lęku przed ewangelistami.

– Więc o czym my tu właściwie mówimy, jeśli nie o potrzebie natychmiastowego zamknięcia tych ludzi? – zaniepokoił się rektor.

– Mówimy o konieczności wykonania wyroku śmierci na nieprzejednanym wrogu kościoła – wyjaśnił kardynał.

– Czy nie wystarczy zażądać, aby skazano go na dożywotnie więzienie?

– Nie wystarczy, ponieważ spoza więziennego muru uzurpator mógłby dalej rozsiewać swe zatrute ziarno. Jedynie najwyższy wymiar kary może ujawnić całkowitą bezsilność rzekomego mesjasza, co skompromituje go w oczach dotychczasowych wyznawców.

– Jednakże my nie realizujemy swoich celów metodami typowymi dla duchowieństwa, którego

miłosierdzie, akcentowane w programie, znalazło już swój wyraz w licznych aktach bestialstwa i krwawego terroru.

– Dlatego nie wtrącajcie się do tej sprawy. Kościół bierze na siebie odpowiedzialność za oskarżenie Płowego Jacka.

Kardynał nie sprecyzował bliżej, jaką odpowiedzialność ma tutaj na myśli. Powrócił zaraz do tematu przyszłych ewangelistów. Zdaniem prałata ludzi tych w ogóle nie należało prześladować, ponieważ z ich strony kościołowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

– Oni was zrujnują! – prorokował rektor.

– Wstanę od tego stołu – zażartował kardynał – jeśli uczniowie Płowego Jacka wyjmą nam z kasy bodaj jednego miedziaka. Ogłaszając drukiem prawdę o życiu i nauce Zbawiciela, ewangeliści – zamiast nas skompromitować w oczach wszystkich wiernych, co oczywiście leży w ich planach – dadzą nam takie dochody, jakich nie miała dotąd żadna finansowa potęga świata.

– Wasza eminencja lekkomyślnie patrzy w przyszłość. Przecież po uzupełnieniu starej Biblii księgami Nowego Testamentu każdy będzie miał możliwość przeczytać je i dojść do wniosku, że wypaczony ceremonialnymi i administracyjnymi naroślami złoty gmach kościoła niewiele ma wspólnego z nauką głoszoną przez Zbawiciela.

– Prawie nikt Sam nie przeczyta Ewangelii.

– Dlaczego? Przecież ktoś, kto serio traktuje swoją wiarę, ma nie tylko prawo, lecz i obowiązek czerpać wiedzę bezpośrednio ze źródła stosunkowo najbardziej wiarygodnego, jakim stanie się ogłoszona drukiem nauka samego Mistrza. Sądzę zatem, że gdy tylko nowa Biblia ukaże się w księgarniach, każdy wierny, choćby był biedakiem i musiał zdjąć z siebie ostatnią koszulę, sprzeda ją i pobiegnie do...

– ...kościół, aby złożyć pieniądze na naszej tacy i upaść przed nami na kolana, ponieważ w świadomości wiernego nie Zbawiciel jest Bogiem, lecz sam kościelny gmach – dokończył kardynał pieszczotliwym głosem.

Kiedy arcykapłan Kroywenu odkrywał kolejne karty przed uczonym w piśmie rektorem, wstałem od stołu, wyszedłem przed makietę siedziby fałszywego prałata i wsiadłem do wozu rektora. W stosunku do protezy uczonego nie miałem żadnych skrupułów: postanowiłem zabrać mu samochód.

Pojechałem szybko Dziesiątą Ulicą w kierunku Vota Nufo. Minąłem szereg sztucznych ogrodów oraz dekoracje ustawione w strefie przejściowej i dopiero w rejonie Szóstej Alei, którą z obu stron otaczały autentyczne domy, zatrzymałem się przy stacji metra, gdzie dostrzegłem prawdziwy automat telefoniczny.

Zadzwoiłem do centrali w Temalu, prosząc o połączenie z Lindą.

– Tinazana ma urlop – usłyszałem w słuchawce głos znajomej telefonistki.

– Nie ma jej u was? – zdziwiłem się i zaraz przypomniałem sobie, że Linda sama mi mówiła o tygodniowym zwolnieniu z pracy.

Wykręciłem numer domowego telefonu Lindy i długo czekałem, nie mając pewności, czy jej aparat jest prawdziwy.

Słuchawkę podniósł młodszy brat Lindy. Powiedział, że jego siostra pojechała w południe do Dolly i dotąd nie wróciła jeszcze. Wiadomość tę przyjąłem z ulgą, ponieważ ogarniał mnie coraz większy niepokój na myśl o naszym rozstaniu i zranionej nodze Lindy. Na szczęście rana nie była groźna, skoro Linda mogła złożyć wizytę znajomym z Uggioforte. Ale mieszkania Yorenów z pewnością nie łączyła ze Śródmieściem żadna linia telefoniczna. Czułem też lęk przed policją drogową i karabinierami. Nie wyobrażałem sobie, co pocznę, gdyby jakiś żywy funkcjonariusz prawa zainteresował się skradzionym wozem i pod mundurem rektorskiego szofera rozpoznał Carlosa Ontenę.

W drodze do Yorenów zatrzymałem się przed barem na rogu Dwudziestej Ulicy, gdzie już raz słuchałem kazania Płowego Jacka. Wypiłem tam dużą whisky. Pojechałem dalej Szóstą Aleją, lecz – aby spojrzeć na dom Lindy – przed kolejną stacją metra skręciłem w głąb Dwudziestej Dziewiątej Ulicy. Opuszczając obszar zabudowany prawdziwymi wieżowcami, poczułem się bezpieczniej. Po stronie dekoracji ruch na chodnikach pozorowały manekiny.

Minąłem dom Lindy, niezdecydowany, czy wejść na górę, czy szukać jej u Yorenów, gdy nagle zobaczyłem ją w grupie sztucznych ludzi. Siedziała na wysokim stołku w barze u Calpata. Wjechałem wozem na chodnik i zaparkowałem go akurat w tym miejscu, gdzie we wtorek Płowy Jack postawił na nogi i uruchomił kukłę sparaliżowanego nędzarza.

– Ledwie cię poznałam! – zawołała na mój widok.

Słowa te słyszałem już raz w Temalu. Wszedłem do baru witany nie tylko zdumionym okrzykiem Lindy, ale też niskim ukłonem sztucznego wykidajły i życzliwym zaproszeniem samego Calpata, któremu w peruce bardziej było do twarzy. Whisky dała mi o sobie znać w samą porę: czułem już w żyłach obieg wypitego alkoholu.

Podąłem Lindzie rękę i widząc, że wcale się nie cofa, szybko pocałowałem ją w usta.

– Co ty masz na sobie? – spytała niespokojnym głosem.

– Kochana – szepnąłem – strasznie cię przepraszam za ten głupi numer w metrze.

– Właśnie!

– Noga cię nie boli?

Wstała ze stołka.

– Dlaczego wczoraj nie wysiadłeś razem ze mną?

– Zegarek spadł mi z ręki na pomoście wagonu, a kiedy wróciłem do środka, dri. – wi zasunęły

się, zanim zdążyłem wyskoczyć na peron – powiedziałem płynnie.

Za to małe, ale nędzne kłamstwo miałem do siebie większy żal niż za wszystkie urojone zbrodnie. Przez tę fikcję wiodła jednak najkrótsza droga do zgody, bo na opisanie prawdziwej przyczyny, która wtedy zatrzymała mnie w pociągu, musiałbym zużyć resztę dnia i znowu mówić jej o zdjęciowym planie, ryzykując, że odejdzie, nim dokończę. Ale ona już od czterech dni widziała we mnie wariata, gdyż tylko chorobą umysłową mogła usprawiedliwić zabójstwa opisywane w gazetach. Czy znalazłbym w Kroywe – nie drugą kobietę, która po tym wszystkim odważyłaby się przebywać dalej w moim towarzystwie?

Patrzyła mi w oczy smutnym, nieruchomym wzrokiem. – Później miałem kilka przygód – ciągnąłem dalej – a po południu zostałem szoferem pewnej naukowej znakomitości.

– Dlatego przez całą dobę nie dawałeś znaku życia? Odłożyłem papierosa i przycisnąłem twarz do jej policzka.

Gdy obróciła się powoli do mnie, czując jej wargi na swoich ustach, postanowiłem wycofać się z tamtego kłamstwa.

Pojechaliśmy na Czterdziestą Ulicę i zjedliśmy obiad w jednej z szeregu prawdziwych restauracji. Przez dwie godziny opowiadałem Lindzie historię swego pobytu na zdjęciowym planie. Lecz aby mogła zrozumieć, za czym od czterech dni uganiałem się po całym mieście, jaką tajemnicę chciałem przeniknąć nawet za cenę życia i dlaczego ścigano mnie listami gończymi, musiałem najpierw wprowadzić ją w niezwykłą atmosferę wielkiej sceny, to znaczy musiałem ją przekonać, że tak samo jak inni ludzie ona też od dziecka nosi w sobie fałszywy obraz świata, nie dostrzegając w nim wielopoziomowego rusztowania planów, aby następnie przejść do opisu aktorów i statystów oraz gigantycznych dekoracji.

Okazywała dobrą wolę i nawet z wielkim przejęciem śledziła moje argumenty. Musiałem jednak mówić do niej tak, jak gdyby od urodzenia była ślepa. Dlatego niemal cały czas – jak Płowy Jack nad Vota Nufo – aby przeniknąć rozdzielającą nas barierę braku komunikatywności, sięgałem po podobieństwa, gdyż odpowiednio dobierane porównania od niepamiętnych czasów dawały jedyną możliwość przekazania komuś przybliżonego obrazu niewidzialnej dla niego strony świata.

U kresu tej teoretycznej mordowni, w najbardziej niespodziewanym momencie, kiedy już zdawało mi się, że osiągam swój cel – Linda rozplakała się nagle. Ukryła twarz w dłoniach i przez ściśnięte gardło w odpowiedzi na mój długi wykład wyszeptała tylko kilka słów:

– Carlos – przełknęła ślinę – ja ci wierzę. Czy siedziałabym tutaj z tobą, gdybym cię nie kochała?

“Wierzę”. Patrzyłem w dal Czterdziestej Ulicy na makiety Uggioforte. Ściany i szyby wokół nas błyszczały w czerwieni zachodzącego słońca. Po dwóch godzinach próżnego gadania w ciszy między nami pozostało i dźwięczało to jedno słowo: “wierzę”. Obracałem je w myśli na wszystkie strony, nieufnie, jakbym coś takiego słyszał po raz pierwszy w życiu.

I nagle – ze wzruszeniem, które kazało mi zasłonić oczy – pojąłem, że to ja jestem ślepy. Wierzę! Razem z tym prostym słowem ona dawała mi wszystko: miłość, nadzieję i sens, a ja żądałem od niej rozumienia, więc próbowałem wymusić coś, co tu, na planie – w świecie skłębionych pozorów i złudzeń – nigdy nie miało żadnej wartości.

Raz jeszcze wsiadłem z Lindą do skradzionego wozu. Autostradą przebiegającą wzdłuż zachodniego brzegu Vota Nufo pojechałem szybko pod Piał Edin. Płaski, otoczony ogrodami wierzchołek Słonecznej Góry zanurzył się już w ciemności. O zachodzie słońca Płowy Jack miał tam zebrać swoich uczniów. Chciałem go ostrzec przed skutkami zмовы kapłanów z uczonymi w piśmie.

W drodze przypomniałem sobie słowa mistrza: “Dotyczy to tych, którym wskazano”,

wypowiedziane w obozie manekinów, kiedy prorok mówił o wierności. Zdawało mi się wtedy, że brzmi to wieloznacznie. A teraz wiedziałem, co miał na myśli. Mnie wskazano Linde: lecz uczuciem, a nie stempelkiem odbitym na papierku.

– Co słyhać u Yorenów – zapytałem Linde, wjeżdżając znowu w strefę przybrzeżnych dekoracji.

– No wiesz, jak to u nich: Tom wyświetla slajdy, a Dolly leży na tapczanie i jęczy, że chyba jeszcze dzisiaj nie posprząta, choć ten nieustanny bałagan dobije ją w końcu. Jakoś sobie radzą. Jednak w ogóle to mają już dość tej codziennej monotonii i zbierają pieniądze na wycieczkę zagraniczną.

– A ty pojechałabyś zwiedzać obce kraje?

– Bardzo chętnie. Ale tylko z tobą.

Otoczyłem ją ręką i przytuliłem do siebie. Pierwszy raz od czterech dni poczułem się szczęśliwy.

– Dzisiaj jest czwartek? – spytałem.

Skinęła głową. Już miałem powiedzieć, że jeżeli chce, to jutro pojedziemy razem w daleki świat, gdzie nikt nie wie o istnieniu Carlosa – zabójcy. Lecz w ostatniej chwili przyszło mi do głowy, żeby poczekać do rana z ujawnieniem tego świeżego pomysłu.

– Pamiętasz tę noc z niedzieli na poniedziałek? – odezwała się po kilku minutach milczenia.

– Mówisz o nocy poprzedzającej awanturę w Temalu?

– Tak.

– To dziwne, bo właśnie wszystko, co się działo do tamtej nocy, przysłania w mojej pamięci jakaś mgła. Przypominam sobie, że chyba do trzeciej nad ranem tańczyliśmy w lokalu "Oko Cyklonu".

– A potem przeszliśmy do bistra na górze, gdzie Płowy Jack nauczał głuchoniemych i hipisów. Miał tam wielu różnych słuchaczy. Dyskutował ze swymi ideowymi przeciwnikami. Za głoszone herezje jakiś duchowny straszył go ogniem piekielnym, na co prorok oświadczył, że gdyby tylko chciał, zburzyłby kościół i odbudowałby go w czasie trzech dni.

– Tego już nie pamiętam.

– Ale nie byłeś pijany, bo pieniędzy starczyło nam tylko na karty wstępu. Po czwartej, kiedy szliśmy pieszo do stacji metra, przez całą drogę kpiłeś sobie z Płowego Jacka, domagając się, aby zdradził przed tobą, gdzie stoi jego zdjęciowa hala, i żeby dał ci jakąś kryminalną rolę w swym filmie, jeśli faktycznie jest Reżyserem świata. Męczyłeś go tym aż do Kroywen – Centralu. Wiesz, Carlos, ja tę noc wspominam dlatego...

– Zaraz – przerwałem, zatrzymując samochód przy ścieżce, która wiodła przez sztuczne ogrody w kierunku Słonecznej Góry. – I co on mi wtedy powiedział?

– Powiedział: "Wracaj do Tawedy. Tam znajdziesz swoją rolę i mój plan".

Zbocze wzniesienia miało łagodny stok. Wierzchołek dzieliła od autostrady odległość kilkuset metrów. Po drodze Linda zeszła ze ścieżki i usiadła na ławce pod ścianą mijanego domu. Zdjęła but ze skaleczonej stopy. W chwili gdy na ranę przyklejałem nowy plaster, usłyszeliśmy głos Płowego Jacka:

– Czas mój blisko jest.

Głos dobiegł przez otwarte okno drewnianego garażu, który stał nieco niżej, naprzeciwko nas, poza rzadkimi zaroślami. Zatłoczone starymi gratami wnętrze oświetlała brudna żarówka zawieszona na drucie pod dziurawym dachem. Na zużytych oponach, pustych kanistrach i ceglach rozstawionych dookoła zachlapanej smarami skrzyni siedziało razem z prorokiem dwunastu jego apostołów. Wszyscy sięgali do skrzyni zastawionej potrawami i butelkami z winem. Nauczyciel ubrany był

inaczej niż zwykle: równie starannie jak jego uczniowie. Miał na sobie nowe spodnie ściągnięte w biodrach szerokim pasem z dużą srebrną klamrą oraz oryginalnie haftowaną koszulę.

Przez dłuższy czas biesiadnicy jedli w milczeniu, a my – jak zahipnotyzowani – przyglądaliśmy się im. Stok góry zalewał śnieżny blask księżyca w pełni, któreyo kula wznosiła się nad Uza Ne Juto, rozpoczynając drogę po ciemnogramatowej kopule nieba.

– Zaprawdę powiadam wam, iż jeden z was wyda mnie.

– Czy to ja?

Milczał.

– A może ja?

– Który macza ze mną rękę w misie, ten mnie wyda.

– Czyżbym to ja był, mistrzu?

– Tyś powiedział.

Patrzyli na niego, zaś Płowy Jack, wzięwszy chleb, łamał go i roznosił, a potem wzięwszy kielich z winem, podawał im mówiąc:

– Jedzcie i pijcie. Ten chleb to ciało moje, które tu za was oddaję, a kielich ten to Nowy Testament we krwi mojej, która się za was wylewa. Niechaj ciało i krew mojego dzieła pozostaną z wami przez wszystkie dni aż do skończenia świata.

Jeden z uczniów miał gitarę i akompaniował na niej do pieśni nuconej przez apostołów w drodze na Słoneczną Górę. Płowy Jack został nieco w tyle. Odszedłem od Lindy i zbliżyłem się do nauczyciela. Nie chciałem go nużyć żadnymi ostrzeżeniami, wiedząc, że on sam lepiej niż ktokolwiek zna całą sytuację.

– Mistrzu – powiedziałem ściszym głosem – jeśli możesz, postaw na nogi tego kretyna, który rozbił sobie twarz na mojej głowie.

– A wierzysz, że mógłbym to uczynić?

– Jestem o tym przekonany.

– Tedy patrz – wskazał na drugi brzeg jeziora w kierunku Parayo, gdzie w odległości sześciu kilometrów leżał rozbity szofer. – On tam wstaje.

Odszedł i dołączył do uczniów, a ja poczułem się lekko. Przez kilka minut przyczynę tej lekkości widziałem w uspokojonym sumieniu, nim wreszcie spostrzegłem, że nie mam na sobie marynarki i czapki szofera, które po prostu gdzieś znikły.

Ta noc była bardzo gorąca. Spędziliśmy ją razem na Słonecznej Górze. Leżałem z Lindą w sztucznej trawie pod fałszywymi oliwkami, koło polany, gdzie w blasku księżyca Płowy Jack odpowiadał na pytania uczniów.

– Powiedz nam, kiedy to się stanie i jaki będzie znak dokonania świata.

– Patrzcie, aby was kto nie zwiódł fałszywym prorocstwem. Bo wielu ich przyjdzie pod imieniem moim, głosząc: "Jam jest Reżyser świata". Dokąd kazana będzie ta Ewangelia, słyszeć będziecie złe wieści. Ale niebo i ziemia przeminą, a słowa moje pozostaną jeszcze. Tedy ludzie powstaną przeciwko ludziom, poznacie głód i choroby, trzęsienia ziemi pustoszyć będą domy wasze. Na końcu utrapienia onych dni słońce się zaćmi, a księżyc nie da pełnej jasności. I jako błyskawica w ciemności od wschodu do zachodu po niebie przeleci, tak wy mnie ujrzycie na obłokach Widza żywego, gdy wrócę tu z mocą i chwałą jego.

– Kiedy to się stanie?

– Zaprawdę powiadam wam: Nim ten wiek i ten rodzaj przeminie, ostatecznie dokona się wszystko. Gdy odmładza się gałąź figowego drzewa i liście wypuszcza, łatwo poznajecie, że blisko

jest lato. Także wy, kiedy ujrzyte te znaki, pomyślicie, że blisko jest, a we drzwiach. Lecz o onym dniu i godzinie nie wie nikt, ani Aniołowie niebiescy, którzy trąbą wielkiego głosu zwołają was na Sąd Ostateczny, tylko sam Ojciec mój. Czuwajcie tedy nieustannie, bo nie wiecie, kiedy Pan was zawoła. O to m wam powiedział.

Była noc kiedy otworzyłem oczy. Jasny księżyc świecił .L O jeszcze poprzez plastikowe liście, a gorący wiatr niósł z Tawedy głosy szczekających psów. Linda spała dalej w moich ramionach.

Wstałem ostrożnie i przechodząc koło jedenastu apostołów, którzy spali pod oliwkami, skierowałem się na pobliski wierzchołek góry, skąd chciałem spojrzeć w dal ponad Piał Edin w kierunku Tawedy, gdzie stał mój rodzinny dom.

Po drodze usłyszałem cichy głos Płowego Jacka:

– Ojczy mój, jeśli można, niech mnie ten kielich minie. Wszakże nie jako ja chcę, ale jako ty.

Mistrz stał na drugiej polanie przy krawędzi blasku i cienia rzucanego na fałszywą trawę przez kępę sztucznych palm. Twarz miał wzniesioną ku gwiazdom.

Dyskretnie wycofałem się do Lindy i zaraz z drugiej strony usłyszałem jakiś szept:

– Którego pocałuję, ten ci jest. Imajcie go!

Po chwili Płowy Jack zszedł z góry i wynurzył się z ciemności.

– Duch jest ochotny, ale ciało mdłe – powiedział głośno ni to do siebie samego, ni to do śpiących uczniów. Raz jeszcze spojrzął na niebo. – Wstańcie! Oto przybliżył się ten, który mnie wydaje.

A gdy on to jeszcze mówił, z gęstwiny wyszedł jeden z dwunastu, prowadząc wielką zgraję manekinów uzbrojonych w rewolwery i kije.

– Bądź pozdrowiony, mistrzu – rzekł do nauczyciela.

I pocałował go. A Płowy Jack spytał:

– Przyjacielu, po co przyszedłeś?

Wtedy statyści – przystąpiwszy doń – rzucili się na Reżysera świata i pojмали go.

Lecz oto jeden ze zbudzonych uczniów dobył nóż i uderzywszy kardynalskiego pachołka, uciął mu ucho. Płowy Jack nie pochwalił go za to.

– Obróć nóż na miejsce jego – powiedział do swego obrońcy i dotknąwszy ściętego ucha, przywrócił je pachołkowi. – Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Czy mniemasz, że nie mógłbym teraz prosić Ojca mego o pomoc Aniołów, a stawiliby mi więcej niż dwanaście wojsk? Ale jakoż by wypełniło się to wszystko, co i tak stać się musi?

Słyszając te słowa, wszyscy uczniowie mistrza opuścili go i rozbiegli się po ogrodach. Ja też – niewiele myśląc – porwałem Linde za rękę i wycofałem się dalej w gęszcz. Z ukrycia słyszeliśmy krótkotrwałą naradę marionetkowych obrońców kościoła. Po uzgodnieniu, że przesłuchanie proroka odbędzie się w siedzibie najwyższego kapłana, kilkunastu najlepiej uzbrojonych manekinów sprowadziło Płowego Jacka w dół do autostrady, gdzie czekały samochody, zaś reszta statystów zeszła północnym stokiem Słonecznej Góry przez Piał Edin do najbliższej stacji metra.

Dopiero gdy zbiegowisko rozproszyło się i głosy ucichły, wyszliśmy na polanę. Pozostała tam tylko stratowana trawa, światło księżycy i gorący wiatr, który zwiął już gdzieś nad Vota Nufo zagadkowe pytanie mistrza: “Przyjacielu, po co przyszedłeś?”

Pół godziny później wsiadłem z Lindą do samochodu rektora. U wylotu ścieżki na autostradę jakaś żywa dziewczyna zapytała nas, czy nie widzieliśmy Płowego Jacka. Zaprosiłem ją do samochodu. Pojechaliśmy na Dziesiątą Ulicę. Na dziedzińcu przed siedzibą kardynała stał tłum sztucznych ludzi. Widząc go już z daleka, zostawiliśmy wóz na rogu Szesnastej Alei i przyłączyliśmy się do zbiegowiska.

Płowy Jack stał w blasku reflektora na podium przed okazałą fasadą pawilonu z dykty. Obok –

na wysokim podeście – zebrali się przedniejsi kapłani i uczeni w piśmie. Siedzieli sztywno jak mumie. Wszyscy mieli na głowach peruki uszyte ze zwojów rozkręconego sznurka, pergaminowe twarze, gumowe rękawiczki na dłoniach i szklane oczy. Kardynała wyniesiono na podest razem z fotelem.

Przez dłuższy czas przesłuchiowano świadków, ale – co nawet samym oskarżycielom musiało rzucać się w oczy – zeznania ich były sprzeczne. Płowy Jack miał krew na ustach. Nie odezwał się ani razu. Od strony ulicy na zbiegowisko patrzyła grupa plastikowych karabinierów.

Wokoło kręcili się uliczni handlarze, oferując słuchaczom różne fałszywe towary. Jeden z nich sprzedawał puszki po coca – coli i plastikowe lody. Jakimś cudem znalazłem w jego wózku małą butelkę prawdziwej whisky. Linda nie chciała pić, a ja – chociaż nie byłem alkoholikiem – za pół szklanki whisky na ten wrzód, który palił moje wnętrze od chwili, gdy Płowy Jack pozostał sam, oddałbym majątek.

Jako ostatni z fałszywych świadków wystąpił duchowny z “Oka Cyklonu”. Wypowiedział tylko jedno zdanie:

– Słyszałem, jak on mówił – wskazał na oskarżonego – że może rozwalić kościół i za trzy dni zbudować go.

Na dziedzińcu zapanowała grobowa cisza. Kardynał zwrócił maskę w stronę Płowego Jacka:

– Nic nie odpowiadasz?

Prorok milczał.

– Zaklinam cię na Boga żywego! – zawołał pierwszy kapłan Kroywenu. – Sam to wreszcie wyznaj, jeśli jesteś Zbawicielem naszym.

– Tyś powiedział. Nie wierzycie? Wszakże powiadam wam: Jeszcze ujrzycie mnie siedzącego po prawicy Pana waszego na obłokach niebieskich.

Arcykapłan rozejrzał się wokoło siebie. Zbliżył dłonie do piersi, zacisnął je na papierowym stroju i rozdarł go teatralnym gestem:

– Błuzni! Czyż jeszcze potrzebujemy świadków? Oto teraz sami słyszeliście jego bluźnierstwo!

Znowu zapadła cisza. I nagle – jakby na komendę wydaną przez niewidzialnego przywódcę – cały zgromadzony na dziedzińcu tłum ryknął zgodnie:

– Winien jest śmierci!

Jakaś kobieta przyskoczyła do Płowego Jacka i napluła mu w oczy. Druga spoliczkowała go. Kilka kukieł wbiegło na podium. Jedne chwyciły proroka za ramiona, a inne na zmianę biły go pięściami po twarzy.

– Zbawicielu nasz – wołały – prorokuj, kto cię teraz uderzy!

Kardynał uspokoił statystów: oświadczył zebrany, że niezwłocznie odda proroka w ręce prokuratora.

W małej kafejce przy Szóstej Alei przesiedziałem z Lindą resztę tej ponurej nocy. Życie toczyło się dalej. Prawdziwi i fałszywi ludzie wsiadali do samochodów, kręcili się po ulicy, kupowali poranną prasę, pili kawę i jedli ciastka. Wszyscy rozmawiali o sprawach bardzo odległych od rzeczywistości.

O świcie uzgodniliśmy, że jeszcze tego dnia wyjedziemy z Kroywenu. Musiałem na zawsze opuścić to miasto i rozpocząć nowe życie w innym kraju, gdzie nikt nie znał mojej fatalnej przeszłości i gdzie mógłbym kochać Lindę bez ciągłej obawy, że pewnego dnia jakiś żywy karabinier położy mi rękę na ramieniu. Lindzie bardzo podobał się ten pomysł. Rozchmurzyła się wreszcie, chciała jechać natychmiast, ale ledwie trzymała się na nogach po drugiej nie przespanej nocy.

– Wyjedziemy po południu – zaproponowałem. – Teraz zawiozę cię do domu. Spakujesz rzeczy.

Musisz przespać się kilka godzin przed wyjazdem, a ja wpadnę do Elsanosa.

– Ja już do domu nie wrócę – powiedziała.

– Nie chcesz pożegnać się z rodzicami?

– Wczoraj ostatecznie pokłóciłam się z nimi.

– O co?

– O ciebie.

Zrozumiałem. W tej chwili oboje byliśmy bezdomni, ale to nie miało już żadnego znaczenia.

– Dlaczego chcesz odwiedzić Ryana? – spytała, gdy po długim pocałunku oderwałem usta od jej warg.

– Przed podróżą jesteśmy bez grosza. Wszystkie oszczędności zostały w domu. Mam w kryjówce większą sumę. Dam Ryanowi klucz do mojego mieszkania w Tawedzie i poproszę go, aby mi przyniósł te pieniądze. Jemu ze strony karabinierów nic nie grozi, bo gdyby go tam zatrzymali, powie, że zapasowy klucz dałem mu przed tygodniem. Wejdzie do mieszkania po swoje rzeczy. Przedtem będę musiał wywołać go z fabryki z Piał Edin, a to potrwa jakiś czas.

– W takim razie może zawieszysz mnie do Yorenów. Poczekałabym tam na ciebie.

– Właśnie u nich mogłabyś się wyspać, jeżeli jeszcze nie wyjechali z Kroywenu – zgodziłem się, mrugając znacząco przy ostatnich słowach.

Oboje byliśmy wciąż pod przygnębiającym wrażeniem wyniesionym spod siedziby kardynała. Dlatego – aby odwrócić myśli Lindy od procesu Płowego Jacka – w drodze na Czterdziestą Drugą Ulicę żartowałem na temat Toma i Dolly, co zresztą było bardzo łatwe.

Wysiadając pod ich domem, Linda położyła mi na kolanach długie papierowe pudełko.

– Masz, ty głupi wariacie – powiedziała z nieco weselszą miną i wbiegła na schody.

Skręciłem w Szesnastą Aleję i otworzyłem pudełko. Znalazłem w nim żywy kwiat. Takiego upominku nie dostałem jeszcze nigdy od żadnej kobiety, toteż fakt, że Lindzie przyszedł do głowy ten miły pomysł, sprawił mi wielką przyjemność.

Prosto spod domu Yorenów pojechałem na Czterdziestą Ósmą Ulicę do generalnego prokuratora Kroywenu, którego urząd sąsiadował z sądowym gmachem. Cel ten był głównym powodem opóźnienia naszego wyjazdu. Miałem jeszcze nadzieję, że może zdołam jakoś pomóc Płowemu Jackowi, nie narażając siebie na aresztowanie. Nie chciałem jednak mówić o tym Lindzie, bo i tak cały czas trzęsła się ze strachu.

Prokurator był żywym człowiekiem. Korytarz wiodący do jego gabinetu wypełniał tłum manekinów. Z trudem udało mi się dotrzeć do otwartych drzwi. Zmaltretowany nocnym przesłuchaniem Płowemu Jack stał przed biurkiem prokuratora w otoczeniu kilkunastu kapłanów. Duchowni oskarżali proroka o to, że buntuje lud i namawia wszystkich do niepłacenia podatków gubernatorowi Kroywenu, twierdząc, że on sam ma najwyższą władzę nad mieszkańcami miasta.

– Czy to ty jesteś naszym Reżyserem? – spytał prokurator, zwracając nieprzeniknioną twarz w stronę Płowego Jacka.

– Jam ci to jest.

– Nie słyszysz, jak wiele oskarżeń wnoszą tu przeciwko tobie?

Płowemu Jack milczał. Kapłani dalej domagali się ukarania proroka. Prokurator zadał mu jeszcze kilka pytań, które pozostały bez odpowiedzi.

Prawnik zamyślił się przy otwartym oknie. Wreszcie zwrócił twarz do zebranych w gabinecie manekinów i oświadczył bezbarwnym tonem:

– Żadnej winy nie znajduję w tym człowieku. Ale na wasze żądanie zatrzymam go.

Przywołał karabinierów i kazał im opróżnić korytarz.

W Pjal Edin nie udało mi się skontaktować z Ryanem Elsanosem. Makieta fabryki wagonów jedynie od strony odległej o kilometr linii metra robiła wrażenie prawdziwego zakładu produkcyjnego. Wyglądem swym mogła wprowadzić w błąd pasażerów przejeżdżającego pociągu – i takie tylko było jej zadanie. Do okna hali, w której pracowałem razem z Ryanem, zakradłem się przez ogrodzenie od strony jeziora, skąd łatwo można było zdemaskować całą mistyfikację. Na placu stały w rzędach sylwetki "gotowych" wagonów kolejowych. Wszystkie makiety były wytłoczone jednostronnie z cienkiej blachy. Za fasadą hali grupy sztucznych ludzi symulowały pracę monterów. Jedne manekiny – by wywołać hałas – tłukły młotami w gołe kowadła, inne wydeptanymi ścieżkami – jak duże nakręcone lalki – przenosiły z miejsca na miejsce wciąż te same kartonowe imitacje wagonowych części.

Od początku istnienia tej fabryki nie zbudowano w niej niczego i fakt, że przez lata razem z innymi drugo – i trzeciorzędnymi statystami ja sam też brałem udział w tym absurdzie, nie chciał mi się teraz pomieścić w głowie. Elsanosa nie dostrzegłem przez okno wśród znajomych robotników, a do innych nie miałem zaufania.

O dziewiątej pojechałem do Tawedy, którą od Pjal Edin dzieliła odległość dwóch kilometrów. Piątego dnia nieustannej tułaczki po mieście miałem wreszcie okazję spojrzeć na swój dom. Stał w tej części osiedla, która na moim planie Kroywenu leżała w pasie prawdziwych obiektów.

Przy torze kolejowym nie widziałem dekoracji. W Tawedzie przejechałem obok autentycznej stacji metra i skręciłem w ulicę prowadzącą dalej przez krótki most na wyspę Reff. Przed wjazdem na most minąłem swój dom. Z zewnątrz wyglądał solidnie, jak wszystkie inne budynki po obu stronach ulicy. Mieszkanie na dziewiątym piętrze z pewnością było pod obserwacją. Może czekała tam na mnie zasadzka w postaci dyżurującego karabiniera, dlatego nie odważyłem się wyjść z samochodu.

Nagle – już po raz trzeci w życiu – zobaczyłem „Latarnię Kroywenu”. Wynurzyła się spoza rogu przy stacji metra, minęła mój samochód i zagłębiła się w lesie porastającym wyspę. Blask obejmował okolicę jadącego autobusu, w którego wnętrzu było najjaśniej.

Na widok "filmowego reflektora" znowu opanowało mnie niezwykle uniesienie. Natychmiast ruszyłem za autobusem. Przejechałem za nim całą wyspę i drugi most łączący ją ze wschodnim brzegiem jeziora. Dookoła rozciągał się autentyczny krajobraz. Na przystanku w Lesaioli z autobusu wysiadła Muriel.

Osiedle to leżało w odległości dwudziestu kilometrów od centrum Kroywenu. Aktorka pobiegła w kierunku zespołu domków campingowych rozstawionych przy plaży i weszła do pawilonu restauracyjnego. Podjechałem pod oszkloną ścianę. W letniej restauracji siedziało kilkunastu wczasowiczów. Niektórzy mieli na sobie tylko kostiumy kąpielowe. Aktorka zajęła miejsce w końcu sali, niedaleko baru.

Wszedłem do środka i usiadłem przy stoliku pod szybą. W zestawieniu z jasnością blasku zalewającego wewnątrz pawilonu i jego okolicę słońce na bezchmurnym niebie lśniło niewiele silniej niż księżyc w pełni. Jednakże ta niezwykła lawina światła nieznacznie tylko raziła mnie w oczy, a inni żywi ludzie, którzy po kąpielach w jeziorze podchodzili do "Latarni Kroywenu", najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z jej istnienia. Ktoś wrzucił monetę do automatu z płytami. Rozległa się muzyka. Muriel pisała coś na kartce papieru. Przyglądałem się jej z daleka. Czułem, że na jej widok wraca we mnie to wszystko, co przeżyłem przed dwoma dniami.

Naraz z pomieszczenia na zapleczu restauracji wyszedł młody kelner. Pocałował aktorkę w usta

i usiadł swobodnie przy jej stoliku. Muriel podała mu zapisaną kartkę. Aktor wpatrywał się w nią przez kilkanaście sekund, po czym powiedział coś do aktorki. Muzyka zagłuszyła jego słowa. Muriel wyjęła kartkę z ręki kelnera i podkreśliła na niej jakieś zdanie. Potem dopisała coś jeszcze. Obserwowałem ich przez kilka minut: on do niej mówił, a ona gestykulowała albo odpowiadała na piśmie.

Kelner rozniósł napoje zamówione przez nowych gości i powrócił do Muriel. W lokalu pojaśniało jeszcze bardziej.

– Malcolm! – zawołał jakiś mężczyzna poza moimi plecami.

Kelner przeniósł się do jego stolika i usiadł przy nim. Mężczyźni rozmawiali ściszymi głosami. Piękna melodia zagłuszała dialog aktorów grających w filmie, w którym statystowałem przez całe życie. W pewnej chwili towarzysz kelnera spojrzął za siebie. Muriel podniosła rękę i uśmiechnęła się do niego ponad moją głowę. Odczułem to tak, jak uderzenie fali rozpalonego powietrza, ponieważ przez ułamek sekundy miałem szaloną nadzieję, że gestem tym i uśmiechem Muriel przywołuje mnie do siebie.

Muzyka umilkła.

– Masz rację – szepnął kelner, gdy jego znajomy znowu pochylił się nad stolikiem. – Spławię ją jeszcze dzisiaj.

– Stary, wiedziałem, że nie jesteś głupi – odparł tamten. – Pokażę ci jutro dziewczyny z naszego nowego zespołu. Jest w czym wybierać. Będziesz miał wreszcie swobodne ręce i niezłą forszę za to lokum, a my odpowiednie studio.

– Noszę się z tym zamiarem od tygodnia, ale Muriel nie ma gdzie się podziać. Za jakiś kąt w Lesaioli zabierają połowę mojej pensji. Ona zarabia grosze.

– Znajdzie sobie coś taniego w Tawedzie albo na Dolnym Riwazolu, zresztą nie twoja sprawa. Zależy ci na niej?

– Od tygodnia szukani pretekstu do zerwania naszej znajomości.

– I znalazłeś go.

– Teraz widzę, że masz rację.

– Więc załatwione?

– Wczorajem rozmówię się z nią. Tak czy inaczej rano zabierze cały swój interes, bo jest wrażliwa i ambitna. Najdalej jutro wieczorem dostaniesz klucz od tamtej chaty. Już dłużej nie będę tego przeciągał. Ona szarpie mi nerwy.

– Stary, umówmy się: nie musisz się przede mną tłumaczyć. Powiedz tylko, jak do tego doszło.

– Zwyczajnie. Siedzi u mnie już od dwóch miesięcy. Poznaliśmy się w “Oku Cyklonu”.

– Chłopie, ja ciebie nie pytam, jak długo ze sobą śpicie, tylko kiedy wyszło na jaw, że ona ma raka krtani.

– Wycieli jej to cztery lata temu.

– I odtąd nie powiedziała ani jednego słowa?

– Chyba mogłaby mówić szeptem, ale nie chce. Po operacji chciała popełnić samobójstwo. Potem przyszła do siebie i teraz uważa, że na papierze można wyrazić wszystko.

– Bujasz.

– Ona bardzo ładnie pisze.

– I mówi. Raz słyszałem, jak rozmawiałeś z nią przez telefon.

– A, o to ci chodzi. Muriel nosi za sobą kieszonkowy magnetofon. Koleżanka nagrała jej na początku taśmy hasło “Tu Muriel”. Czasem wykręca mój numer i przykładła magnetofon do słuchawki. Potem ona słucha, a ja do niej mówię, jeżeli akurat mam coś do powiedzenia w sprawie jej interesu.

– Mogliście to ułożyć bardziej dowcipnie: nagrać szereg gotowych pytań i odpowiedzi. Tylko czy taka zabawa może trwać przez całe życie. Przecież ten jej punkt usługowy z wielkim szyldem i jednym klientem dziennie to jest po prostu kupa śmiechu.

– Nie miałem zamiaru wiązać się z nią na dłużej.

Po tych słowach kelner pożegnał znajomego i odszedł do konsumentów, aby zainkasować pieniądze. Potem udał się na zaplecze lokalu. Muriel podniosła się ze swego miejsca. Trzymała w dłoni zapisaną serwetkę. Przez chwilę patrzyła na drzwi, za którymi zniknął kelner, jakby chciała podać mu tę kartkę, ale rozmyśliła się i wyszła z pawilonu.

Wstałem. Miałem zamiar powiedzieć jej kilka słów i czułem, że tym razem już żadna wewnętrzna siła nie zdoła mi w tym przeszkodzić.

Na drodze do wyjścia potrąciłem jakiegoś mężczyznę.

– To pana samochód? – spytał.

– Nie – odparłem machinalnie.

– Widziałem, jak on zajechał tym wozem – powiedział znajomy kelnera do stojącego obok policjanta.

I po co ja ukradłem ten samochód? – przemknęło mi. Patrzyłem na taras za oszkloną ścianą, na którym stało sześciu karabinierów. Wszyscy byli żywi. Zaglądali w głąb restauracji, gdzie w pełnym blasku "Latarni Kroywenu" otoczony statystami drugorzędny aktor wskazywał palcem w moim kierunku.

– Ontena, nie wykręcaj się, bo ten wóz i tak nie ma teraz większego znaczenia – powiedział policjant wyjmując kajdanki.

Odepchnąłem go. Karabinierzy przyskoczyli do drzwi. Rzuciłem się w stronę bocznej ściany. Trzask rozbijanej szyby był ostatnim dźwiękiem, jaki przed upadkiem na gorący piasek odezwał się jeszcze w mojej świadomości.

W prawdziwej celi, do której zostałem wtrącony po odzyskaniu przytomności, obok Płowego Jacka i "nieuchwytnego bandyty" Dawida Martineza zobaczyłem jeszcze jakiegoś drugiego plastikowego zbrodniarza. O pierwszej godzinie sztuczni strażnicy przewieźli nas wszystkich do sądowej sali. Obrońcy i sędziowie odlani byli z gipsu. Postacie ławników Dekorator wyciął z arkusza dykty. Figury te ani razu nie poruszyły się w czasie godzinnej rozprawy: tylko prokurator zabierał głos, a jego słowom towarzyszyły okrzyki padające z tłumu pozornych słuchaczy.

Raz na rok generalny oskarżyciel Kroywenu miał prawo zwolnić jednego więźnia wybranego przez lud.

Po przesłuchaniu czterech oskarżonych prokurator zapytał:

– Którego chcecie, abym wam wypuścił: Dawida Martineza, zwanego nieuchwytnym gangsterem, czy Płowego Jacka, którego nazywają Reżyserem świata?

Zdawało się, że mistrz ma jeszcze szansę odzyskania wolności. Ale przedniejsi kapłani wcześniej namówili lud, żeby w sądzie domagał się skazania proroka.

– Wypuść nam Martineza! – padały zewsząd zgodne okrzyki.

– Cóż tedy mam uczynić z Płowym Jackiem?

– Niech będzie stracony!

– Lecz co on wam złego uczynił?

Kukły nie odpowiedziały na to pytanie. Żywy oskarżyciel próbował uspokoić sztucznych ludzi, ale im dłużej ich przekonywał, z tym większą nienawiścią wołali: "Niech będzie stracony!"

O godzinie drugiej prokurator uciszył zebranych i przez kilka minut patrzył w milczeniu na grupę

falszywych przedstawicieli kościoła. Myślał pewnie o reakcji gubernatora na ich skargę w przypadku, gdyby zwolnił proroka. Po ostatniej próbie obrony Płowego Jacka, widząc, że jego słowa nic nie pomagają, oskarżyciel generalny polał sobie ręce wodą z karafki i umył je przed ludem.

– Nie jestem ja winien krwi tego sprawiedliwego – powiedział. – Wy ujrzycie!

Szyby w oknach zadrżały od zgodnego okrzyku:

– Krew jego na nas i na dzieci nasze!

Więc wypuścił im Dawida Martineza, a Płowego Jacka, mnie i drugiego plastikowego zbrodniarza wydał na stracenie.

Po drodze na miejsce kaźni czułem się jak sparaliżowany: prawie nic już nie docierało do mnie. Na dziedzińcu sądowym widziałem jak przez mgłę Płowego Jacka, którego fałszywi karabinierzy tłukli kolbami po głowie i pluli na niego, a potem klękali przed nim, mówiąc: “Bądź pozdrowiony, Reżyserze świata”.

Wsadzili nas do samochodu i zawieźli do Piał Edin. Stamtąd – w towarzystwie innych wozów załadowanych statystami – pojechaliśmy przez Tawedę pod Quenos, gdzie kończyła się linia metra. Wyrzucili nas z samochodu na górze pokrytej fałszywymi zaroślami. Quenos było najbardziej odległą od centrum dzielnicą miasta.

Na wierzchołku góry rosły trzy prawdziwe pinie. W połowie wysokości jednej z nich karabinierzy zawiesili tabliczkę z napisem: “Ten jest Płowy Jack – Reżyser świata”.

O trzeciej godzinie rozebrali proroka i po kłótni o jego ubranie rzucali monetę, aby los rozstrzygnął, kto dostanie jego nową koszulę i spodnie.

– Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią – powiedział Płowy Jack.

– Mistrzu – odezwałem się do niego dziwnie spokojnym głosem. – Spraw, jeśli możesz, aby Linda nie tęskniła za mną.

– Tego nie mogę uczynić, tak samo, jak nie mogę sprawić, by ciebie ominął ten kielich, który tu nas czeka. Wy dwaj tylko – wskazał na nasze pinie – dzisiaj nie będziecie cierpieli.

Ledwie to powiedział, gdy na moich oczach wszystkie otaczające nas manekiny przemieniły się w żywych ludzi, a ustawione na górze imitacje kaktusów i palm – w prawdziwe zarośla i drzewa.

Dopiero gdy zawiesili nas na drzewach, przybijając do nich gwoździami nasze ręce i nogi, zrozumiałem, że znowu stałem się drugorzędny statystą – jednym z manekinów.

Gwoździe tkwiły w moich stopach i dłoniach, ale wisząc na nich nie czułem żadnego bólu. Wszystko dookoła siebie widziałem oczami sztucznego człowieka... Pod drzewami stali naturalni kapłani i karabinierzy. Dalej płakały prawdziwe kobiety. Z pobliskiego Quenos przychodzili ciekawi, by z tabliczki przybitej nad głową Płowego Jacka – który cierpiał autentycznie i strasznie – odczytać jego winę.

Nie czułem bólu i dlatego właśnie bałem się, że nigdy nie doczekam śmierci,

– Jeżeli jesteś Reżyserem świata – zawołałem – ratuj nas i siebie samego!

Płowy Jack milczał. Ale na wołanie odpowiedział przybity do sąsiedniej pinii pozorny bandyta, który teraz – w moich oczach – nie wyglądał już na sztucznego.

– I ty się jego nie boisz! – zgromił mnie. – My sprawiedliwą zapłatę bierzemy za uczynki nasze, ale ten nic złego nie uczynił. Panie! – zwrócił twarz do nauczyciela. – Pomnij na mnie, gdy przyjdiesz do królestwa swego.

A Płowy Jack odparł:

– Dziś jeszcze będziesz ze mną w raju.

Karabinierzy strzegli nas, siedząc pod drzewami. W znacznej odległości stała grupa

zastraszonych przyjaciół mistrza. Wśród nich Płowy Jack dostrzegł swoją matkę i ucznia. Przywołał ich do siebie:

– Niewiasto – rzekł – oto syn twój. Uczniu, oto twoja matka.

I stało się, że gdy uczeń odprowadził matkę na stok góry, nauczyciel powiedział: “Pragnę”. Dali mu ocet i naśmiewali się z niego.

Tak mijały godziny. Czarne ptaki kołowały nad górą. Zniżały się w locie lub szybowwały ku słońcu i nikły w błękitnej toni nieba.

Rozglądałem się sennie dookoła siebie. W dole stał żywy las. Widziałem rzeczywistą wodę w dolinie Vota Nufo i nieoszukane domy pobliskiego Quenos. Patrzyłem na południową panoramę z prawdziwą Tawedą pośrodku (gdzie lśnił mój dom na tle mirażu dalekich drapaczy chmur). Lecz w całym tym pozornie naturalnym krajobrazie nie dostrzegałem nigdzie “Latarni Kroywenu” ani nadziei, że po przemianie w sztucznego człowieka bez pomocy karabinierów doczekam się kiedyś realnej śmierci.

Ci, co stali pod nami albo kręcili się po górze dla zabicia czasu, podchodząc do Płowego Jacka rzucali mu w twarz słowa, z których wynikało, że choć w moich oczach wyglądali jak ludzie, nadal byli manekinami i grali role drugorzędnych statystów.

– Dufał w Widzu, to niechże go teraz wybawi – rzekł karabinier pełniący pod nami wartę.

Kapłani też mądrzyli się z bezpiecznej odległości:

– Inszych ratował, a siebie nie może – zauważył jeden.

– Zstąp teraz z drzewa – szydził drugi. – Ty, który mógłbyś rozwalić kościół i w trzy dni umiałbyś go zbudować, ratuj siebie samego.

– Jeżeli zejdziesz, uwierzymy mu – mówili inni.

Czułem coraz większą senność i obojętność na to, co się działo w dole. Nad Kroywenem zapanowały nienaturalne ciemności. Gdy po długim czasie tarcza słoneczna wysunęła się spoza czarnej zasłony, Płowy Jack zawołał wielkim głosem:

– Ojczy mój! Ojczy mój! Czemuś mnie opuścił?

Ktoś z liczby tych wytrwałych, co jeszcze tam stali, podbiegł do drzewa i szepnął:

– Widza ten woła.

Wtedy wartownik nadział na długi kij gąbkę nasyoną octem i chciał ją zbliżyć do ust Reżysera świata, lecz ktoś inny powstrzymał go za rękę.

– Zaniechaj – powiedział. – Lepiej popatrzmy, może przyjdzie i zdejmie go.

Ale Płowy Jack zawołał tylko:

– Widzu! W ręce twoje polecam ducha mego!

A to rzekłszy – skonał.

Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[1. 3](#)

[2. 11](#)

[3. 19](#)

[4. 27](#)

[5. 36](#)

[6. 43](#)

[7. 49](#)

[8. 56](#)

[9. 66](#)

[10. 73](#)

[11. 79](#)

[12. 86](#)

[13. 92](#)

[14. 99](#)

[15. 106](#)

[16. 114](#)

[17. 121](#)

[18. 127](#)